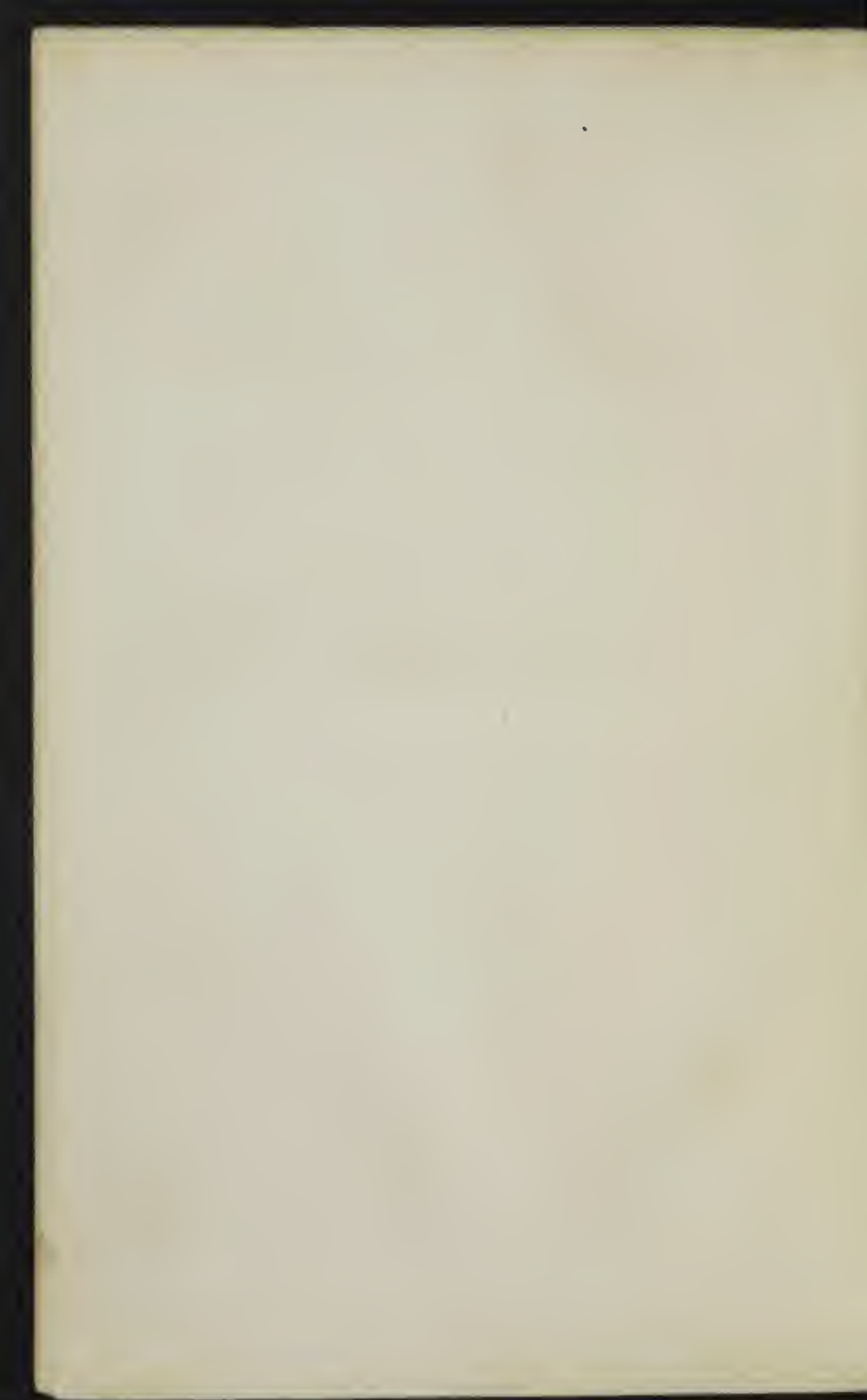


SYN MARNOTRAWNY.



SYN MARNOTRAWNY.

OPOWIADANIE Z KOŃCA XVIII WIEKU.

PRZEZ

Józ. Ig. Kraszewskiego.

(Wydanie Redakcyi Biblioteki Warszawskiej).

Tom II.

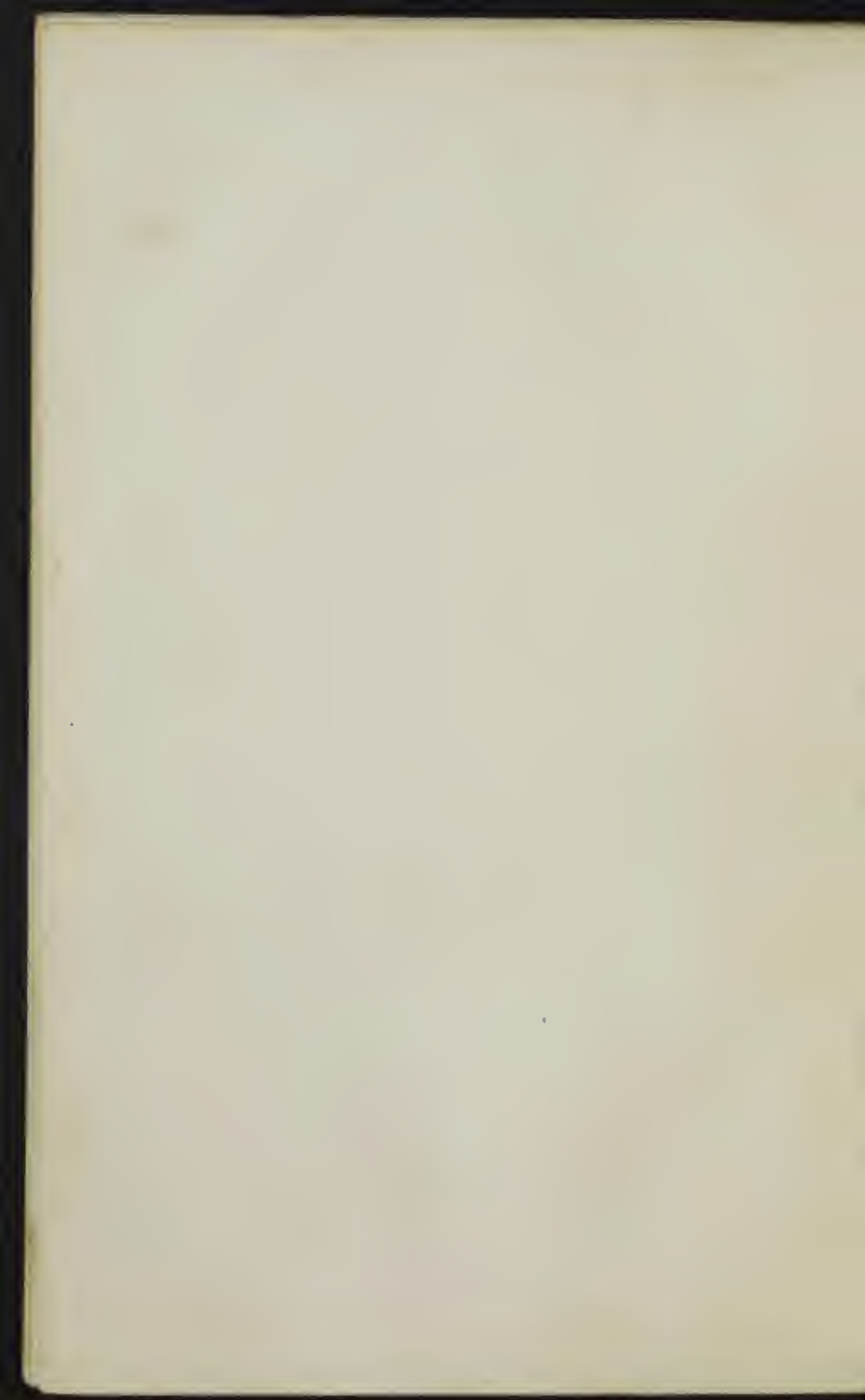
WARSZAWA.

W Drukarni Józefa Bergera,
przy ulicy Elektoralnej Nr. 14.

—
1879.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Ноября 1878 года.

I.



Działo się to przed wyjazdem wojewodzica do Warszawy. Zapewne prosta ciekawość tylko skłoniła starostę Daliborskiego, iż znajdując dostarczone mu informacye o stosunkach Wicka niedostatecznymi, zapragnął sam dotrzeć do źródła i przypomnieć się pani Strańskiej. Wdowa, która go za dawnych czasów pobytu w domu miecznika widywała, choć go zdala na ulicy niekiedy spotkała, stroniła, nieżycząc sobie być poznaną. Daliborski też jęj nie szukał i zbliżyć się nie miał ochoty, dopóki nie wypadła potrzeba.

Dosyć zdziwioną i zmieszaną została pani Strańska, gdy raz wychodząc od swoich kochanych Dominikanów, w progu spotkała Daliborskiego. Chciała go zrazu pominąć jak nieznajomego, ale mecenas się witał.

— Cóżto? pani nie łaskawa mnie sobie przypomnieć.

— A! pan starosta! prawdziwie...—zaczęła uśmiechając się wdowa—nie sądziłam... przepraszam...

— Ja oddawna asanią dobrodziejkę tu widuję, lecz nie chciałem się naprzykrzać. Widzę, że pani musi mieszkać w Lublinie?

— A tak! od niejakiego czasu—bąkała wdowa pomieszana.

— Na dewocyi?—uśmiechnął się mecenas.

— Dla wychowania Helusi — przerwała rumieniąc się Strańska —zawsze w mieście łatwiej.

To mówiąc, wyszli byli z zakrystyi. Wdowa bardzo wolnym krokiem ciągnęła uliczką, Daliborski uparcie jęj towarzyszył. Strańska nie była z tego niekontenta, znając potęgę stosunków i wpływów młodego jurysty; zresztą, mogły jęj jakieś śmielsze myśli przyjść do głowy, widząc że się tak nią i jęj losem zajmował, a w końcu przedłużając rozmowę, nie myślał ją opuszczać.

Kilka razy stawiała chcąc go pożegnać, ale Daliborski oświadczył że radby ją odprowadzić do domu, dodając, że się nudzi, niema się gdzie rozerwać i radby czasem chwileczkę jaką spędzić u dawnéj znajoméj.

Mógł się zawsze przydać pani Strańskiej, i nie wahała się go zaprowadzić do dworku. Tu Daliborski, nadzwyczajną czułość okazując dla małéj Helusi, pozyskał sobie więcéj jeszcze serce matki. Strańska wpadła w dobry humor, i dawna poufałość ze starostą wróciła.

Po kilku dniach Daliborski znowu się zjawił na gawędkę i kawę poobiednią, tak że pani Strańska poczęła mieć osobliwsze myśli.

— Jeżeli bałamut chce sobie ze mnie mieć tak, przyjaciółeczkę w kątku, o! to bardzo dziękuję! Powiem słowa prawdy i dam odprawę; a jeżeli seryo coś myśli, to dlaczegóż nie? dlaczego nie? Wolę jego jak starego Melliniego. Ale to chyba nie może być!

Do jaśniejszego wytłómaczenia się nie przyszło jednak i Strańska zaczynała po jakimś czasie powątpiewać, czy stawiać dilemma z przyjaciółki albo żony, nie omyliła się. Przeczuywała teraz, że adwokat mógł ani o jedném ni o drugiem nie myśleć, a mieć na celu coś trzeciego, dla niej niezrozumiałego.

W jednéj z poufanych rozmów przy kawie, znienacka przyznał się Daliborski, że wiedział o romansie wojewodzica z Pepitą. Probowała wdowa wyklamać się z pośrednictwa, zaprzeczać wszystkiemu, lecz przekonała się wkrótce, że to było niepodobieństwem. Musiała się przyznać. Mecenasa tyle okazywał współczucia dla serc kochających, tak się interesował wojewodzie, objawiając dlań najserdeczniejszą przyjaźń, iż wdowa wreszcie nie widziała potrzeby tajenia się przed nim. Nie badał téż jéj odrazu, tak jak na inkwizycyi: szedł ostrożnie i powoli.

Ulegając w końcu téj wewnętrznej potrzebie starzejących kobiet, które, gdy nie mogą same prowadzić romansów, niezmiernie się lubują rozprawianiem o nich, Strańska, która podsłuchiwała swoich protegowanych, poczęła się zwierzać z wrażeń przed Daliborskim.

— Powiadam asindziejowi, kochany panie starosto — mówiła mu — że to jest, jak mamcię kocham, romans, jakiego na świecie nie było!

— Dlaczego?—spytał Daliborski.

— Proszę kochanego starosty, ja żyłam na świecie, i, choć sama nie praktykowałam—dodała rumieniąc się Strańska—alem dużo widziała i nasłuchiwała się między ludźmi. Coś takiego jak oni dwoje ze światem szukać.

— Ale w czémże?—nalegał starosta.

— Niechno mnie pan posłucha, to zaraz zmiarkuje. Trzeba i jego znać i ją znać. On, to pan wie, łotra kawał, bujna sztuka, a nawykł na wielkim świecie, ładny chłopak. że mu wszystko szło po myśli. Bo jak mamę kocham, na wielkim świecie co się dzieje! co się dzieje!

— A na małym?—przerwał starosta.

— Słowo daję, jak mamę kocham, nie tyle jest awantur. Wiadoma rzecz, na małym świecie zaraz oszkalują i zgubią kobietę, a na wielkim co jój to szkodzi, że na nią plotą! Jeszcze więcej ludzi to przyciąga.

Otóż, co chciałam mówić: on taki impetyk, gwałtownik, choć ja go przestrzegałam, nie chciał słuchać; zrazu się do dziewczęcia rzucił obcesem.

(Ale niech pan nie myśl—dodała Strańska—ja krokiem nie odchodziłam od nich. A i bez tegoby się było obeszło, bo Pepita kochać go kocha, no, szaleje, można powiedzieć że ją oczarował; ale takie to dumne i pocziwe, że inaczej romansu ani nawet chce rozumieć, tylko żeby zaraz do ołtarza i na całe życie.

Zaraz przy drugiem widzeniu się, tak sobie jak najnaturalniej, wyznawszy mu miłość, poczęła o ślubie. Gdzie i jak on będzie. Ten — osłupiał. Chciał się śmiać, ale się zawstydził. (Wszelkie tedy bliższe poufności Pepita odkłada na—po ślubie, dając mu całego strawnego rękę do pocałowania. Do twarzy ani dotknąć, chyba gwałtem, a ta zaraz w krzyk i mdleje, a potem jeszcze gniewa się.)

Posądzał mnie wojewodzie, że ja jój daję nauki, że mu przeszkadzam; ażem go wyłajać musiała, bo nieprawda! Taki rozum i statek w tej dziewczynie, że jak stara! powiadam panu.

Gdy go niema, to się rozpada za nim, że go kocha i życieby dała. a jak przyjdzie, to go trzyma na staję, w przyzwoitej odległości: ani przystępu!

Uważałam po kilku dniach, że wojewodzieciowi się to strasznie nie podobało; chciał nawet pono nastraszyć ją i kilka dni nie był, nie przyszedł. Pepita łzami się zalewała. Gdy wreszcie przybył, rzuciła się, ale jak pan myśli, z czułością? Gdzie tam! Poczęła go łajac po

polsku i po włosku, od psów, powiadam panu, od łotrów, od zdrajców; myślałam że on, impetyk taki, gotów awanturę zrobić, a ten stał, stał, słuchał, a potem jak padnie przed nią na kolana: — Moje ty bóstwo! — i t. d.

Wdowa ruszyła ramionami.

— Słuchajże pan to dalej, bo to nie koniec. Tego dnia za karę, jak się uparła ręki mu nie dać, nie dała.. A była taka poruszona, że jój łzy dziurkiem z oczów płynęły. I ten, proszę starosty, waryat, zbój, jak mamcią kocham, od tego dnia spokorniał do niepoznania.

To prawda — mówiła dalej Strańska — że gdy ona mu z oczów schodziła, a sam się ze mną zostął, buntował się, łajał, odgrażał, a byle ją zobaczyć, inny człowiek się z niego robił.

Ja, proszę pana starosty, tak mi Panie Boże! dopomóż i mojej Helusi! gdy się zdecydowałam pomagać im, to nie inaczej, jak do Sakramentu. Byłabym nie dozwoliła jój porwać bez ślubu, o! już co tego, tobym była dobrze dopilnowała, dałam sobie słowo; aż okazało się, że ta ani pomocy ani rady mojej nie potrzebowała. Kochanie kochaniem, a rozum! o to...

¶ Już jakem się przekonała, że tu niema się o co obawiać, więc czasami, aby im dać więcej swobody, wyjdę do mojego pokoju, zostawię ich samych, drzwi niby przymknę, sama stanę, słucham i patrzę. To, jak mamcią kocham, satysfakcya było widzieć to dziewczę, bo to, z pozwoleniem pana, smarkate, ledwie wyrosło, a taki w tém jakiś charakter, że, mówię panu, fraszka senatorskie dziecko!

Gdy ja się tylko z pokoju wysunę, on zaraz korzystając, zbliża się. Ale, gdzie!!! ledwie się podsunie, ta już grozi. Dała mu imię pieszczone, lichy wieć jakie; nazywa go Czenczi, i woła nań:

— Czenczi! proszę przyzwoitym być. Masz rękę do pocałowania i siadaj na swoim miejscu, a siedź spokojnie, bo pójde.

— Jaka bo ty jesteś niemiłosierna! — woła wojewodzie.

— Powiedziałam ci, że twoją będę, na dobrą i złą dolę, na życie i śmierć — odpowiada Pepita — dotrzymam ci, ale niech nas ksiądz zwiąże i pobłogosławi.

Więc wojewodzie, który jest wyszczekany, jak niemożna lepij, nuż dowodzić, że dosyć gdy Pan Bóg słyszy przysięgę; ona, tylko głową kiwa, listek gryzie w ustach, i, swoje a swoje.

— Kiedy się Pana Boga nie boisz—odpowiada—czegoż się masz bać księdza i świadka. Jak ślub weźmiemy, pojedę choć na koniec świata.

Więc, jak mamę kocham, powiadam panu, że czyste komedye, co ja się tu nasłucham i napatrzę! ¶

Przez Strańską dowiedział się starosta o całym biegu romansu, i pilnie śledził wszystkie jego przemiany. Wojewodzie, wedle jej opowiadania, w końcu złamany zarazem dowodami miłości i tym charakterem kobiety, która nad nim potrafiła wziąć górę, ofiarował się żenić, byle kto ślub chciał dać.

Pepita zaczęła nalegać na wdowę, aby ona przez swe stosunki z duchowieństwem, wymogła na którym z dominikanów, aby ich pobłogosławił. Wdowa ostrożnie starać się o to poczęła, mając od wojewodzica zapewnione sto dukatów dla księdza. Szło tylko o to, że wydawszy ostatni grosz na ślub, nie było o czém uciekać, a trzeba było koniecznie uchodzić przed zagniewanym wujem, dopóki by się go nieudało przebłagać.

Wojewodzie więc postanowił jechać do Warszawy, i, jak powiadał, choćby duszę zastawić przyszło, pieniędzy dostać.

O tej podróży, zaledwie uprojektowanej, Daliborski się zaraz dowiedział od Strańskiej, która dla niego nie miała tajemnic. Choćby była zresztą chciała co zatrzymać przy sobie, badając ją zręcznie, mienas w końcu co chciał dobył.

Jednego dnia uwiadomiony, drugiego już był pocztą w drodze do Warszawy.

Widzieliśmy co się tam stało. W Lublinie oczekiwano powrotu, niemając żadnej wiadomości o wojewodzicu. Pepita codzień przychodziła do wdowy, aby z nią mówić, aby wylać całe serce swoje i niepokojem się z nią podzielić.

— Dlaczego on nie wraca?—mówiła, ręce łamiąc—dlaczego ja się tak trwożę bez miary. Nie wiem sama czego się lękam, drżę. On tam może znajdzie piękniejsze odemnie, te obrzydłe wielkie panie, które mi go zbałamucić zechcą.

Strułabym go lub zabiła gdyby mnie zdradził!—mówiła do spokojnie głową potrząsającej Strańskiej.—Gdyby nie miał być moim, to niczym; a potem otrułabym się lub zabiła sama, bo ja bez niego żyć nie mogę, i nie chcę!

Z każdym upływającym dniem, w milczeniu głuchém, bez wieści, rósł ten niepokój, niecierpliwość, gorączka. Chociaż Pepita przed wujem starała się ukrywać stan swojego serca, nawet stary zaczynał mieć jakieś podejrzenia.

Jednego dnia przyszedł do Strańskiéj na kawę.

— Moja dobrodziejko—rzekł, całując ją w rękę—jesteś dobrze z tą moją drogą Pepi. Jéj coś jest. Ona cierpi. Staralem się wybadać: milczy. Oczy ma często zapłakane, nie jé, zamyśla się. Zlituj się, moja dobrodziejko, jesteś jéj przyjaciółką, uczyni to dla mnie, wybadaj ją, wyrozumiéj, co jéj jest. Czyby, uchwaj Boże, kochać się miała! Może to tylko zwykła choroba dorastających, bez oznaczonego przedmiotu, może tylko potrzeba kochania?

Strańska była mocno zakłopotana i zawstydzona, starała się uspokoić doktora.

— Panu konsyliarzowi z czułości się przywiduje—mówiła.—Dziewczę, jak wszystkie w tym wieku, ma melancholie, kaprysyki; to ją pan czém zabaw, rozerwij, kup jéj co.

Doktora to nie przekonywało, szeptał coś po włosku pod nosem.

Pepity niepokój w końcu już zdawał się zagrażać chorobą, wdowa nie wiedziała jak ją i czém skłonić do cierpliwości, wyrwała się z pogróżkami rozpaczliwemi.

Tak stały rzeczy tu, gdy Daliborski nazajutrz, po wypadku z wojewodzicem, zobaczywszy go napót umarłego, w fiakrze leżącego, nagle wszystkie swe wizyty pooddawał wieczorem i zapewne dla pilnych interesów do Lublina powrócił.

Trzeciego dnia, wypadkiem tą razą, spotkała się z nim około ratusza Strańska i sama go zatrzymała. Mecenasa mało okazywał ochoty do rozmowy, ale wdowa miała jéj wielką potrzebę.

— Żebyś pan starosta wiedział, co ja mam za kłopot z tą dziewczyną, to nie do opisania. Powiadam panu, jak mamę kocham! waryujel... Wojewodzie pojechał i jak w wodę wpadł; żeby choć słowo napisał... Miał za dni sześć, siedem powrócić, a tu go jak niéma tak niéma!

Daliborski z jakąś złośliwością niepoczciwą odezwał się szydersko i niełitościwie:

— A jak ma pisać, ciekawym, kiedy może go już na świecie niéma. Wracając z Warszawy, powiadali mi, że go w pojedynku, bez mała, zabito.

Strańska o włos nie padła ze wzruszenia, postłyszawszy to. Uczępiła się mecenasa o szczegóły, gdzie, jak, od kogo to słyszał? ale Da-liborski zbył ją ogólnikami:

— Całe życie awanturnikiem był, świerzbiała mu dłoń, naostatku trafiła kosa na kamień... dograł się!

Ani sposobu było dowiedzieć się więcej od niego. Starosta zaprzysięgał, że sam nie wie nic nad to, iż w burdzie jakiegoś wojewodzie był śmiertelnie ranny i że mu życia nie rokowano.

Z tą wiadomością, cała wzburzona, wróciła do dworku Strańska. Najwięcej ją to przerażało, iż znając siebie, wiedziała, że języka za zębami nie utrzyma, wygada się niezawodnie przed Pepitą, a naówczas... Naówczas już niepodobna było nawet przewidzieć, co się stanie!...

Łamała ręce, rozpaczała; doktor się mógł dowiedzieć, zerwać stosunki, oszkalować ją przed ludźmi jako intrygantkę: naówczas musiałyby się chyba wynosić z Lublina.

W tych myślach przeżyła dzień, który się jój nieznośnie wydał krótkim, tak lękała się wieczornego przybycia Pepity. Gdy zwykła jój godzina nadeszła, Strańska tak pomieszana na jój spotkanie się wysunęła, iż gdyby nie lekka słabość Helusi, na którą złożyła swój smutek i niepokój, domyśliłaby się może Pepita, iż coś wiedzieć musiała.

Dosyć niezręczna wdowa, sądząc, iż należało powoli przygotować dziewczę, zaczęła najniezgrabniej napomykać o losach ludzkich, o życia nietrwałości, o wypadkach, do których człowiek zawsze przygotowanym być powinien.

Ta rozmowa wzbudziła podejrzenie w Pepicie, która jak piorunem rażona, rzuciła jój w oczy, że ona coś wiedzieć musi. Padła przed nią na kolana błagając:

— Mów! jeśli masz litość nadeniłą! Najgorsza wiadomość lepsza od niepewności. Mów! choćbyś mnie ubić miała! mów!...

Obejmowała ją rękami, całowała z płaczem, nagliła, zaklinała. Strańska w końcu wyznała jój, o czém się przypadkiem dowiedziała od mecenasa.

Pepita słuchała z oczyma suchými, wstrzymując oddech, bladeła, drżała; lecz ani padła, ni omdlała, ni straciła przytomności. Cios był tak silny, iż ją jak w kamień obrócił.

Nie mogła płakać. Stała nieruchoma, bez słowa na ustach, nie okazując napozór bólu; zwolna rękę przyłożyła do serca i oddaliła się ku oknu.

Wdowa, boleści kobiécj nie pojmująca inaczej, jak krzykliwą, głośną i patetyczną, nie umiała sobie wytłómaczyć téj, jak się jój zdawało, obojętności.

Pepita dała się jój poprowadzić do krzesła, posadzić w niem; cała była zatopiona w sobie. Strańska nie rozumiała jój, ona nie wiedziała ani jój, ani tego co ją otaczało. Mała Helusia sparła się, szczebiocząc, na jój kolanach: nie postrzegła ulubionego dziecka.

To straszne zdrtwienie trwało długo. Słowa z niój nie mogła dobyć Strańska. Czuła, że coś się w téj biédnej głowie musiało ważyć, że myśli straszne i wielkie po niój się błąkały; lecz na najczulsze zakłęcia i nalegania nie powiedziała nic biédna Pepita. Uścisnęła Strańską, pocałowała ją i zażądała do domu powrócić.

Oczy jój czarne, stojące słupem, nieruchome, miały taki jakiś wyraz; twarz była tak marmurowo blada, że wdowa zrazu jój obawiała się puścić i gdy się napierała powracać, w końcu sama ją przeprowadziła.

Tu, Gawłowskiéj szepnąwszy słowo na ucho, oddaliła się. Pepita wprost pobiegła do swojego pokoju i w nim się zamknęła.

Srodze przyszło Strańskiéj tego dnia za lekkomyślność swoją odpokutować. Powróciwszy do domu ogarnęła ją trwoga, rozpacz niemal. Znała gwałtowną miłość dziewczęcia, lękała się, aby na życie się swoje nie targnęła. Wprawdzie zaleciła Gawłowskiéj największą pilność, ale jój nie mogła wyjawić, jak dalece położenie było groźném.

Przez całą noc prawie, Helusię uspiwszy, wdowa płacząc i desperując, odprawując na tę intencją wszelkie nabożeństwa, jakie tylko najskuteczniejsze znała, polecając się wypróbowanym patronom, miejscom świętym i relikwiom, ślubując rozmaite ofiary do cudownych obrazów i oltarzy, spędziła nie mogąc usnąć. Nad ranem dopiero zmrużyła oczy, ale we snach prześladowały ją okropności takie, że się zbudziła o brzasku.

Ranek był mglisty i pochmurny, wdowa, którój ciężko było oddychać, poszła z bawiałego pokoju okna otworzyć w ulicę; jeszcze nawet drzwi domu stały zamknięte, gdy usłyszała dobijanie się do nich. Wyrzała i zobaczyła Melliniego, bez czapki, w rannym przyodziewku szturmującego do wnijscia. Sama mu pobiegła otworzyć, bo czuła,

że się jakieś nieszczęście stać musiało. Stary wpadł jak nieprzytomny, machając rękami, okazując rozpacz, której wypowiedzieć nie mógł.

— Pepita!—wołał—Pepi! moje dziecko: moja pociecha jedyna! Niéma jój! znikła! Złoczyńca jakiś!...

Strańska ledwie go potrafiła usadowić w krześle i do tyła uspokoić, aby jój wytłómaczył co się stało.

Mówił tak rozerwanemi wyrazy, przerywając sobie ciągle wykrzyknikami rozpaczliwemi, iż dużo czasu było potrzeba, aby nakoniec dowiedziała się z jego mowy, iż Pepita, zabrawszy dosyć znaczny zapas pieniędzy, jaki był u niój w schowaniu, w nocy znikła z domu.

W rękę trzymał Mellini jeszcze zmiętą kartkę, znalezioną w jój pokoiku, na której napisała słów kilka, błagając o przebaczenie i o litość.

Mellini nie mógł pojąć, zrozumieć, domyslić się, jaki był powód tego szalonego kroku. Wiedział, że nic innego, jak gwałtowna jakaś miłość, nie mogło spowodować ucieczki; lecz łamał głowę, kto mógł być tym uwodzicielem. Pepi nikogo nie znała bliżej, nikt w domu ich nie bywał.

Strańska nie mówiła nic.

W końcu odważyła się zdala zwrócić jego uwagę na to, że ów chory młodzieniec, przyjaciel księcia generała, mógł potajemnie związać stosunki z Pepitą, która, jak się domyślała wdowa, dosyć nim była zajęta. Nie przyznała się do pośrednictwa, starała się tylko upewnić doktora, iż, o ile znała Pepi, mógł o nią być spokojnym, bo miłość musiała się zakończyć małżeństwem.

Mellini uderzony był trafnością domysłów wdowy.

— A! nieszczęśliwy dzień ten i godzina—zawołał—kiedym go pod dach mój przyjął. Są więc losy nieuniknione! Dla piękności tego dziecka, aby ją uchować od zetknięcia się z tym zepsutym światem, porzuciłem służbę, dwór, wywlokłem się tu na stare lata. Nieszczęście rzuciło pod nogi jój wpółzabitego człowieka, nad którym ulitować się było potrzeba, który za ocalone życie miał się na mnie pomścić zabójstwem!!

Mellini płakał jak dziecko...

Strańska powtarzała mu, że się ożeni.

— Ożeni się!—krzyknął w gniewie doktor—cóż mi z tego? Jutro się rozwiedzie, uczyniwszy ją na całe życie nieszczęśliwą, jeśli nie zepsutą i strutą swym oddechem. Wasani ich nie znasz!

Cóż dla tych pół-bogów znaczy biędna dziewczyna? To zabawka, za którą milion dziś dać gotowi. a jutro za okno wyrzucić.

Co mi po jego ożenieniu! Niéma mejj Pepi! niéma! Wróci inną—ja jēj nie chcę!...

Po długich takich wyrzekaniach jednostajnie się powtarzających, Mellini ledwie się dał odprowadzić nazad do domu, gdzie wszystko szlochało i płakało, chodząc zrozpaczone po panience kochanej.

Gawłowska dowodziła na swą obronę, że po północy jeszcze, z wieczora pannę widząc niespokojną, chodziła pod drzwi jēj podsłuchiwać, że cicho było w pokoiku i sądziła, że usnęła.

Jedna z dziewcząt, śpiących w kuchni, słyszała wprawdzie późno w nocy, jakby otwierające się drzwi na ulicę, które potém w istocie znaleziono nie zamknięte rano, ale wstać się obawiała.

Mellini nie pojmował w ostatku, jak ona sobie radę dać mogła, przypuszczał wykradzenie; Strańska, która wiedziała, że Pepi wykradła się sama, dziwiła się odwadze jēj jeszcze więcj.

Ochłonawszy trochę, Mellini, nie dbając już wiele o żadną kompromitacyą, pobiegł na miasto, rozpytując po sąsiednich dworach, po ludziach, czy kto uchodzących nie widział. Wkrótce i na Winiarach i po całym mieście nie mówiono tylko o tém. Biegał nieprzytomny zaczepiając wszystkich, rozpytując nieznanomych. Wpadł nawet najniepotrzebniej do Daliborskiego, chcąc go prosić o pomoc i radę.

Starosta, wyrozumiawszy o co chodziło, nadzwyczajnie się zdumiał. Mellini wprost, już napewno, mówił mu o wykradzeniu siostrzenicy przez wojewodzica.

— Co mi pan mówisz! panie konsyliarzu—odparł z tęgą Daliborski—ja powracam z Warszawy, wojewodzie tam jest, a pewniej na mogiłkach niż żywy, bo go zakłuto w pojedynku. Sam na oczy moje widziałem trupa.

Doktor nie mógł już nic pojąć. Jeśli więc nie z wojewodzie, z kim uciec mogła? Dla kogo? Znowu najstraszniejsza niepewność o los Pepity obarczyła go. Było w charakterze Daliborskiego, znęcać się nad ludźmi.

— Niéma wątpliwości—rzekł do Melliniego wprowadziwszy go do gabinetu—że waćpana siostrzenica miała jakieś stosunki z wojewodzie, który się do niej wieczorami podkrađał. O tém wiedzieli ludzie, tyłkos waćpan był ślepy.

Dobijał doktora, który głowę zwiesiwszy na piersi, siedział półżywy, słuchając.

— Wykraść jęj jednak nie mógł—dokończył mecenas—bo go tu nie było. Chyba się dowiedziała o jego śmierci, gdyż sądzę, że pewnie musiał umrzeć i poleciała go choć w trumnie zobaczyć.

Po tęg rozmowie Mellini nie miał siły zawlec się do domu, dobiło go to, iż nawet taki obcy mu zupełnie Daliborski, wiedział o roman-sie, który pod jego dachem się odbywał, a on nań był ślepym. Zgubę nieszczęśliwego dziecka przypisywał sam sobie.

Gdy się znowu znalazł w swym dworku, Mellini oprzytomniał i ostygł nieco. Nie było wątpliwości, że Pepi musiała zbiedz do Warszawy do chorego czy umarłego. Cóż mu pozostawało nad gonienie dziecięcia i ratowanie go?

Zaledwie myśl tę powziął, natychmiast do wykonania przystąpił. Resztę pieniędzy, pozostawionych w domu, zabrawszy, posłał po pocztę i nie żegnając nawet Strańskięj, wyjechał do Warszawy.

Zobaczywszy go już odjeżdżającego, wdowa wybiegła, aby się coś dowiedzieć. Mellini ledwie kilka słowy ją zbywszy, pośpieszył w po-goń. Chociaż przepłacał pocztylionów i na chwilę nigdzie nie spoczy-wał, po drodze nie napędził, ani się mógł cokolwiek dowiedzieć o zbiegłęg.

Siły starego opuściły tak, że w końcu leżąc już na bryczce wieść się kazał. Pocztylioni, litość nad nim mając, opiekowali się osłabłym i zapominającym o wszelkim posiłku.

Zerwał się dopiero z tęg pościeli, gdy mu oznajmiono, że most już miał przebywać i Warszawa była za nim. W tęg wielkięj stolicy miał wprawdzie, poczynając od księcia i jego matki, bardzo wielu zna-jomych; lecz do kogóż się miał udać, aby zamiast rady i pomocy nie zostać wyśmianym? Rozgłaszać tak własną hańbę i upokorzenie było nad jego siły.

Pocztylion który go wiozł, nieodbicając na kilkakrotne zapyta-nia odpowiedzi, dokąd go miał zawieść, z własnego domysłu, zawa-hawszy się między kapitanową na Miodowęj, a Orłcm na Tłumackiem, powiozł go do tęg gospody, do któręj najwięcęg zajeżdżało osob.

Mimowolnie oczy Melliniego, który od lat kilku nie widział War-szawy, ściągnęła nlica, któręj nigdy tak ożywionęj, tak wrzącęj jakięms życiem wezbraném nie widział. Zdało mu się że trafić musiał na jakiś dzień świąteczny, chociaż był on powszednim. Nieustannie po-

mijać musiał powozy, z których wyglądające twarze wesołe i śmiejące się, swobodną myślą, rozjaśnione, zdążyły się jego boleści i pogębieniu uragać.

Skromna bryczka pocztowa, pomimo swęj trąbki musiała co moment ustępować z drogi poszóstnym i poczwórnym zaprzęgom, przed którymi pędzili konni, lub gnali laufrowie. W powietrzu czuć było jakąś, rażącą przykro Melliniego wesołość i rozpasanie ochocze. Dzwony były wieczorne nie tęskną nutą modlitwy, ale tonami tryumfu i wesela; kilku konnych panów minęło go rzucając mu śmiech w oczy.

W niezmiernie wysokiem wiskey jechał elegant powożący się sam czterma końmi, które lekki powozik jak piórko niósł. Młodzieniec siedzący na koziołku, głową niemal sięgał okien pierwszego piętra, z których niewieście główki w wielkich fryzurach i jasnych wstęgach uśmiechały mu się.

Zdale słyhać było bęben i fujarkę jakiegoś wojska oddziału, mającego wartę zaciągać.

Ledwie się bryczka mogła przecisnąć przez tłumy powozow, pieszych i jeźdźców i już się ku Tłumackiemu zbliżała, gdy usłuźni żydkowie poczęli ją otaczać i chwytać za fartuch, za luśnię, i, mimo opędzań pocztyliona zapraszać do różnych gospód po drodze. Jedni gwałtem rwali do Marywilu, drudzy na podwórze, inni do kapitanowej, a wszyscy zaręczali zgodnie że pod Orłem ani dla muchy miejsca nie było, że w całej Warszawie nie mogła się już i śpilka pomieścić, tylko tam, gdzie oni prowadzić chcieli.

Pomimo tych zapewnień, doktor dostawszy się pod Orła, otrzymał obietnicę pomieszczenia choć pod dachem. Zwlókł się złamany, nie widząc już nic i nie słuchając co się działo dokoła i zabierał się iść na górę, gdy postyszał głos nad sobą:

— Mellini! czy mnie oczy nie mylą! a ty co tu robisz? czy chcesz nam chleb odebrać? a to ci mało Lublina?

Tak śmiejąc się witał go stary znajomy, schodzący właśnie ze wschodów doktor Becker.

Żartobliwy ten ton jednak zmienił natychmiast, spojrzawszy na Melliniego bacznie. Starzec był ledwie żywy, ból, podróż, znużenie siły jego wyczerpały.

— Giacomo? co ci jest?—zapytał chwytając go w objęcia doktor...

— Jestem nieszczęśliwy! jestem najnieszczęśliwszy z ludzi!—jęknął doktor...

— Ty się ledwie trzymasz na nogach!

— Ja się ledwie przy życiu trzymam!—odparł Włoch.

— Ale cóż to jest—począł Becker—pozwól, ja cię tak opuścić nie mogę. Koledzy jesteście, chodź, daj mi rękę!

Może ci w czém pomocą być potrafię.

Mellini dawał z sobą robić co chciał litościwy ów towarzysz. Weszli tak na górę, mijając jedne drzwi, Becker wskazał na nie.

— Mam tu chorego—rzekł—porąbanego i pokłótego, tak iż wątpię by wyszedł cało, chociaż natura nadzwyczaj silna. Właśnie od niego powracam, i prawdziwie nie wiem, czy scena, której byłem tylko co świadkiem u niego, wyjdzie mu na zdrowie czy go dobije. Godzina temu może, gdym siedział przy łóżku jego opatrzywszy rany i badając gorączkę w pulsie, wtém drzwi się otwierają, wpada kobieta, cała okurzona podróżą, jak szalona rzuca się na łóżko z krzykiem i... mdleje na jego piersiach. Ledwie ją ocucił, ledwie też potrafiłem chorego po tém wzruszeniu niepotrzebném uspokoić. Prawda że dziewczę jak anioł śliczne, że miłość gorąca, ale może mi dobić pacjenta.

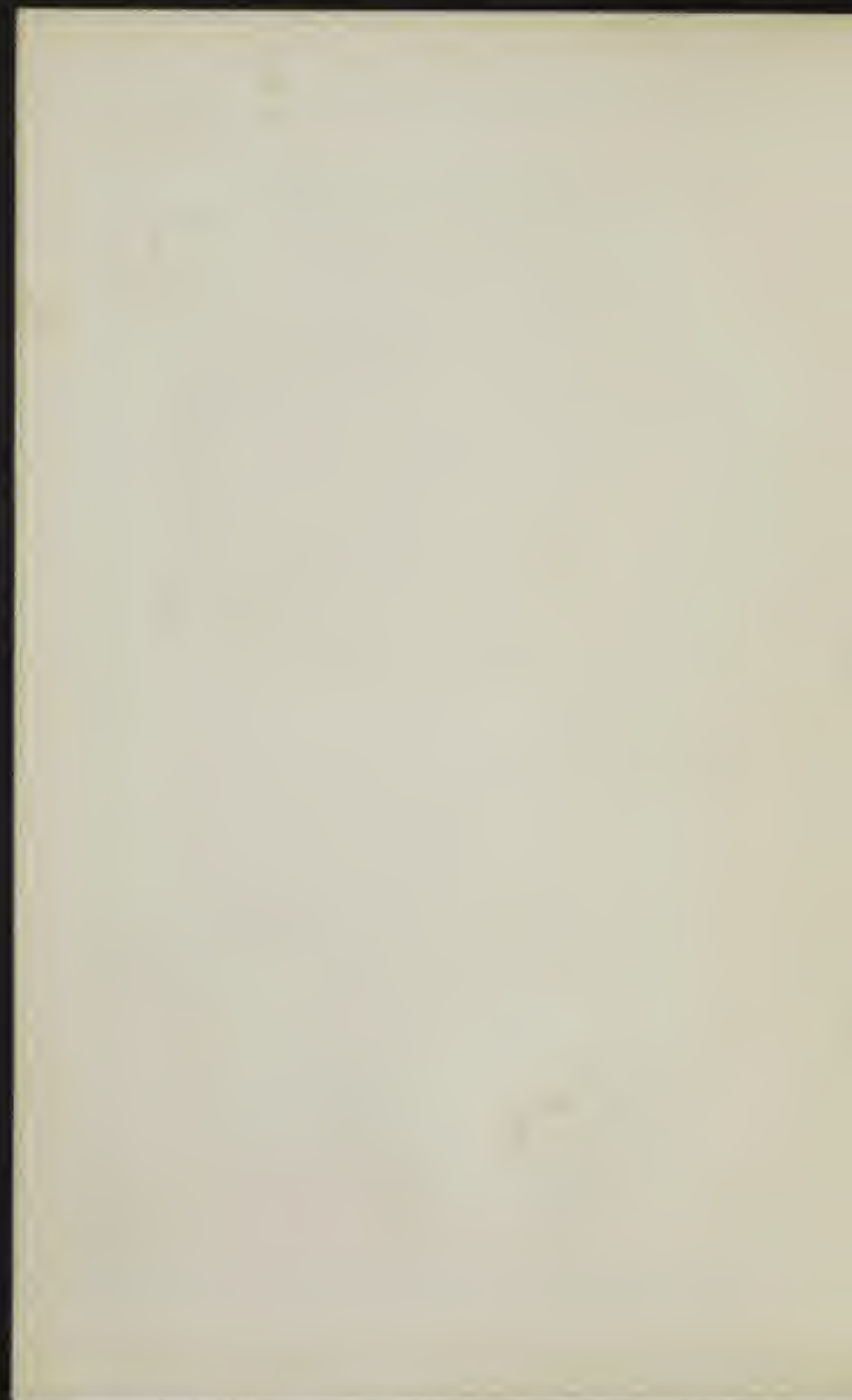
Mellini stał, słuchał i nagle rzucił się w objęcia Beckera.

— Jój imię! na miłość Bożą; jój imię...

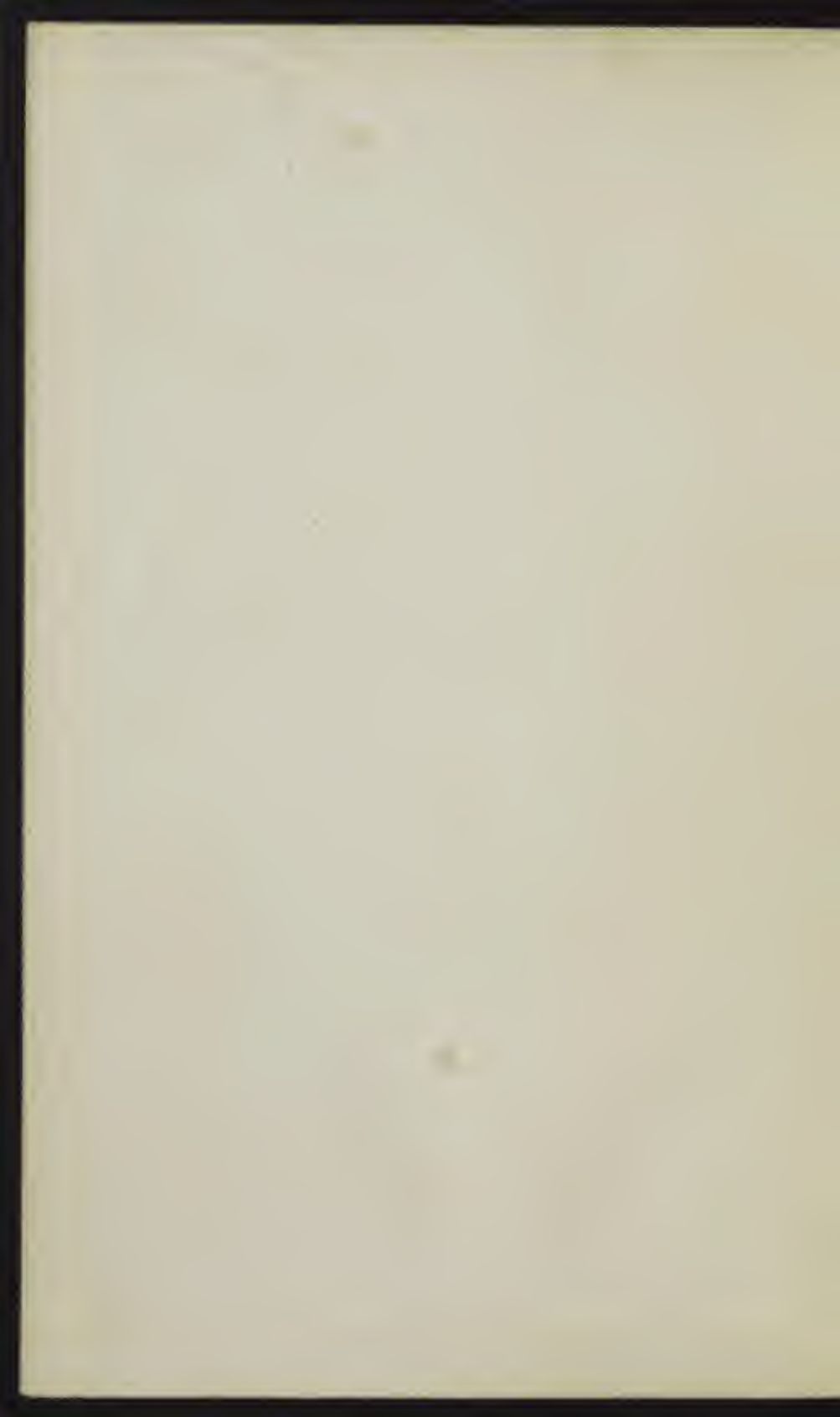
— Pepi!—odparł Becker...

Doktor ścisnął go płacząc...

— Życieś mi wrócić!—zawołał...



II.



Pani starościna siedziała przed wielkiem zwierciadłem, była godzina ranna jeszcze; zwiędła twarz starój zalotnicy właśnie się na wystąpienie w świat przygotowywała. Dwie służebne zajęte były podawaniem rozmaitych kosmetyków, porcelanowych puszek z bielidłem, różem i smarowaniami. Począwszy od oczów, brwi, do ust i podbrodka, wszystko potrzebowało restauracyi umiejętności. Resztki piękności należało sztuczną podnieść młodością. Pani starościna oczy miała pilno zwrócone na zwierciadło, a własne jój ręce pracowały nad malaturą, z której nie była kontenta, bo się rzucała i krzywiła, gniewając na sługi.

Naprzeciw niej na berzerce siedziała córka, w rannym jeszcze stroju, spoglądając na matkę z rodzajem politowania. Ona nie potrzebowała jeszcze tych starań aby być piękną, dosyć jój było lekkiego obloczku bielidła, niedostrzeżonego pyłku rumieńca, jeśli naturalnego zabrakło po znużeniu życiem pracowitem. Mówiły z sobą po francuzku, aby służące zajęte około starszój pani, nie zrozumiały rozmowy.

— Stary jest od kilku dni nie swój—mówiła wojewodzina—trochę chory, nogi mu brzęknęły, ale toby nie było nic; ma jakieś zmartwienie: ja go znam, kryje się z czémś przedemną. Napróżnom mu dała rękę do całowania, co zawsze skutkuje; poślinił, zamrugął, ale się nie przyznał do niczego.

— Ja ci powiadam, to sprawa Filipa tego. On ma za domem konszachty, on mu przynosi jakieś wiadomości o synu; tego trutnia wypędzić potrzeba, bo on nigdy szczerze nam nie będzie życzliwym.

— O! na to wieleby potrzeba—odparła wojewodzina.—Próbowałam razy kilka, mówiłam o pensyi, o nadaniu gruntu, o dożywociu. Wojewoda swoje a swoje: „chyba chcecie śmierci mojej.”

— O! śmierci! to się tak gada!—żywo przerwała starościna. Będzie dwa dni stękał a trzeciego zapomni. Proszę cię, i mnie się zdało gdy moja Barciszewska szła za męża, że ja się bez niej nieobejdę.

— Ale to niedołężny starzec—odparła wojewodzina—zupełnie zdziecinniał.

— Dla tego właśnie i słuchać go nie potrzeba. i nie dawać mu swoim fantazyom dogadzać. Poprostu, innego przyjąć a tego won!

Wojewodzina zamilkła, bawiła się pierścionkiem zdjętym z palca, zamyślona. Po przestanku cicho szepnęła:

— Nie chciałabym, przyznam się mamie, przyprowadzać tego niepocziwego Filipa do ostateczności: może się wypaplać!

Starościna ruszyła ramionami.

— Któż mu uwierzy! Ze starym należy postępować energicznie.

Wojewodzina zadumała się.

Szła dalej nadzwyczaj powolnie ubieranie starłej lalki, która koniecznie jeszcze piękną być chciała, i w zwierciadle przyglądała się sobie ze stron wszystkich, niekiedy półśmiechem witając wspomnienia dawne.

— Do kogo się mama tak dziś stroi?—spytała ironicznie córka.

— To moja tajemnica—rzekła stara kokietka. Może też i ja jeszcze potrafię schwytać drugiego takiego tłustego szczupaka. Kto wie?

— Tylko niechże sobie mama wybierze mniej zgryźliwego, podejrziwego, a najlepiej takiego, któryby już się z krzesła nie ruszał.

Uśmiechały się obie.

— Zobaczysz! wybór mój będzie rozumny!

Zapukano do drzwi, jedna ze służb wyrzała, i wojewodzinie podała bilecik, która przeczytawszy go, zmarszczyła się i matce podała. Starościna rzuciła nań okiem i zamruczała:

— *Il a la vie dure!*

Spojrzały na siebie, wojewodzina poczęła żywo:

— Ale to niepodobieństwo aby wyżył. Mówiono mi na pewno, że doktor Becker wcale nie ręczył za uzdrowienie. Płuca być mają przebite, krwi stracił wiele.

— Ja ci powiadam—przerwała starościna—że tacy ludzie co są drugim ciężarem, żyją najdłużej. Ja za nic nie ręczę, gotów wyzdrowieć.

— Nie, to nie może być!—zaczęła z wielkiem poruszeniem mówić wojewodzina.—Pierwszych dni zaręczali wszyscy, *qui il était agoni-sant*.

— Ja temu nie wierzyłam—odparła starościna. Przyznam ci się tóż, iż za bardzo niebezpiecznego nie uważam go teraz. Między nim a ojcem rozbrat jest wieczny...

— Ale póki on żyje, ja konać będę—zawołała wojewodzina, na którą cisnęła wejrzenie matka. Ten człowiek, ten człowiek, dopóki on chodzi po ziemi...

— Kochana Dosiu—odezwała się cicho starościna—tyś temu wiele winna.

Wojewodzina miała łzy gniewu w oczach, bilet, który trzymała w ręku zdarta w drobne kawałki. Wśród milczenia chwilowego drugi raz dało się słyszeć do drzwi pukanie, i drugi bilet podano pani wojewodzinie, ale ten był dłuższy i niespokojna poszła z nim do okna, a oczy troskliwej matki za nią.

Usiłowała widocznie odgadnąć treść téj korespondencyi, po twarzy córki, która płonęła żywym rumieńcem i bladła... Oczy z pośpiechem przebiegały papier na trzy strony zapisany.

— Cóż za lawina listów dzisiaj!—odezwała się matka, chcąc wywołać tłumaczenie.

Ale czytająca tak była niezmiernie zajęta listem, że nie słyszała głosu matki. Po długim obracaniu na wszystkie strony, wcisnęła go do kieszeni.

— Cała historia znowu!—zawołała poruszona—ale niema w tém nic złego... Piękny ów rycerz karczemny, uwiodł sam jakąś dziewczynę, która za nim aż tu wczoraj przyleciała. Scena patetyczna przy łóżku chorego, którego stan się, chwała Bogu, pogorszył znacznie.

— Trzeba żeby kasztelan dziś wieczór, pięknie tę historyjkę ubrawszy, staremu opowiedział; nigdy takich środków zaniedbywać nie potrzeba: nowe uwiedzenie, karczemna zwada, niech zna tego kochanego swojego pierworodnego...

Wojewodzina stała zamyślona.

— Zapewne—odezwała się—a jednak gdy stary jest chory, nie dobrze jest go gryźć i dobijać; mamna więc, że na wypadek katastrofy, nasze interesa nie są poregulowane. Doktor powiada że ta pedogra może pójść do góry...

— Ale, moja droga, to też interesów tak zwlekać i ciągnąć się niegodzi. Czegóż się ociągać? niech sobie ludzie plotą co chcą!

Pedogra może uderzyć bez żadnej widomej przyczyny...

— Mówiłam już kilka razy—szepnęła córka—ale żeby doprowadzić do końca, trzeba by z mojej strony takich ofiar, takich obrzydliwych przymilań, do których ja w tej chwili, doprawdy, nie czuję się zdolną.

Mówiąc to wojewodzina wstrząsła się cała i plunęła, potem zwróciła ku oknie i zapatrzyła w nie.

— Daliborski jest bardzo zacny człek—dodała zimno staroscina—a potem, zdaje mu się że trochę we własnej sprawie działa. Umiąłś go doskonale usposobić.

Wojewodzina z pogardliwą minką odparła:

— A! mam go już dosyć tego Daliborskiego; prawda, że do czasu go oszczędzać potrzeba, ale tak jest złego tonu, tak trywialny...

— Przecież, kochana Dosiu, i ten był dawniej w łaskach: tylko się nie gniewaj!

Dwie kobiety zmierzyły się wzrokiem, weale nie właściwym matce i córce.

— A jeżeli mama też ma prawo, wymawiać mi, chwilowe fantazje moje. Któż ich nie miał?

Staroscina nśmiechnęła się ironicznie.

— Tak i nawet ja, ale byłam szczęśliwsza.

— Może zręczniejsza—dodała córka.

— Dosiu—krzyknęła matka głosem zmienionym.

— Mamó! — odpowiedziała córka, której twarz zaogniła się gniewem.

Usłyszawszy to, służące, widąc przywykłe już do podobnych wybuchów pomiędzy staroscina a wojewodzina, zwinęły się i pouciekały. Zostały sam na sam z sobą matka z wyrazem szyderstwa na twarzy, córka rozgniewana i czująca się panią w domu. Chwilę milczenie trwało: obu im głosu zabrakło.

— Bardzo mamę proszę—odezwała się z dumą i tonem niemal nakazującym wojewodzina—ażebym więcej w *moim* domu nie potrzebowała znosić takich scen!

Staroscina odwróciła się do niej, wstrzymując widocznie gniew, którym wrzała, zaciskując usta i prostując się.

— Jesteś niewdzięczną! — zawołała głosem stłumionym — wyrodném dzieckiem! Gdybym cię nie ratowała, gdybym ja tego małżeństwa nie sklepiła, pomyśl co by było! wszystko mnie winna. Ratowałam cię od sromu i ty! jakaś!

— Niémamy sobie nic do wymówienia — ze złością syknęła córka — szłam za przykładem mamy dobrodziejki!

Rozśmiała się szatańsko.

— Mama mnie zinusza abym to wypowiedziała... mama...

Nic nie mówiąc już, z załamanemi rękami starościna padła na krzesło.

— Proszę ze mną nie grać żadnych komedyi — dodała zimno córka — to na mnie efektu nie robi żadnego: nadto się znamy.

Postała chwilę u progu i trzaskając drzwiami, wybiegła.

Starościna pozostała chwilę w krześle, westchnęła, podniosła się, popatrzała w lustro, poprawiła coś we włosach, i niecierpliwie zadzwoniła na sługę.

Garderobiane, które zapewne czekać musiały zawołania, nadbiegły natychmiast, dokończyć toaletę pani. Wdziewano właśnie robron i suknią, gdy wojewodzina zjawiła się w progu...

— Mamo — odezwała się mocno poruszona — wojewoda Mokronoski domaga się gwałtem widzieć ze starym. Głowę tracę co począć. Jestem najpewniejsza że nie bez myśli przybył, czuję że będzie mówił za tym gałganem, że starego zaniepokoi, poruszy. Jestto jego najlepszy przyjaciel... Co ja pocznę?

Matka, pomimo świeżo przebytej sceny, choć w niej jeszcze wrzało, odezwała się chłodno:

— Odprawić go!

— Niepodobna! Całe miasto mówić o tém będzie.

— To razem z nim idź do męża i bądź świadkiem rozmowy.

— Chce się widzieć sam na sam.

— Rób co chcesz! — syknęła starościna — mojego rozumu nie potrzebujesz, a rad moich i uwag nie przyjmujesz. Nie chcę się mieszać do niczego.

— Ale, mamo, tu idzie o nas obie! — drżącym głosem dodała młoda.

— Nic innego poradzić ci nieumiem — odezwała się starościna gwałtownie — albo go nie puszcząć, lub być przy rozmowie...

Gdy tu trwała jeszcze narada co do wojewody Mokronoskiego, on tymczasem, nie bardzo słuchając służby, napoť gwałtem poszedł do pokoju gospodarza i już siedział przy nim.

Byli przyjaciółmi młodości.

Słowo o Mokronoskim. W czasie tym, w którym dwór i społeczeństwo nasze ulegało tak wielkiemu wpływowi Francyi, wojewoda był jednym z tych, co francuzki ton, obyczaj, dowcip, najlepiej w kraju rozpowszechnili. Część życia spędziwszy za granicą, w służbie francuzkićj, przyjaciel od serca hetmana starego Branickiego, był późnićj jego prawą ręką i długi czas domownikiem. Gdy Czartoryscy, chcąc sobie pozyskać Branickiego, wydali za starca piękną Poniatowską, sądząc że ona nad nin młodością swą, wdziękiem i rozumem zapanuje, stała się rzecz wcale niespodziewana: hetman ujęty zrazu przez żonę, wkrótce ostygł dla nićj, i nie zmienił ani polityki, ani przekonań. Żona nie potrafiła zapobiedz rozbratowi między familią Czartoryskich i Poniatowskimi. Położenie jćj w Białymstoku, przy całym poszanowaniu, jakie dla nićj miał stary mąż, stało się nieznośnem; kobięta dumna, odosobniona, opuszczona, znalazła w przyjacielu hetmana Mokronoskim, doradcę, pośrednika, sługę i... wielbiciela. Mąż patrzył zupełnie obojętnęm okiem na te stosunki, które trwały do jego zgonu, a po śmierci Mokronoski wziął ślub potajemnie z panią Krakowską.

Siostra królewska oddała mu dawno serce, późnićj rękę, ale tytułu pani Krakowskićj poświęcić dlań nie chciała. Mokronoski był, o tén wiedzieli wszyscy, morganatycznym mężem siostry króla, miał wielkie znaczenie i zasługiwał na nie rozumem, taktem, wykształceniem, charakterem.

W tych latach trzymał się on dosyć zdala od dworu i polityki. do którćj pani Krakowska mieszała się chętnie, razem z bratem prymasem i całą rodziną, popierając stosunki ścisłe z ambasadorem. Bez pani Krakowskićj rady, nie stąpił król; opowiadano pocichu, że ona z panią Grabowską, wprzód niż król, depesze odpieczętowywały, i przez Komarzewskiego zdawały z nich sprawę, gdzie należało. Wojewoda we wszystkich tych intrygach, jakie się naówczas płać zaczęły, gdy już partya pruska zawiązywać się miała, nie miał prawie udziału. Był to człowiek znużony, wyżyty, zobojętniały, rzeczy widzący dosyć czarno. Oprócz tego, od niejakiego czasu czuł się na zdrowiu gorzćj, i przesiadywał częścicj na wsi, zdala od coraz rosnące-

go gwaru stolicy. Mało go też widywał wojewoda i przybycie starego przyjaciela było mu wielce pożądanem.

Przez żonę i matkę jęj odosobniano od świata, zamykany pod pozorem choroby, nie widując nikogo oprócz tych, których dwie jejmoście wybrały, stary nudził się i dręczył. Gdy mu oznajmiono o Mokronoskim, ręce wyciągnął chciwie, usiłował się podnieść z krzesła, wychylił się cały ku niemu, i gdy wszedł rzucił się go ścisnąć za łzami, bo łzy teraz bardzo często i łatwo mu z oczów płynęły.

Mokronoski też poruszony był widokiem chorego, którego jeszcze pamiętał żywszym, chodzącym i nie tak na zdrowiu podupadłym.

— Coż się z tobą stało!—począł po francuzku, zbliżając się doń ze współczuciem—co ci jest?

— Pedogra!

— Ale my wszyscy ją mamy!—zawołał generał—chyba cię źle kurują, albo młoda żona nadto pieści.

Na wspomnienie żony, uśmiech jakiś dziwny skrzywił usta wojewodzie. i, jak gdyby wywołano ją temi słowy, weszła właśnie pani wojewodzina—z twarzą zarumienioną, z pałającemi oczyma, które jęj po kłótni z matką pozostały. Mokronoski pośpieszył ją powitać z wielką grzecznością, ale chłodno bardzo i ceremonialnie, chociaż młoda pani usiłowała go uśmiechami wymuszonymi skokietować i zyskać. Generał był już syt niewieścich wdzięków, pieścizot i uroków, nie dał się też ująć łatwo.

— Panie hrabio—szepnęła mu zaraz przy powitaniu piękna wojewodzina, mój mąż jest niezmiernie osłabiony. Pewna jestem że go bytność pańska ożywi i poruszy, ale... żeby nie nadto... Męczy go teraz biédnego wszystko.

Mokronoski słuchał obojętnie, bystro patrząc w oczy mówiącej.

— Niech się pani wojewodzina nie obawia o jego zdrowie—rzekł—znamy się dawno i blisko. Prosiłbym aby nas samych zostawić, bo mam w moim interesie kilka słów z nim do pomówienia.

Bardzo zręcznie tego krótkiego *a parte* użył generał, aby się pozbyć wojewodziny, która nie umiała mu odmówić, zawstydziła się, zmieszła i zaleciwszy, nader czule mężowi, aby się nie poruszał i nie męczył, przyczém nawet rączkę dała do pocałowania, co przy gościach prawie zawsze się trafiało, wyszła gniewna i nadąsana.

Starzy przyjaciele zostali sami.

Zdaje się że Mokronoski musiał być doskonale o stanie rzeczy w domu wojewody uwiadomionym; w chwilę bowiem po wyjściu jego żony, poszedł do drzwi któremi się oddaliła i wyjrzał przez nie, czy ich nie podsłuchiowano: u drugich czuwał Filip.

Na te zapowiadające coś ważnego i tajemniczego przygotowania, chory spoglądał trochę niespokojnie.

Mokronoski siadł przy nim i ujął go za rękę.

— Stary mój—odezwał się—nie widzieliśmy się dawno, a otwarcie z sobą nie mówiliśmy dawniej jeszcze. Nie gniewaj się na mnie, że się w twoje domowe wmieszam sprawy: jest to rzecz sumienia. Słyszałem żeś się wyrzekł syna z pierwszego małżeństwa?

Stary zbladł usłyszawszy to pytanie i drżący, oczyma obiegając po pokoju, z początku mówić nie mógł. Czy znowu popłynęły mu z oczów.

— Powiesz mi że na to zasłużył—dodał Mokronoski—nie będę przeczył; musiałeś mieć ważne powody do tak stanowczego kroku. Chłopiec gorączka, szłaawiła, nabroił wiele.

— Obraził, prześladował moję Dosię! musiałem—łkając rzekł wojewoda.

— Nie znam bliżej i nie chcę nawet dowiadywać się przyczyn—mówił Mokronoski. Jestem pewny że twoja żona nie kierowała się nienawiścią, uprzedzeniem, że musiała mieć pobudki napóżór słuszne, nalegając na oddalenie go; ale, kochany mój, znam doskonale i z dawna jęj matkę, starośćinę, *sauf respect*, jestto intrygantka, bruljon i... niedobra kobieta. Jęj to sprawą wszystko. Nie dawaj się jęj zawojować.

Stary wojewoda rozpostarł ręce, oczy podniósł ku niebu, i z głębi piersi westchnął: była to wymowna protestacya, że radby to uczynić a sił mu braknie.

— Wieszcze co z nim się dzieje?—zapytał Mokronoski.

Płaczliwym głosem jęknął wojewoda.

— A! wiem! znowu awantura jakaś z prostą dziewczyną i burda w karczmie. Zwał się już do tyła że po szynkach lega.

— Gdzież zaś!—odparł Mokronoski—nieprawdę ci szeptali. Hulaka jest, prawda, ale nieupadł tak nizko. Ta prosta dziewczka jest córką doktora niegdyś Sapiehów, piękna jak anioł. Albośmy to wszyscy tych słabości nie mieli? Ostatnia zaś awantura, którą bodaj że życiem przypłaci...

Wojewoda oczy sobie zakrył.

— Ranny szkaradnie—kończył generał nie rachując się ze słowami—posiekany i pobity, wiesz z jakiego powodu?

Ruszył ramionami stary.

— Ale ja o niczem nie wiem.

— Oto w garkuchni pod Orłem, mowiono głośno o tobie; nie znając go, jakiś błazen Francuz odezwał się uwłaczająco: twój syn dał mu w ucho... Ujął się *za ciebie*.

Wojewoda spojrzął z radością niemal na mówiącego.

— Miał pojedynek, leży między życiem i śmiercią...

Stary znowu zakrył oczy i jęknął.

— Książę Kazio, ja, i inni pewnie mają o nim i mieć będą staranie: nie opuścim go—mówił Mokronoski—ale ja przyszedłem do ciebie, jeżeli nie natychmiastowego przebaczenia żądając, to opieki, pomocy, nadziei chociażby że się te rzeczy ułożyć dadzą.

Człowiek jest nie tak zły, jak go okrzyczano; ustatkować się może, a gdy się go wszyscy zaprą... przepadnie.

— Prawda! prawda!—gorąco począł wojewoda, chwycił za rękę Mokronoskiego i chciał ją całować: generał go uściśnął.

— Krew ci to twoja!—rzekł.

Stary płakał na nowo: płacz ten był wprawdzie oznaką czułości, ale razem i osłabienia.

— Kochany mój—zaczął głosem przerywanym—dobry mój stary przyjacielu... zrób mi tę łaskę! mów z nią, z Dosią, ona ciebie posłucha... Uczyń to, na rany Chrystusowe!

Mokronoski się zamyślił.

Ciężkie to było zadanie, ale nie uląkł się go stary żołnierz, i człowiek co przebył w życiu wiele.

— Dobrze — rzekł. — Jednakże, ponieważ z kobietami sprawa nie łatwa i czasu zawsze potrzeba aby je skonwinkować, a twój syn leży otoczony obcymi, bez pomocy niczyjiej; daj mu jaki znak współczucia: być może iż i pieniędzy potrzebuje.

Wojewoda przyzwalająco kilka razy głową poruszył i powtórzył gorączkowo nagle:

— Mów z nią! proszę cię: mów z nią!

Mokronoski pocałował go w czoło, wziął dzwonek ze stolika i poruszył go. Wszedł stary Filip.

— Mój kochany — rzekł do niego — poproś u pani wojewodziny o audyencyą dla mnie.

Skłonił się Filip i wyszedł.

Generał na weselszą umyślnie wpadł rozmowę, począł o Warszawie, o królu, o dworze, nawet o balonie Blancharda, o znajomych, o konjunkturach politycznych. Spodziewał się tém ożywić i zająć chorego, lecz widać było po nim że myślami był przy synu, i niepokoił się o zapowiedziane spotkanie generała z wojewodziną. Oczy roztargnione błędziły ku drzwiom, najmniejszy szelest go niepokoił.

Zamiast Filipa zjawił się w liberyi cytrynowej wygalonowany lokaj pani wojewodziny, zapraszając do niej wojewodę.

Mokronoski nie będąc pewnym czy powroci do starego, uściśkał go serdecznie, coś mu pocieszającego szepcząc na ucho i wyszedł.

Przez cały szereg pokoiów kosztownie świeżo z Anglii sprowadzonymi meblami zastawionych, przeszedłszy, Mokronoski wprowadzony został do gabinetu, w którym już nie sama wojewodzina, ale razem ze starościną na niego oczekiwała.

Zobaczywszy wyfokowaną matkę, zmarszczył się Mokronoski.

Musiła przeczuwać, że nie będzie jej rad, pani starościna, gdyż pierwsza ku niemu z nadzwyczajną i wymuszoną podbiegłą grzecznością, uśmiechnięta, niby uradowana niezmiernie, papląc tak, że słowa mu się odezwać nie dała.

— Ten kochany wojewoda! i t. d.

Mokronoski zbywał komplementa ukłonami jak lód zimnemi i ceremonialnemi. Im on się stawiał chłodniej, tém starościna natarczywszą była.

— Cieszę się niewymownie, że widzę panią starościnę w tak wyśmienitym stanie zdrowia i jakby odnłodzoną — rzekł naostatek Mokronoski, nie dając się rozruszać i pozostając jak był sztywnym a ceremonialnym. Darniesz mi, starościno, ale ja mam czasu niewiele, a (tu się obrócił do wojewodziniej, która się zarumieniała mocno) rad-bym na osobności pomówić z panią dobrodziejką!

Starościna usiłowała to w żart obrócić.

— A toż znowu co? chcesz mi córkę bałamucić, korzystając z tego, że nieboraczek mąż jej niedomaga. O! przepraszam! ja jako matka, muszę stać na straży.

— Kochana starościno — odparł Mokronoski — dajmy pokój żartom: rzeczy są seryo!...

— Chcesz ją rozwodzić chyba!—dodała grając wesołą niezręcznie starościna.

Mokronoski był widocznie zakłopotany. Zwrócił się do wojewodziniej:

— Racz mi pani dać kwadrans audyencyi sam na sam—odezwał się z widocznym nieukontentowaniem.

— Ale dlaczegożby moja matka—sucho odrzekła wojewodzina—nie mogła być świadkiem rozmowy, ja dla niej nie mam tajemnic!...

— To nam utrudni porozumienie—dodał generał.

Starościna zesnurowała usta.

— Widzę, że się mnie generał boisz. albo mi niedowierzasz?

— A! pani dobrodziejko!—odparł grzeczny Mokronoski—ani jedno ani drugie, chciałem raczej oszczędzić pani chwilkę może nie-miłą.

Wojewodzina stała, jakby gotując się do wojny, przeczuwając ją; zbrojna już gniewem, zburzona, czekając tylko okazji do wybuchu. Matka, znając ją, ciągle oczyma dawała znaki, aby panowała nad sobą.

Mokronoski, zawahawszy się chwilę. przystąpił wprost do wojewodziniej, zupełnie ignorując już jej matkę.

— Pani dobrodziejko—rzekł—przyszedłem tu w jej interesie. Jestem starym przyjacielem tego domu, którego pani stałaś się ozdobą; z wojewodą przyjaciółmi byliśmy od dzieciństwa. To mnie tłómaczy, że popełniam niedyskrecyą.

Idzie mi o to, aby nie szarpano sławy waszej i nie przypisywano wpływowi pani, tego, co się pewnie, mimo jej woli stało. Potrzeba wojewodę skłonić do przebaczenia synowi.

Wojewodzina, jak oblana ukropem, zaczerwieniła się straszliwie, spójrzała na mówiącego i odparła stanowczo:

— Nigdy w świecie! Pomiędzy nami dwojgiem musi wybierać: między nim lub mną. Jestto wróg mój, oszczerca, człowiek nie wart litości!...

Starościna przypadła targając za suknią Mokronoskiego:

— Wiész, hrabio—zawołała—ten niegodziwiec, nikczemnik, kochał się w niej i bez względu na ojca, chciał ją uwieść!

Mokronoski, słuchając, podniósł brwi, wykrzywił usta, miał wyraz twarzy tak niedowierzający, że starościna, choć nic nie powiedział, wybuchnęła:

— Waćpan mi nie wierzysz! tak! to rzecz monsturalna! pojmuję, ale tak było!

Wojewodzina nie zaprzeczała, stała drżąca od gniewu.

— Nie wchodzę w tę materyą tak delikatną, że ona do obcych uszu przystępu mieć nie powinna—odezwał się chłodno—tymczasem możecie panie być spokojne, serce jego zwróciło się gdzieindziej. Szał czy uniesienie chwilowe przebaczyć mu należy, niema zresztą potrzeby, aby tu przebywał i mieszkał, niech tylko ustanie skandal. Idzie mi o to zarówno dla niego, jak dla pani; nadewszystko dla starego chorego, mojego przyjaciela, który to rozłączenie ze swym pierwotnym, życiem przyplącić może.

Zwrócił się ku wojewodzinie.

— Gdy jego noga próg tego domu przestąpi—odezwała się—ja wyjdę z tą nazawsze.

— A!... ręczę!—dodała gwałtownie starościna—że stary, waćpana przyjaciel, który bez syna żył, bez żony jutro umrze.

—Ta zgoda jest w interesie pani wojewodzinej—rzekł jakby nie słuchając generał.—Powtarzam, mówię w sprawie waszego domu, czci jego i reputacyi.

— Proszę znów tak się nami nie opiekować—wyrwała się starościna—ja jestem matką, mnie chodzi o opinią dziecka. Waćpan nie znasz tego, za którym przemawiasz!

— To żmija! to padalec!—przebaknęła wojewodzina trzęsąc się.—Na żadną zgodę ja nie pozwalam. Wojewoda raz się go wyrzekł, nie jest mu synem.... Proszę nie wznawiać rzeczy skończonej.

Mokronoski z góry począł patrzeć na dwie kobiety zburzone, miotające się, ciskające nań wejrzeniami, pełnemi nienawiści. Nie było już tu nic do zrobienia, westchnął i kapelusz wzięwszy do ręki, do wyjścia się zabierał.

Wojewodzina, choć go odprawiła tak stanowczą odmową, widząc stoicyzm, z jakim ją zniósł, uczuła się niespokojną. Wojewoda już się im kłaniał chłodno, nie mówiąc słowa, gdy nieco ochłonawszy, zostawiając matkę za sobą, zastąpiła mu drogę i poczęła go przeprowadzać, już zmierzającego do wyjścia.

— Proszę się nie dziwić mojemu uniesieniu—rzekła trochę spokojniej. Umiem uszanować szlachetne pobudki, które pana do tego kroku skłoniły, ale po tém co zaszło między mną a tym człowiekiem

niekczemnym, a o czém ja mówić nie chcę i nie mogę, wszelka zgoda byłaby potępieniem mojem i śmiercią dla mnie...

— Mnie się to wydaje inaczej—odparł Mokronoski—zrobiłem to, do czegoś się czułem obowiązany. Rzecz skończona!...

Skłonił się zatrzymując go oczyma pani i wyszedł szybko.

Staroscina, zaledwie go z oczow straciwszy, pobiegła do pokoju zięcia. Od wyjścia Mokronoskiego wojewoda z chustką przy oczach, sparty na ręku, siedział nieruchomie. Zobaczywszy staroscine poczał ocierać tzy szybko.

— A to prawdziwe nieszczęście z takimi kochanymi przyjaciółmi—zawołała od progu staroscina. Poco było puszczać go tutaj, żeby waćpan chorego nękał swými niedorzecznými propozycjami!

Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, poczęła żywo przechadzać się po pokoju, gdy i córka, z rumieńcami wypieczonými na twarzy wpadła wprost, biegnąc do męża.

— Sliczną historiją nam wyprawil ten nieproszony przyjaciel—poczęła dysząc z gniewu. Miał impudencyą do mnie z tém przyjść i dawać mi nauki, których nie potrzebuje.

Pewnieś go waćpan przysłał?—krzyknęła ręką wskazując na zbolatego starca.

— Ale ja o niczém niéwiem!—wyparł się wojewoda.—Dosiu, serce moje! ja, ja..., ale nie gniewaj-że się.

— Jak się mam nie gniewać, kiedy to dowodzi, że waćpan zawsze marzysz jeszcze o zgodzie z synem, na którą ja póki żywa nie pozwolę! Pomiedzy mną a nim masz do wyboru.... Mówilam ci to raz!

Wojewodzina, z rękami ku twarzy starego wyciągniętými, stała zdając się mu grozić. Wojewoda usiłował ręce jēj pochwycić, ale zaledwie dotknął ich, wrywała mu z wyrazem oburzenia.

W ostatku, gdy dwie kobiety zobaczyły go drżącym i chwytającym się za piersi, a twarz jego okrytą sinością, która uderzenie krwi niebezpieczne oznaczala, ulękły się, umilkły i staroscina zadzwoniła, wołając, aby doktora sprowadzono.

Czas było w istocie, gdyż wojewoda mówić już nie mógł, głowa zwisła na piersi.

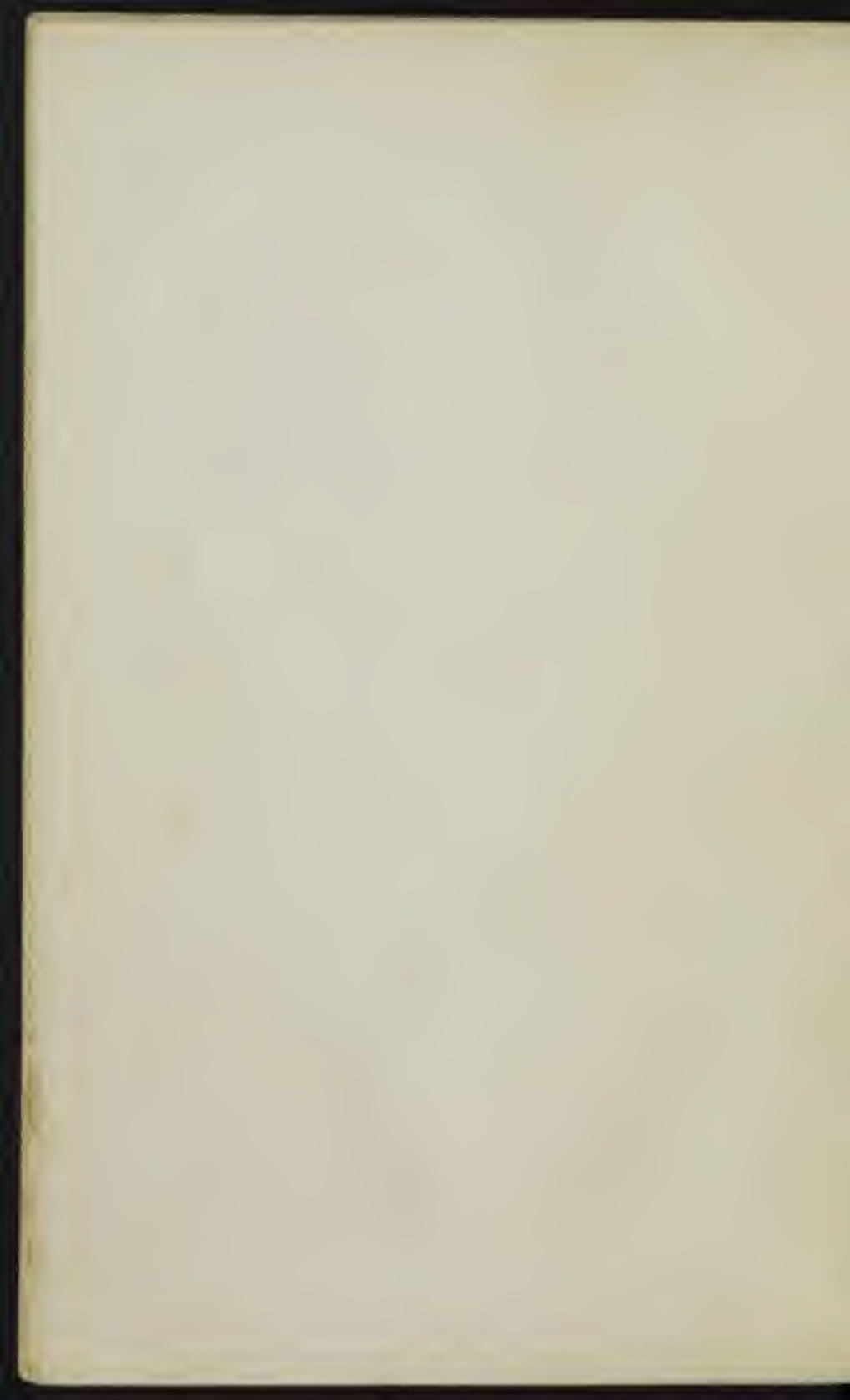
Wojewodzina wybiegła jak oszalała, oskarżając matkę, matka obwiniając córkę. Życie wojewody było im jeszcze potrzebném i nie

czułość, ale interes wywołał tę trwogę. Poruszono dom cały, przeklinając Mokronoskiego.

Szczęściem wysłani po doktora powrócili z nim prędko, a pierwszym jego przepisem było, ażeby oprócz Filipa nikt do pokoju chorego nie wchodził. Znano stosunki domowe. Wojewoda pozostawszy sam, odetchnął i uspokoił się, atak nie był na ten raz niebezpiecznym, a uwolnił go od wymówek i sekatury....

Uspokoily się téż dwie panie, a przybycie gości, przynoszących z sobą rozrywkę, wkrótce rozproszyło chmury z czoła gospodyni i jej matki... Posyłano tylko dowiadywać się, co się dzieje z wojewodą. Doktor nakazał absolutny spoczynek.

III.



Strańska oczom wierzyć nie chciała, ujrawszy dnia jednego brykę zajeżdżającą przed dworek, z której wysiadł najprzód doktor Mellini, a po nim Pepi. Nie miała ona żadnych wiadomości z Warszawy i zobaczywszy ją powracającą, załamano ręce, domyślając się, iż narzeczony umrzeć chyba musiał. Wicek leżał wprawdzie chory jeszcze, cierpiąc ciężko, ale o życie jego nie rozpaczano.

Gdy Mellini zajechał wypadkiem pod Orła, ledwie od godziny była Pepi przy chorym. Wojewodzie zobaczywszy ją przy sobie, wzruszony był nadzwyczajnie; dziewczę zaklinało się że go nieopuści: w tych pierwszych chwilach uniesienia, doktor wszedł jak widmo straszliwe... Padła na kolana przed nim siostrzenica, usiłując go przebłagać.

Mellini już miał obmyślony tryb postępowania, wiedział że gwałtownością nie pokona dziewczęcia, znalazł się bardzo rozumnie.

— Zrobiłaś mi przykrość—odezwał się łagodnie—ale ja więcj winienem niż ty... Nie przepraszaaj mnie. Uczyniłaś wybór, rzecz jest skończona.

— Nikt nie winien oprócz mnie—przerwał chory—spodziewam się zmazać winę moje...

Tak rozpoczęta rozmowa, którą jak najchłodniiej starał się prowadzić Mellini, skończyła się zgodą i pojednaniem. Dozwoliwszy czas jakiś posiedzieć przy chorym siostrzenicy, doktor zabrał ją z sobą, ażeby spoczęła.

Łagodność wuja, której się wcale nie spodziewała, przejęła biedną dziewczynę taką wdzięcznością, że mu się całkiem oddała.

Nazajutrz i dni następnych, doktor z siostrzenicą czuwał sam nad chorym, opatrywał rany, ale zarazem Beckera namówił, aby on wymagał oddalenia panny, dopóki by wojewodzie nie wyzdrowiał. Umiął

sprawę tak prowadzić Mellini, tak wmówić w swą Pepi potrzebę powrotu, iż się nareszcie zgodziła oczekiwać na narzeczonego w Lublinie. Wojewodzie miał przybyć tam, skoroby mu stan zdrowia ruszyć się pozwolił.

Z niezmierną zręcznością prowadził całe te rokowania przebiegły Włoch, wcale co innego mając na myśli, niż to czém siostrzenicę uspokajał. Miał nadzieję, że to niefortunne małżeństwo rozerwać potrafi, że wojewodzie bałamut zapomni Pepity, a ona opłakawszy go, inny wybór uczyni. Z planem tym wiązały się rozmaite poboczne, do wykonania jego obmyślane środki. Mellini chciał powróciwszy do Lublina, rzucić ustronny dworek, przenieść się do miasta, dom otworzyć, dać czuć że wyposaży Pepi bogato, i spodziewał się że ktoś inny się jęj trafi.

— Żebyś ją zaś miał dawać na stracenie w pański dom, takiemu rozpuszczonemu chłopcu, który jęj wiary nie dotrzyma, i wprowadzi ją w świat, w którym się ona popsuć musi! nigdy w świecie! Pepi się uniosła, pierwsza gorączka przeszła. Na wybryk ten nikt zważać nie będzie... Znajdę jęj innego męża.

O tém wszakże nie mówił Mellini i rolę swoją odegrywał z niezwykłą charakterowi swemu chytrością. Pepi, którą zapewniono że wojewodzie żyć będzie, dała się wziąć wujowi, była pewną że jęj ukochany słowa dotrzyma. Była prawie szczęśliwą, bo o szczęściu marzyła, a marzenie o niém, często rzeczywistość przechodził!

Mellini rozpytywał ostrożnie Pepi, jakim sposobem mogły się zawiązać stosunki z wojewodzie, ale, oszczędzając Strańską, nie wydało jęj dziewczę.

Gdy bryka zaszła i wdowa zobaczyła przybywających, paliła ją żądza okrutna dowiedzenia się co się stało, obawiała się jednak narażić na jaką nieprzyjemność od doktora. Cichaczem na zwiady wysłała służącą, a niebawem i Pepi nadbiegła do nięj, rzucając się jęj na szyję.

Splakały się najprzód obie, potem rozmowa poczęła w ten sposób, że wdowa z nięj nic zrozumieć nie mogła; naostatek z obłamków i wykrzykników dowiedziała się o rzeczy, nie mogąc tylko pojąć jakim sposobem Mellini przebaczył, zgodził się na wszystko, i stał tak powolnym.

— Al—zawołała Pepi—bo ty nie wiesz jak złote serce ma ten mój wuj drogi, ty go nie znasz... Ja padam na twarz przed jego anielską

dobrocią: nie uczynił wymówki, przycisnął do piersi, przebaczył, po-
błogosławił.

Nastąpiły zapytania nieskończone o zdrowie wojewodzica, o jego
usposobieniu, czy przyrzekł małżeństwo i kiedy ono nastąpić miało.

— Ja powróciłam robić wyprawę—mówiła Pepi—bo rozumiesz
to, że idąc za takiego pana, muszę mieć paradną! a! bardzo paradną!
Wujaszek daje pieniędzy ile zechcę a sam mi to powiedział. A! ten
wujaszek, jam go nigdy sobie takim nie wyobrażała, ja go nie znałam!

Mówiono o wyprawie razem i o kochanku, jak ją przyjął woje-
wodzie, jak się mu rzuciła na piersi, jak krew mu z rąk płynęła, jak
oczy też miał pełne, a potem jak się żegnali, i kiedy miał przybyć nie-
zawodnie, aby rekonwalescencją tu przy niej przesiedzieć. Pepi
utrzymywała, że wojewodzie był do niepoznania zmieniony, łagodny,
i rozkochany więcej jeszcze.

Jasna przyszłość otwierała się przed oczyma pięknej Pepi, która
ledwie nie dziękowała Opatrzności iż się tak wszystko dziwnie a szczę-
śliwie dla niej składało. Dwie przyjaciółki nagać się z sobą nie mo-
gły, nacieszyć sobą, a te miejsca tak pamiętne dla Pepi we dworku,
obudzały wspomnienia i powiększały jeszcze jej miłość dla nieobecne-
go... Strańska pod wrażeniem tej historii, prawie do wiary niepodo-
bniej, stała milcząca i słuchała szczebiotania Pepi. Ta z godzinę po-
siedziawszy pobiegła do wuja.

Wdowa gotową była składować osobliwy okoliczności przypisywać
swojemu nabożeństwu na tę intencją z nowenną odprawionemu.

Nazajutrz wracając z miasta wstąpił do niej doktor Mellini, ude-
rzyło ją że stary przyjaciel wcale tak szczęśliwym się nie wydawał
z tego wszystkiego jak rozkochana Pepi. Nie wygadywał się bardzo,
wzdychał, uśmiechał ironicznie.

Wdowa mu wieszowała.

— Wieszować nie ma czego—odpowiedział. Gdybym miał do
wyboru, wolałbym ją być wydać za pocziwego felczera niż za potłu-
czonego wojewodzica; ale sobie wybrała: trudno... My głupi starzy
wyobrażamy sobie że młodą dziewczynę możemy dopilnować! Ja mia-
łem też tę illuzję. Chwała Bogu, drugiej do strzeżenia nie mam:
rzecz skończona.

Strańska, niezapominając o własnym interesie, napomknęła
o tém, jak doktor, po wyjściu siostrzenicy za mąż, zostanie osamo-
tniony.

— Cóż robić! zostanie mi Gawłowska—rzekł śmiejąc się Mellini—no, i szpica sobie wezmę do kompanii, aby mi zbyt nudno nie było.

Strańska miała nadzieję innego obrotu rzeczy, dodała więc:

— Spodziewam się że sąsiad wówczas i o mnie będziesz więcej pamiętał, a moję samotność rozrywał, przychodząc codzień na kawę.

Mellini się skłonił.

— Moja mościa dobrodziejko! z największą wdzięcznością, byle złe języki się na nas nie uwzięły, i nie posądzano mnie że się o Helusię staram.

— Helusia ma siódmy rok!

— To niéma nic do tego!—odparł doktor—wiadomo że starzy lubią się zawsze żenić z jak najmłodszemi. Ojciec pana wojewodzica naszego, lat ma pod siedmdziesiąt, a żona mało co nad dwadzieścia!

Strańska słuchała, doktor pobaraszkowawszy trochę, pożegnał ją. W parę dni potém dowiedziała się wdowa z wielkim bolem serca, iż pono straci sąsiadów, gdyż doktor najął kamienicę przy ulicy Grodzkiej, i tam się miał przenosić, utrzymując że to dla wojewodzica czyni... W ciągłym był teraz ruchu, bo i pacjentów nie zaniedbując, przenosinami był zajęty, i kupował wiele rzeczy do nowego domu, i znajomości robił chętne, zwłaszcza osób średniego stanu, gdy dawniej stronił od nich i unikał.

Zapewne z téj zmiany systemu wynikło, że po powrocie, bez żadnego interesu zaszedł raz do Daliborskiego. Mecenasa był uwiadomiony o wypadkach warszawskich, bo pisane gazetki dochodziły go dwa razy na tydzień, a w nich mieściły się nowinki wszelkiego rodzaju, rad był jednak z ust doktora dowiedzieć się o szczegółach. Winszował mu zimno zięcia, chociaż nie tał że z nim będą mieli wiele do czynienia, nim go na swe kopyto nabiją.

Panu staroście, chociaż nie wydawał się z tém wcale, nie w smak szło to wszystko.

— Jestto zapewne—odezwał się do doktora, powinszowawszy mu—bardzo świetny mariaż dla siostrzenicy pana konsyliarza; senatorska familia, ani słowa, ale, między nami powiedziawszy, młodzienciek potrzebuje się utemperować: ojciec go znać nie chce, majątku niéma.

— O majątek mi nie idzie—odparł Mellini z trochę dumy—nie darmo się całe życie pracowało; kilkadziesiąt tysięcy czerwonych złotych dam Pepi, majątki teraz tanie: piękne dobra kupić możemy.

— Ani słowa—odpowiedział Daliborski—ja sam. gdybyś asan dobrodziej seryo o kupnie zamyślał, nastreczę inu posiadłość w najlepszej glebie za bezcen.

— Tymczasem jeszcze myślę temporyzować — rzekł doktor z ukłonem.

— I lepić—pochwalił mecenas—na rozpatrzeniu się nie traci. Niechno wyzdrowieje wojewodzie, niech się jego interesa wyklarują...

— Onci żadnych niéma, kiedy mu ojciec nie daje złamanego szeląga—rozsłmiał się Mellini.

— Tak! co się tyczy majątku, ten on już stracił, nim go do rąk dostał—rzekł mecenas—ale jest tam inna okoliczność. Naraził się macosze, a to jest jójmość zawzięta i mogąca mu szkodzić na każdym kroku. Lękam się, abyś pan konsyliarz nie miał z téj okazyi wiele jeszcze utrapienia. Z człowiekiem téż wybujałym, rozpuszczonym, nim się go obuzda, będzie roboty dużo.

Darujesz mi, pan konsyliarz—dodał starosta — iż tak otwarcie się przed nim wyrażam, ale z życzliwości to czynię.

Doktor począł dziękować, uściskali się razy kilka. Mecenas niekoniecznie pochlebnie i z przekąsem odzywał się o młodej wojewodzinie, dał téż do zrozumienia Melliniemu, że téj wielkiej nienawiści wojewodziniej dla pasierba przyczyną była pono, jak ludzie mówili, wielka miłość. Ztąd wziął assumpt do ubolewania nad tém, że wojewodzie był bałamut wielki i że uczuciom jego najgorętszym trudno było bardzo zaufać.

Mecenas prowadził to bardzo zręcznie i dziwiło go, że na doktorze nie czynił wrażenia, jakie się wywrzć spodziewał.

Mellini w duchu myślał sobie, że z tego wszystkiego nic nie będzie, że małżeństwo się przewlecze, a zapowiedziane kilkadziesiąt tysięcy dukatów, nowego ściągną konkurenta.

Tak się rozstali. Po wyjściu doktora Daliborski wziął mocno na uwagę, jak szkodliwym być mógł ów maryaż wojewodzica dla jego nieprzyjaciółki.

Człowiek się mógł, pod wpływem żony i nowego trybu życia, ustatkować, stać się przyzwoitym obywatelem i być żywem obwinieniem wojewodziniej; tego małżeństwa, mówił w duchu, nie potrzeba dopuścić, bo wojewodzie ocaleje, a ocalić nie powinien, gdyż to dla jójmości wieczną będzie groźbą.

Co się tyczy środków przeszkodzenia małżeństwu, Daliborski, troskliwy o dobro swój klientki, miał ich szukać jeszcze, a niebędąc wybrednym w wyborze, znaleźć się je spodziewał. Kilkadziesiąt tysięcy czerwonych złotych, o których mówił doktor, mocno mu utkwiły w pamięci. Można było doktora, mało obeznanego z wartością dóbr, wpędzić na mieliznę i skorzystać. To też do pogardzenia nie było.

Daliborski ze wszech względów znajdował właściwem zbliżyć się do doktora, obudzić w nim zaufanie i spodziewał się wpływ wywierać. Wyobrażał go sobie daleko dobroduszniejszym, niż był w istocie.

Pepita prawie codzień teraz pisywała listy do narzeczonego, wuj nie śmiał jój tego zakazywać. Wojewodzie pisać nie mógł, bo jeszcze ręką prawą nie władał, ktoś jednak zawsze uproszony, dawał o jego zdrowiu wiadomość.

Czuwano nad nim aż nadto, bo i wojewodzina miała pilne oko. List Daliborskiego trafił bardzo do jój przekonania, ona także chciała małżeństwu przeszkodzić, w interesie jój było, aby ojciec nie postyszał o nim nic dobrego i coraz się bardziej odstręczał. Wpływała na to nieznaczuie, ażeby choroba i kuracya się przedłużały.

Ale krew tych królów gockich bajecznych, która płynąć miała w żyłach wojewodzica, młodość jego, prędzej niż chciano, dźwigały go z postania. Zaczynał się przechadzać po pokoju, choć z trudnością. Im więcej mu zdrowia i życia powracało, tem się nudził straszliwiej. Nawiedzali go wprawdzie niekiedy przyjaciele i znajomi, lecz ci, jak książkę Kazio niemieli czasu siedzieć długo.

Właśnie w tych czasach spodziewane otwarcie sejmu, przygotowane wydanem listy Koltątaja do Małachowskiego nastąpiło. Książę nad wszelkie spodziewanie, razem z Arystydesem wybrany został marszałkiem sejmowym. A że rozrywek, do których był nawykł, wyrzec się nie mógł, całe dnie prawik mowy i laską stukał, a całe noce w wesoleń spędzał towarzystwie i ledwie minojazdem, wpaść mógł na małeńką chwilę. Naówczas ledwie się uścisnęli strasburscy koledzy i rozstawać musieli. Rozrywano księcia marszałka, którego wszyscy kochali, bo choć płochym był, jak znaczniejsza część ówczesnej młodzieży, serce miał poczciwe i charakter szlachetny.

Sejm ten zaraz w początkach tak gorąco zaprzętał wszystkich, iż nie było człowieka, coby czynnym będąc lub nie, widzem nie był namiętnym i słuchaczem chciwym. Obok spraw najwyższej wagi, ty-

siące drobnych intryg się osnuwało, małżeństw kojarzyło, knuło rozwodów, bałamuctw rozwijało w cieniu.

Warszawa pełną była cudzoziemców ciekawych i wyzyskujących natłok ten a rozgorzenie umysłów.

Rzecz niesłychana, nie do wiary, wiekami u nas niepraktykowana, zaprzętała ludzi: przyjaźń z Niemcem i przymierze z Brandeburczykiem. Najrozumniejsi ludzie zdawali się wierzyć w jego możliwość i zaręczać za szczery afekt, jaki następcą Fryderyka II okazywał dla Rzeczypospolitej. Obalamucenie tém było tak wielkie, tak powszechne, iż w końcu niedowiarków nawet nawracało.

Milczący, ciężki, niesmaczny, stojący dotąd w cieniu Bucholtz, poczynął odegrywać jakąś rolę. Obiecywano mu przydać żwawszych adjutantów. Starosta Hamersztyński, teść jego, z którego wszyscy się byli naśmiewać przywykli, zyskiwał na wadze i powadze. Zwrot to był tak osobliwy, iż poważniejsi a zimniejsi usuwali się, aby z nim nie walczyć, a na ustroniu go przeczekać. Ale co było żwawszego, ciekawszego, chciwego wrzawy, zabaw, wrzątku a tłumy biegło do Warszawy i przepeśniało ją.

I stało się, że jednego rana, gdy pani wojewodzina robiła toaletę, nakazawszy, aby do starego jegomości nikt bez jęj wiedzy wpuszczanym nie był, otwały się drzwi jęj buduaru i ze śmiechem wbiegła skacząc, młoda, śliczna osobka, upojona weselem, roztrziotana, rzucając się na jęj szyję.

— A co?—krzyknęła!—a co? widzisz! i ja jestem w Warszawie! Raz się trzeba było z tęj tyranii mężowskiej wyzwolić! Dałam mu abszyt! Adieu!

Osobka ta, woniejąca, śmiejąca się cała, bo począwszy od oczów i ust, aż do drobnych nożek, wszystko się w nięj śmiać zdawało, była jak cukierek różowa, śliczniuchna, wdzięczna, miała w sobie coś kwiatka i coś ptaszka, coś i dziecka, coś motyla, a okrutnie wiele trzpiota.

Zaledwie uścisnąwszy wojewodzinę, furknęła po pokoju, zaczęła chwycać i rzucać porozkładane suknie, porwała grzebyk z tualety aby poprawić fryzurę, flakonik aby go powąchać, drugi raz uścisnęła Dosię, powiedziała jęj że wypiękniała i pokręciwszy się tak, padła nareszcie na krzeselko, na ktorém siedząc, nóżkami tupać, rączkami rzucała, tak jęj trudno było usiedzieć spokojnie.

Cacko to było ta kobięcina. Mała, ale jak laleczka zręczna, pyszczek różowy, oczki czarne, włosy krucze, płeć śnieżna. Z Dosią

wojewodziną wychowywały się niegdyś w sąsiedztwie, były serdecznymi przyjaciółkami. Lat kilka jednak się już nie widziały. W téj chwili zwano tę śliczność panią stolnikową, a poufali jój imię Amalii, spieszczali na Malinkę. W istocie lepij jój nazwać nie było podobna: była to jagódka dojrzała.

Widok jój trochę dziwne wrażenie uczynił na wojewodzinie, była jój rada i zakłopotana. Malinka bowiem w całym znaczeniu tego wyrazu była, *un enfant terrible*, podpatrzeć umiała wszystko, wyszperać, domyślić się i wygadać. Żadna potęga w świecie ślicznych jój ust zamknąć nie mogła. Śmiertelny grzech własny umiała wypaplać. Przy najlepszym sercu była to istota najśabsza w świecie, grzesząca bez świadomości grzechu i duchowny jeden owych czasów powiedział o niej, że stolnikowa tyle była winna, w tém co popełniała w ciągu życia, co wróble i sroczki.

Dla jój niezrównanego wdzięku i naiwności, ludzie jój przebaczali wszystko.

Zaledwie usiadła, gdy załamawszy rączki już świegotać poczęła.

— Moja Dosiu, moja Dosiu! ty chyba nie masz pojęcia, jak ja jestem nieszczęśliwa.

— Ty!

— Ja! a! ja! Wystaw sobie, jak to niedawno, gdyśmy były pannami i gdy w nas obu kochał się wojewodzie.

Wojewodzina się mocno zarumieniła.

— Ale proszę cię! on się nigdy nie kochał we mnie!—przerwała.

— Wiém, wiém, że tego teraz mówić niewolno, gdyż ci wypadło pójść za jego ojca; ale proszę cię, już ci szalał za tobą... Ze mną sobie żartował, choć ja! a! ja to się w nim doprawdy kochałam! A! taki był śliczny. Proszę cię, w ciągu tych kilku lat, wiész! trzech mężów miałam. Jak cię kocham, trzech! A oto trzeciemu dałam abszyt, bo mnie znudził śmiertelnie.

Wojewodzina przerwać chciała, nie dała jój mówić Malinka.

— Posłuchaj tylko. Pierwszy, to wiész, tego mi opiekun narzucił; z góry wiedziałam, że z nim żyć nie będę, alem się potrzebowała raz uwolnić i wyjść w świat. Szczęściem, że w intercyzie było dobre zastrzeżenie na wypadek rozvodu, we dwa tygodnie ułożyłam się tak, żeby on sam zażądał rozstać się. Odetchnęłam... Drugiego, zdaje mi się, żeś nie znała, był to ten pocziwy kasztelan S..., który tak się kochał we mnie, że mi się ulitowała. Niczego był, tylko taki

miał nałóg, że coraz to jedną stronę twarzy marszczył i pociągał. W końcu mi to tak na nerwy działało, że mu powiedziałam, że umrę, jeżeli mnie nie uwolni. Ale to pocziwości człowiek był, bo i zapis mi zrobił i śliczne brylanty darował, no i poszedł sobie.

Stolnik, trzeci, który mi już kością w gardle siadł, gdzieś oczy i rozum miała, gdyś mi go sobie wzięła? Statysta, pedant, nudziarz i, co najgorzej, taki zazdrosny, powiadam ci, taki zazdrosny, że mnie do rozpaczki przyprowadził. Do nikogo się uśmiechnąć, z nikim pogadać; zaraz fochy, wyrzuty, dąsy, guiewy.... Bardzo mi się podobał Francuz, który był w sąsiedztwie: wesoły, wyśmienity człowiek! bawił mnie, ale zresztą—co mi tam! Zrobił mi historią, złapałszy dwa listy i dowiedziawszy się, że mu parę razy w lasku dała *rendez-vous*! Nakoniec musiałam mu powiedzieć słowa prawdy! Kiedy tak, to tak! Bywaj zdrow! adieu! i oto mnie masz!...

O! teraz, daję słowo, nie rychto się dam wciągnąć i już nie zrobię tego głupstwa, żebyś szła za męża. Chcę użyć swobody. Z trzech rozwodów mam tyle, że mogę na czwarte małżeństwo poczekać...

Wojewodzina słuchała zmieszana trochę, stolnikowa mówiła ciągle.

— Podziękuj-że mi, pierwsza moja wizyta do ciebie! Zmłuj się, mów, ucz mnie, kieruj, poddaję się pod twoję komendę. Bądź moją mistrzynią!

Wojewodzinie uśmieszek politowania zarysował się na ustach.

— A! ty trzpiocie kochany! a któż potrafi pokierować takim powiewem wiosennym. Jesteśmy rówieśnice, a ja przy tobie starą się wydaję.

— Gdzież tam! gdzież tam!—zawołała Malinka—patrzże, już mi te dwa dołki, które kawalerowie tak adorowali, zaczęły znikać: twarz mi się wyciąga.

— Śliczna jesteś—zaprzeczyła wojewodzina.

— No, ale mówmy o tobie! o tobie!—przerwała stolnikowa.— Myślałam, że zwaryuję, gdyś się dowiedziała, że poszłaś za wojewodę. Nie chciałam wierzyć, pamiętając to okno.

Wojewodzina syknęła i blada, zmarszczona, pogroziła jej palcem.

— Moja matka chciała koniecznie tego mariażu—szepnęła po-cichu.

— A z wojewodzicem cóż się stało? Chyba sobia w łeb strzelić musiał—zawołała Malinka.

Dosia wojewodzina nie odpowiedziała na to pytanie, spuściła oczy. Widać było, że przed gadatliwą przyjaciółką nie chciała się spowiadać, ani z uczuć, ani z wypadków.

Zrobiła minę smutną.

— Wielką mi łaskę uczynisz—poczęła po namyśle—gdy o nim i o wszystkiém dawném nie będziesz więcej wspominać. Pojmujesz sama, jakto dla mnie rzecz przykra, bolesna *enfin*, nie mówmy o tém.

Obwiniają mnie ludzie i on pewnie także, że go z ojcem poróżniła, chociaż ja, ja sobie nic a nic do wyrzucenia nié mam. Ale stało się, że ojciec go wydziedziczył, wypędził, on sam najwięcej winien temu.

Stolnikowa słuchała dziwnie.

— Cóż się z nim stało?

— A! prawdziwie nie wiem! — odparła wojewodzina. — Ojciec śmiertelnie zagniewany.

Chwilę milczenia przerwała Malinka.

— Mój Boże! coto za położenie twoje. Ja nie wiem, czy kiedy co podobnego nawet w romansach się trafi!

I powtórzyła:—ale cóż się z nim stało?

— Mówiono mi, bo ja tam dobrze nie wiem—odezwała się zciha wojewodzina—że się strasznie rozpuścił.

— A! to z desperacyi, biédaczysko!

— Teraz pono porąbany leży gdzieś chory w Warszawie—do końca życia wojewodzina!

— Tu! w Warszawie! porąbany! —zakrzyknęła stolnikowa.

Trudno odgadnąć, jaki w tém interes miała macocha, lecz popatrzywszy na stolnikową, zdawała się myśleć jakąś nawiązywać i mówiła żywiej:

— Ja nic nie wiem, nie mogę wiedzieć i nie chcę, ale matka mi wspomniała, że miał jakiś nieszczęśliwy romans z córką doktora, że go zmuszają do ożenienia z nią, że dziewczyna aż tu za nim przyleciała. Był bez nadziei życia, teraz się ma lepij.

— Nic nie wiesz, a wszystko wiesz!—przerwała stolnikowa śmiejąc się.—O! że ja się dowiem o wszystkiém dokładnie, za to ręczę! Przecie jestem obowiązana, bo trochę się i we mnie kochał.

Zaczęła się śmiać mocniej.

— A co ja! to szalałam i byłabym cię wówczas z zazdrości zabiła, gdybym siłę miała.

Wojewodzina z ironicznym uśmiechem szepnęła:

— *Et l'on revient toujours...*

— On ze mną nigdy przecie nie był tak blisko, jak z tobą — odezwała się Malinka — wszystkiego raz tylko, roztrziotaawszy się mnie pocałował. Myślałam że zemdleję... Dziś jeszcze ten pocałunek czuję.

— Łatwo go możesz odnowić — szydersko syknęła wojewodzina, zaczęła coś poprawiać około stroju i zwróciła rozmowę.

— Więc myślisz zamieszkać w Warszawie?

— Dopóki mi się nie znudzi — odpowiedziała pani stolnikowa. — Trzeci dzień jestem, wydaje mi się zachwycająca. Byłam wczoraj w teatrze; a! co za toalety! jaki parter! ile młodzieży! Byłam nie bardzo ubrana, musiałam się kryć w łoży. Teatr wyborny. Mówiono mi, że jest heca: ja pasyami lubię hecę! Niech sobie mówią co chcą, to porusza ogromnie, a ja lubię, gdy mnie co mocno porusza.

— Na wzruszeniach pewno ci zbywać nie będzie! — dodała wojewodzina — na zabawach także. Często po dwa i trzy bale mamy jednego wieczora, a przyjąć bez końca...

— Ty bywasz wszędzie?

— Jestem zmuszona! — krzywiąc się rzekła wojewodzina.

— *Une douce violence!* — uśmiechnęła się stolnikowa. — I w zamku?...

— A jakże!

— U pani krakowskiej? U hetmanowej, u ks. marszałkowej?

— Wszędzie! — zimno rzekła wojewodzina.

— Jaka ty jesteś szczęśliwa! — poczęła Malinka. — Ja dopiero nowicyat muszę zacząć odbywać, ale nie desperuję!

Uśmiechnęła się, spoglądając we zwierciadło, które jęj odpowiedziało, że miała zupełną słusność.

Chciała coś jeszcze zagadnąć o wojewodzica, gdy drzwi się otworzyły i wyfiokowana już, weszła starościna. Nie poznała zrazu, czy udała, że nie poznaje stolnikowej, która się jęj ze zwykłą swą trzpiotowatością przypomniała.

Starościna przyjęła ją zimno i ceremonialnie: gość ten nie był jęj do smaku. Bała się paplarstwa o przeszłości, której stolnikowa żywym była świadkiem.

— Jakże mam cię tytułować?—odezwała się—bo doprawdy nie jestem pewna? Podobnoś się rozwiodła?

— Dwa razy, a dla trzeciego rozvodu przybyłam właśnie—wesoło odparła stolnikowa.—Ale bo ci mężczyźni są doprawdy uieżnośni. Tak, na krótko *une liaison éphémère*, jeszcze się przeżyje, a wiekuisty związek niemożliwy. We dwa tygodnie ja już każdego tak znam, że nim usta otworzy, wiem co powie. Jakże tu z nim żyć. Zaczynają od ubóstwienia a kończą na grubiaństwie: doprawdy wołałabym odwrotnie!...

Rozśmiała się sama z konceptu, ale postrzegłszy, że dwie panie były jakieś chmurne i zimne, dłużej już bawić nie chciała.

— Pani stolnikowa... myśli zabawić w Warszawie?—spytała starościna.

— Całą zimę; potem, zobaczę! Doktor mi radzi, żebym bardzo nie utyla, wcześniej pić karlsbadzkie wody. A! ja się tak lękam utylcia! Z moją maleńką figurą, byłabym jak galeczka z chléba.

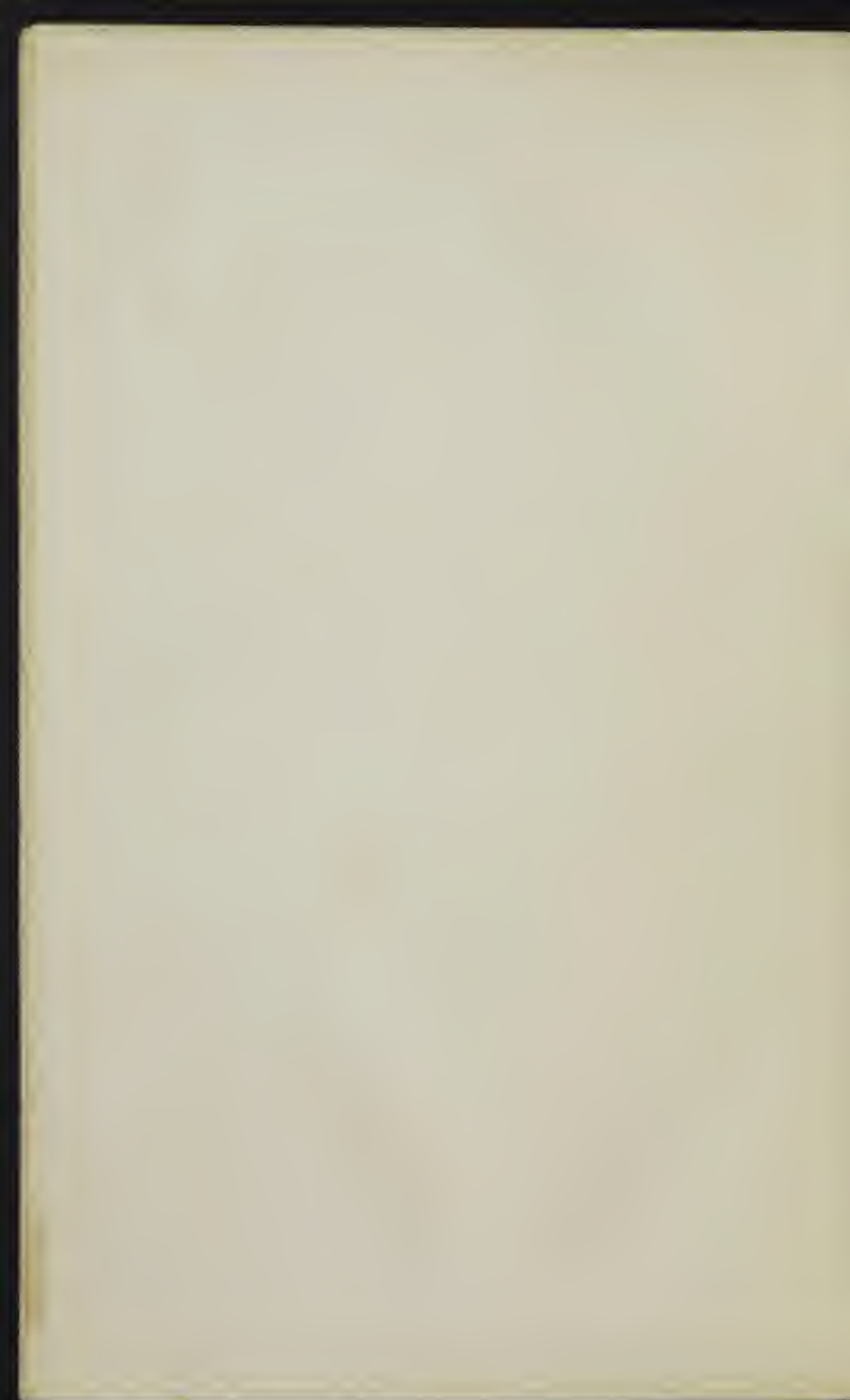
— *A croquer!*—grzecznie dodała starościna.

Odprowadzona do drzwi, ale nie zapraszana, trochę urażona, oddaliła się pani stolnikowa. Siadając do karety, myślała:

— *Sont elles devenues bégueles!* co się to z nich porobiło! Mniejsza o to! Nie bardzo mnie one chcą znać, to się ja bez nich obejdę!

I rozśmiała się do siebie piękna Malinka, a że patrzyła na ulicę, przechodzący wzięli pewnie uśmiech za rzuconą im przynętę i postawali na chodnikach. Śmiejąc się mocniej jeszcze, stolnikowa schowała się w głąb' powozu.

IV.



Wojewodzie powoli przychodził do zdrowia, nie groziło mu już niebezpieczeństwo, ale doktorowie długą rekonwalescencję zapowiadali. Siły były wyczerpane życiem nad miarę nieopatrzném, wyszafowaném z rozrzutnością rozpaczliwą, jakby go się pozbyć chciał Wicek.

Wśród leczenia przypadły rozmaite niespodziane komplikacje, polepszenie zmieniało się w stan groźny niemal, w skutek nieustannych wybryków.

Zaledwie mogąc się poruszać wojewodzie, potrzebował wrócić do tego trybu życia, do którego był nawykłym. Młodzież przychodziła do niego grać, siadywano nocami, szanse gry burzyły go i poruszały do zbytku. Nie mógł się wstrzymać od kieliszka, gdy go widział przed sobą, a nie mógł gości nie poczęstować. Najpilniejsza straż nie pomagała z człowiekiem gwałtownym i samowolnym.

Naostatek to co tu i owdzie słyszał o ojcu, o macosze, o niewoli, w jaką popadł wojewoda, o upokorzeniu jego i zdziecinnieniu, o tém co się pod jego dachem działo i pod boki, czasem go niemal do wściekłości przyprowadzało.

Unikano z nim rozmowy o tém, lecz że cała Warszawa zajęta była historią młodej wojewodziniej, obijało się coś zawsze o jego uszy.

Miłość téż szalona, namiętna dla pięknej Pepi, nie dawała mu jeszcze spoczynku: dziewczę wywierało na nim wrażenie, jakiego w życiu nie doznał. We wszystkich, mnogich swych miłostkach i stosunkach dawał się wieść zmysłom pan wojewodzie, tu zmysły wprawdzie poczęły, ale serce biło i cała dusza drgała wspomnieniem Pepi.

Nie wierzący w poezję i ideały, zepsuty Wicek wierzył w to dziewczę jedno na świecie i miał dlań cześć jakąś.

Panowała nad nim, który był nawykł drugim panować. Tęsknił za nią. Dwa momenty szczególnie tkwiły w jego pamięci: chwila, gdy po dniach kilku niebytności wrócił do dworku Strañskiej, przejęty gniewem wściekłym dziewczęciami, i ta, gdy ją ujrzał w Warszawie u łóża swojego, rzucającą mu się na pierś skrwawioną.

Nawykły wszystko w żart obracać, na te dwie życia godziny poglądał z powagą i smutkiem. Wchodząc sam w siebie, czuł może, iż takiego przywiązania nie był wart i że mu odpowiedzieć sercem nie potrafi. Wspomnienie Pepi miłe dlań było i straszne... Jakie na takich początkach miało się rozwinąć życie? Nie groziłoż ono kajdanami i niewolą?

Wojewodzie, mimo téj obawy, pragnął powrócić do niej. Listy, które pisała, to go niepokoiły, to uspakajały, a utrzymywały w myślach o Pepi.

Stosunek ten cały płócho rozpoczęty, mający być dodniowym, zaczynał zasłaniać całą przyszłość. Zatem szło wyrzeczenie się wszystkiego, do czego nałogiem był przyrósł, począwszy od płóchych towarzyszków, gry i kieliszka, do miłostek poczętych i kończących się śmiechem, a gorycz i wstręt zostawujących po sobie.

W godzinach, gdy samnasam został, wojewodzie dobywał listy Pepi i czytał. Rad był je niemal w śmiech obrócić, a nie mógł; tryskało z nich uczucie namiętne, wyrażające się tak gorąco, że w niemu i on gorzał jak w Nessusa szacie. Często nie doczytawszy, zniecierpliwiony sam na siebie, listy rzucał do szuflady, wstydząc się poruszenia, którego doznał.

Żadna zmiana w człowieku, który w ogóle mało i z trudnością się zmienia, albo raczej modyfikuje tylko, żadna zmiana łatwo nie przychodzi. W świecie fizycznym zwierzęta, gdy linieją, ptastwo gdy się pierzy, słabnie; człowiek, gdy zrzuca z siebie nawyknięcia stare, pada też pod wysiłkiem, jakiego ta metamorfoza wymaga.

Wojewodzie bolał, chociaż zmiana w nim zapowiadała się dopiero nie będąc dokonaną, zaledwie nazwać się mogąc rozpoczętą.

Niepokój nim owładał.

Wśród nocy zrywał się, myślał, badał, nie poznając sam siebie. Chciał powracać do niej i lękał się.

Drugą troską, piekącą, było położenie ojca, który go odepchnął. Niemiał doń żalu, bo znał, iż to uczynił mimowoli, podbechtany, zmu-

szony, cierpiąc na tém. Nie szło mu o odzyskanie należnego stanowiska w świecie, bo o to dbał bardzo mało. Kochał ojca i żałował go.

Ten upadek starca, którym dwie nielitościwe niewiasty pomiatały, do wściekłości go przyprowadzał. Pół słowami mowiono o tém przy nim ostrożnie, nie śmiał rozpytywać, aby nie oszaleć.

Jednego wieczora o mroku, gdy sam jeden pozostawszy, na łóżku leżał i dumał, skrzypnęły drzwi i jakaś postać nieznana nieśmiało się wsunęła. Ponieważ pod „Orłem” włóczyło się mnóstwo faktorów natretnych i wszelakiej gawiedzi, wojewodzie pokorną jakąś figurkę postrzegłszy we mroku, począł od tego, że jej precz iść kazać.

Rozkaz ten się nie spełnił i ow gość, zamiast posłuchać, krokiem niepewnym począł się do łóżka przybliżać. W pokoju ciemnawo było i wojewodzie dopiero, podniósłszy się, poznał starego Filipa, ze złożonemi jak do modlitwy rękami podchodzącego ku niemu.

Stary sługa ze wzruszenia mówić nie mógł: drżał, płakał. Rzucił się do nóg paniczowi, który go chciał w objęcia pochwycić.

— Filip!—zawołał—możeż to być!

— Cicho! na rany Pańskie! a nuż mnie tu kto pozna i zobaczy... Paniczku, cicho! Ledwie się wyrwałem na kwadransik, a jeżeli śpięgi za mną poszły, to mnie dziś jeszcze precz wyrzucą.

To mówiąc, Filip z trwogą zawrócił się i drzwi zamknął na rygiel.

Wojewodzie stał patrząc nań poruszony.

— Paneczku! a jakże z tobą? na Boga!.. ranny! posiekany! Te monstra kobiety już się cieszyły, że z tego nie wyjdiesz...

— Ano! widzisz! wylizałem się potrosze—odparł udając wesołość wojewodzie. Licho mnie nie weźmie. Pokrzywy, choć je tępią, nie niszczyją.

Stary westchnął.

— Co się z ojcem dzieje? mów o ojcu! mów!

— Ano! paneczku, najprzód!—odezwał się szukając zanadru Filip—najprzód jedno: wojewoda u mnie pożyczyl, dał mi skrypt na to, jak Boga kocham! oto te dwieście czerwonych złotych i kazał, abym ja je paniczowi dał, ale od siebie!

— Daj ty mi pokój!

— A! to nie nie pomoże, musisz wziąć!—odezwał się Filip i rzucił na stół dwa rulony.

— Mówże, co się z ojcem dzieje!—naglił wojewodzie.

Filip się zawahał.

— A coto pinoże boleć i lamentować, już nas nic z tój babilońskiej niewoli nie wyzwoli.

— Tak! z babiej, z babiej—powtórzył wojewodzie—lecz, któż wie? kto wie? dziwniejsze się rzeczy dzieją. Mów mi całą prawdę!

— Co ja ciebie mam gryźć, paniczku mój złoty!—całując go w rękę rzekł Filip.

— Gryź! mówię ci, gryź! Może na to poradzimy!

— Zagryziesz się—odparł sługa.

— Nie żałuj mnie! mów! chcę i potrzebuje wiedzieć. Biedzę się z myślami, może się co da zrobić!

Filipowi oczy się rozśmiały.

— Słuchaj paneczku - zawołał.—Gdybym tego na własne oczy nie widział, na uszy moje nie słyszał, a w sercu nie odczuł, tobym nazwał szelmą, kłamcą tego, co mi to opowiadał.

Niewola! rzekłem i jest niewola! a jak się z niewolnikiem obcho-dzą? Gdyby nie litość sług, pierwszych wygodby uciemiał. Na pokojach balują i wyprawiają hece, jójmoście się fertyczą z gachami po nocach, a u nas świecy kawałka często braknie i niema komu w piecu zapalić.

A potrzeba pokazać gościom, że wojewoda szczęśliwy, że jak pączek opływa w pieszczoty, to go ubiorą, to się jójmość rozpada, w czoło całuje, ręce podaje, po głowie głaszcze, opowiada niestworzone rzeczy, jak chorego po nocach dogląda. Wszystko kłamstwo wierutne! Na moje uszy słyszałem, jak go płaczącego i jęczącego zfułała: „milcz, stary grzybie!”

Zabrali mu klucze, pieniądze, wszystko; grosza do dyspozycji niema: teraz jeno konszachty i narady, aby resztę majątków na jejmości imię przepisać. A jak się przymizdzy do niego, co zechce to zrobi. Stary za chwilkę, co jęj rękę potrzyma, niebaby się chyba wyrzekł, tak, z pozwoleniem, oczarowała go. Co chcą robią! co chcą!

Sam słyszałem, jak radziły, że byle zapisy porobił, doktora tak często nie potrzeba!

Wojewodzie pięście zacisnął.

— Mów! mów!—powtarzał—to zbrodnia! to się musi odmienić! to doszło do kresu...

Filip płakał i chustką łzy ocierając mówił dalej:

— Cóż już nad to powiedzieć więcej. Włosy na głowie powstają, pomyślawszy o tém. Nikogo do niego nie dupuszczą bez pozwolenia, żadnego mu listu oddać niewolno.

Podstuchują podedrzwiami, rewidują pod poduszkami.

— A on to znosi?—zapytał wojewodzie.

Filip ręce złożył.

— A! to biedne, pocziwe panisko! Pobożny jest, więc mówi: „za grzechy moje pokarał mnie Bóg.” Ino bywa różnie: czasem go zniecierpliwia do tyła, że się oburzy; wybuchnąć chce, to go albo zakrzyczę lub zagłaszczą, aby był cicho. Staremu sił zabraknie i po wszystkim. Nie śmie pisać.

— Nigdy nie wspomniał o mnie?—zapytał wojewodzie.

— A! niema dnia, żeby, choć imienia wymówić nie śmie, o coś mnie nie zagadnął, co ja wiem, że panicza tyczy.

Ale baby przekłete mu w uszy tkają, że taki, owaki; że to zbroił znowu, że na niego cały świat pluje: że nie wart, aby imię nosił pocziwe!...

Jak niema prawdy, skłamią, co im to kosztuje? Stary się wypłaczę, a choćby nie chciał wierzyć, coś zostanie w nim...

— A! na mnie też nietrudno co powiedzieć!—przerwał Wicek z goryczą—ja się za aniola nie sprzedaję. Dyabłem mnie ta kobieta zrobiła, ta! ta! która z moich rąk wprost poszła z ojcem do ołtarza!

Filip sobie oczy zakrył.

— Ztąd ta nienawiść i prześladowanie—dodał wojewodzie—więc ona że w méj mocy jest, więc zgubić mnie chce.

Przeszedł się po izbie mruczając.

— Paneczku, mityguj się: dopust Boży tę siłę nieczystą w dom nasz wprowadził, łaska Boża wyzwolić nas może. No! i wyzwoli!—dodał—bo wojewoda niedługo wieczny, a one go dobiją.

— Piękne tam też życie być musi—dodał wojewodzie—bo że go sobie te jejmoście nie żałują, to pewna! ho! ho!

— Sodoma i Gomera!—zawołał Filip stłumionym głosem.—Staroscina udaje młoda, a wojewodzina....

Ręką zaniachnął.—Co się tam gachów roi i jakich!

Nie dopowiedział Filip. W izbie robiło się ciemno, czas też upływał, powracać musiał. Przyszedł w rękę pocałować panicza i chciał odejść.

— Filipie mój!—zawołał wojewodzie poruszony odprowadzając go do drzwi—śmiało ojcu oczy otwieraj, niech pozna i uczuje z kim ma do czynienia, a, słuchaj! powiedz mu, niech skinie, niech pozwoli, ja go uwolnię! ja!

Uderzył się w piersi.

— Niechaj się mnie nie boi—dodał wojewodzie—pójdę potem precz, jeśli mnie nie zechce, ale go oswobodzić potrzeba! Srom dla nas!...

Nie umiał Filip odpowiedzieć na to, zaszlochał, ucałował rękę, ścisnął kolana i wyszedł.

Szczęściem dla wojewodzica, tego wieczora nikt nie nadszedł do niego, mógł więc samuasam wydychać smutek, nkoić rozpacz i oburzenie; myśli nawet o Pepi ustąpiły politowaniu nad ojcem.

Pragnął zdrowia co rychlój, bo w gorącej wyobraźni swój marzył o wyzwoleniu wojewody.

Część dnia nazajutrz w tych myślach upłynęła. W godzinie, gdy zwykle obiadował, już mu z dołu przyniesiono nakrycie i siąść miał do samotnego stołu, gdy lokaj przez drzwi napół otwarte, podał mu kartkę drukowaną.

— Pani się pyta, czy może oddać wizytę?

— Jaka pani n licha?—spytał nieubrany i skłopotany wojewodzie.

Spojrzał na bilet, na którym stało: „Stolnikowa...” ółówkiem dopisano bez ortografii: „dawna znajoma chce się przypomnieć.”

— Ale ja jestem nieubrany.

— Pani mówi, że od chorego nie wymaga tualety.

Wojewodzie ledwie miał czas narzucić na siebie turecki szlafrok, którym go Kazio obdarzył, gdy już w korytarzu zaszeleściła suknia, zastukały koreczki i tuż wbiegła maleńka owa lalczka śliczna, którąśmy widzieli u wojewodziniej. Wbiegła, stanęła w progu, wyciągnęła rączki obie.

— Poznajesz mnie? niewdzięczniku!—poczęła.—A widzisz, tyś o mnie zapomniał, ja dotąd cię w głębi serca mego noszę!

— Stolnikowo dobrodziejko!—zaśmiał się rozweselony chory—w głębi serca! zmiłuj się! tyłu już tam musi na mnie spoczywać, że mnie uduszą!

— A! jaki złyś się zrobił!—odparła stolnikowa szukając krzesła, które jój podał gospodarz.

Mnie mówili „strasznie ranny,” a chwala Bogu, już nawet trochę jest rumieńca! Nie ci nie będzie.

— Rumieniec to pani z sobą przyniosłaś—rzekł wojewodzie—wykwitł z radości, żeś pani o mnie nie zapomniała, choć pani...

Bo wacpan jesteś bałamut!—odparła stolnikowa poprawiając tnaletę—jak chcesz żeby o tobie pamiętano, kiedy ty o wszystkich zapominasz!..

O! ja wiem wszystko! wszystko! wszystciuteńko! wiem. Śliczne rzeczy!

I niedokończywszy obejrzała się.

— Ale jakże ty możesz mieszkać w takiej dziurze! pfe! W jakiejś oberży, na piętrze!

— Stolnikowo dobra—rzekł gospodarz—wedle stawu grobla! Pani to chyba niewiesz nie! Nie jestem wojewodzicem, nié mam złamanego szeląga i naprawdę powinienbym pójść do szpitala: Łazarza ze mnie zrobili.

— Kto? chyba wacpan sam!—zawołała Malinka.

— Ja tylko dopomogłem—rozśmiał się wojewodzie.—Głównym sprawcą mojego nieszczęścia, domyślisz się kto jest!

— Nie potrzebuję się domyślać!

Ale, bo pfe! co się to porobiło!—szczebiotała piękna jójmość—pfe! Myślisz, że ja nie wiem o tém oknie... Pfe! i potem, żeby się starzy z nią żeni! Jakżeś dopuścił?

— Miałem odwagę heroiczną powiedzieć mu wszystko, dostałem za to w twarz od ojca; zrobiono mnie potwarcą, kłamcą, chciwym majątności. Starościna umiała chodzić około interesu córki i swojego, a takiemu łotrowi jak ja, nikt nie wierzył.

Uśmiechnął się wojewodzie.

— A! to są okropności! okropności!—zaszeptala piękna Malinka.—Chyba lepiej o tém zapomnieć! Mówmy o czém inném...

— Mów pani o sobie?

— To także smutne dzieje—odezwała się wdzięcząc i oczki swe zapuszczając w wejrzenie wojewodzica, który stał wpatrując się w nią pilnie. Ja także jestem okropnie, okropnie nieszczęśliwa: trzech mężów!..

— Pogrzebałaś pani!—wybuchnął wojewodzie—w tak krótkim czasie!

Stolnikowa rozśmiała się serdecznie.

— Ale gdzież zaś! Żyją, zdrowi wszyscy trzej! Dwóch jest w Warszawie i z tymi jaknajlepiej jestem; *apres tout*, wcale dobre ludziska, tylko znów na mężów, to co innego! Trzeci, pewnie w tych dniach dla rozwodu przyjedzie.

— Trzy razy rozwiedziona?—zapytał uśmiechając się wojewodzie—ale to sztuka w tak krótkim czasie.

— I sztuka było przeżyć te wszystkie przejścia!—westchnęła biedna rozwódka.—To też straciłam cerę, świeżość...

Wojewodzie pochwycił ją za rączkę.

— Chcesz pani chyba, abym się unosił nad nią!

— A dlaczegoż nie! unos się!—odezwała się stolnikowa. Niémam nic przeciwko temu! Ja bo się kiedyś w waćpanu kochałam szalenie, gdyś był Dosią zajęty. A zazdrosna była!

Potrząsała główką.

— Ale my już obojeśmy starzy! przeżyliśmy dużo.

— Ja, nawet zawiele!—rzekł wojewodzie.

— A ja? wiesz? dużo, dużo i z tego wszystkiego niéma nic. Ani chwilki szczęścia. Świat mi obrzydł.

— O klasztorze myślisz, stolnikowo kochana—śmiał się gospodarz—to zawcześnie.

— A! ktoby tam o nim myślał. O! nie—prawiła stolnikowa.—Przyjechałam się rozerwać. Dałam sobie słowo, że teraz tak rychło już za mąż nie pójdę! bo to nudna rzecz.

Obejrzała się po pokoiku.

— Pfe! jakbo mieszkasz!—poczęła po chwilce.—Tak mi waćpana żal! Ale, *a propos*: byłam u Dosi.

Wojewodzie, który stał pochylony przy niej, odprostował się.

— Winszuję—rzekł zimno.

— Jużciż za złe mi téj ciekawości brać nie można. Byłam ciekawa po prostu! Co się z téj twojej Dosi zrobiło!

— Mojój!—krzyknął wojewodzie ramionami wzruszając.

— A jużciż! przedemną niéma sekretu! Szpiegowałam was, bom była zazdrosna.

— Pozwól pani stolnikowo—przerwał opryskliwie wojewodzie—bym dla jej ciekawości dodał, iż ta moja Dosi, dziś macocha, chciała mnie otruć czekoladą, a parę razy zbójów nasyłała na moje życie!

Krzyk się dał słyszeć i stolnikowa oczy sobie zakryła. Gdy się

odważyła spojrzeć na wojewodzica, ujrzała go z uśmiechem ironicznym stojącego przed sobą spokojnie.

— Niestety! takie to bywają te piękne, zachwycające, romansowe Dosie, gdy im idzie o pochwycenie fortuny... Czekolada dostała się pieskowi, ale nie ręczę, żeby, gdy pan wojewoda stanie się zawadą, gdy od niego wszystko wyłudzą, jemu jój nie podano!

Wstrzęsła się piękna pani.

— A! nie mów! dreszcze po mnie przechodzą!—odezwała się cicho.

— Po mnie płomienie chodzą—dodał wojewodzie.

Zamilczeli.

— Stolnikowa myślisz tam bywać?—zapytał gospodarz.

— Ja? myślałam!—szepnęła kobieta.

— Bywaj pani i owszem!—rzekł wojewodzie—bywaj! możesz mi dopomódz do dobrego uczynku...

— Z duszy-serca, tylko czekolady tam pić nie będę!—zaśpiewała stolnikowa.—A! i wiesz co? ja do intryg żadnych nié mam talentu.

— Bo tu nie potrzeba intrygi żadnej—rzekł wojewodzie.—Posądzać was nie będę o nic, możesz czasem zbliżyć się do ojca mojego, możesz mu szepnąć słówko, być pośredniczką między mną a nim.

Stolnikowa zdawała się namyślać trochę, oczy skierowała bardzo czule na wojewodzica, wyciągnęła rączkę ku niemu i szepnęła:

— Będiesz mną kierował!

— I całe życie wdzięcznym jój będę!—dodał wojewodzie.

Chociaż stolnikowa zarzekała się intrygi, choć się trochę obawiała czekolady, jednak nadzieja wspólnéj jakiegó roboty, która ją mogła zbliżyć do tego niegdyś ukochanego w młodości, wielce się jój uśmiechała!

Nie byłaby się może zgodziła mieć go czwartym mężem, ale jako przyjemne *intermezzo*, przyjacielski, platoniczny stosunek z człowiekiem tak... interesującym, dosyć jój był przyjemnym. A przytém, małeńka rola w dramacie, w téj tragedyi domowéj, dla niéj, niémającej teraz żadnej passyi i żadnego zajęcia oprócz prozaicznego rozwodu, nie była do odrzucenia.

Zaczęła więc szeptać na ucho coś wojewodzie z żywością wielką. Chciała wiedzieć godziny, w których mogła dla narady się z nim, widywać bez świadków i t. p.

— Ale! kochana stolnikowo!—rzekł w końcu wojewodzie trzymając jej rączkę niewyrywającą mu się wcale—cóż ludzie powiedzą?

— Niech sobie gadają!—odparła piękna pani.—Cóż mnie to szkodzi, jestem tak jak rozwiedziona. Jeżeli po mieście szeptać będą...

— To dójdzie do wojewodziniej—przerwał Wicek—stracisz pani u niej zaufanie i wstęp do jej domu.

— Więc—rzekła smutnie—jakoś to inaczej obmyślić trzeba.

Znowu szepetano długo, naradzano się jeszcze, gdy utracony garson z restauracyi wpadł z barszczem na talerzu.

Stolnikowa zerwała się przestraszona. Zdaje się, że pakty jakieś zawarte zostały, bo wojewodzie odprowadził ją do sieni i z wielką wdzięcznością, po kilkakroć rączki ucałował.

Rozjaśniło mu się w oczach i poweselał znacznie.

Po obiedzie, jadący na sesyą do zamku, wpadł książę marszałek. Na dole chłopak mu, uśmiechając się, wydał sekret, że jakaś piękna pani karetą przyjeżdżała z wizytą do chorego.

— Więc już kobiety przyjmujesz!—odezwał się książę w progu.—Któżto był? wojewodzie?

Nie było na rękę przyznawać się wojewodzie, ale z księciem nie potrzebował się tać.

— A! to ta śliczna małpeczka, którą mi już pokazywano!—rzekł książę.—Zmiłujże się, bądź ostrożnym: trzy razy się rozwodziła pono, łapie mężów jak muchy i puszcza ich wyssawszy.

— Ale ze mnie niema co ssać!—rozśmiał się ranny.

— Życie! i to coś warto!—odparł marszałek.

— Moje niewiele.

Rozmowa się zmieniła, książę chcąc wypocząć po sejmowych rozprawach, rad powtarzał plotki. Prawił więc o ostatniej konkiecie ks. ex-podkomorzego, o ślicznej Juźce, o Blanchardzie, o śpiewaczce włoskiej, o awanturze w teatrze i o wieczorze w Foksalu.

Po chwilce już go niebyło, karetka toczyła się ku zamkowi.

Wieczorem list przyniesiono od Pepi. Wojewodzie wziął go do rąk z jakąś obawą i długo nie mógł otworzyć. Czego się lękał, samby był powiedzieć nie umiał. Przywiązania, które go czyniło niewolnikiem, uczucia, co go miało oderwać od życia, do jakiego nawykł. Li-sty Włoszki nie były sentymentalne wcale, a jednak gorąco go przejmowały. Opisywała w nich życie swoje, śmiejące się nadziejami. Wszystko w tej czynnej główce było z góry ułożone. Zajęcia dnia ca-

tego, zabawy we dwojgu, przechadzki, miejsce, jakie miał w tém szczęściu wyznaczone, doktor pocziwy.

Liczyła dnie, wyrachowywała kiedy prawdopodobnie ślub miał nastąpić; spodziewała się, tęskniła, ale często wymykało się słówko dziecięce, wesołe...

Wojewodziecowi gorzały policzki czytając, biło i razem ścisnęło się serce. Widział przed sobą tę śliczną Pepi, zakładającą mu na szyję, na ręce, ukwiecone kajdany; widział siebie w tej smutnej kamienicy lubelskiej, zamurowanego jak pszczoła w miodzie, zestarzałego, obezwładniałego, zmienionego. To mieszczańskie spokojne szczęście napępniało go strachem. Co ono z niego zrobić miało?

Czasem nawet jak błyskawica przelatywała myśl wyrzeczenia się Pepi, lecz wnet stawała ona przed nim z wdziękiem dziewiczym, z tą miłością gwałtowną, aż do szału, z poświęceniem bezprzykładnem, i mówiło mu serce, że takiej drugiej nie znajdzie na świecie.

— Ale ja nie jestem do szczęścia stworzonym!—mówił sobie.— Jam stworzenie drapieżne, którego przeznaczenie krew i łzy przelewać, a śmiechem je witać.

Jastrzębie się nie żenią z gołębicami.

Wiedział zarazem, że ta gołębica w rozpacz mogła się stać orlicą; pamiętał jęć łajanie, przypominał jęć ucieczkę i łzy. Był jak człowiek, co się ma puścić na morze i w chwili gdy się chce rzucić na fale, odchodzi go męstwo.

Walka ta z samym sobą wyczerpywała go, byłby może nie zniósł jęć dłużej, gdyby myśl wyswobodzenia ojca nie zajęła go równie silnie, goręcej może i na czas jakiś nie wygnała z głowy natrętnych marzeń o przyszłości...

Do miłości dla ojca, łączyła się, trzeba wyznać, nienawiść i chęć pomszczenia się na niegodziwej kobiecie. Kilka dni rozmyślań doprowadziły go do nakreślenia jakiegoś planu. Potrzeba było staremu oczy otworzyć, dać mu poznać tę kobietę, dla której miał taką słabość, graniczącą już z upodleniem.

Lecz jak dostąpić do ojca? W obozie nieprzyjacielskim był tylko jeden Filip, uzbrojony wielką miłością i poświęceniem. Na panią stolnikową, pomimo jęć dobrej woli i przyrzeczeń niewiele można było rachować. Wojewodziec czuł, choć jęć oddawna nie widział, że trzpiotowości lat młodzieńczych nie straciła, rozwinęła ją jeszcze na swo-

Niechęć ku Dosi mogła ją uczynić gorliwą, ale niezręczną. Łada polectanie wywoływało u niej wybuch, a raz otwartych ust już żadna siła zamknąć nie potrafiła. Był to więc pomocnik, z którym jak z obosieczną bronią, bardzo ostrożnie trzeba się było obchodzić.

Gdy wojewodzie tak rozmyślał nad wyzwoleniem ojca, szczęśliwy traf niespodzianie miał mu przyjść w pomoc.

Wojewoda, pomimo zgryzot i utrapień, przy troskliwej kuracyi, począł się mieć znacznie lepiej. Obrzęknięcie nóg zchodziło, siły przybywały i Filip z każdym dniem postrzegał w panu oznaki blizkiego uzdrowienia. Z pomocą jego mógł się już przechadzać po pokoju a odzyskawszy władze ruchu, swobodniejszą nieco myśl, mimowolnie zaczynał wracać do obyczajów swych dawnych, z tych czasów, gdy opieki nie potrzebował.

Zwolna wprawdzie, ale stary się potrosze emancypował. Powrót ten do zdrowia, któremu obie kobiety przez wielką troskliwość i obawę zaprzeczały, starając się utrzymać wojewodę nieruchomego w krześle, był z jednej strony pożądanym dla nich, z drugiej niewygodnym. Dawał czas do wyrobienia zapisów, ale zrywał pęta, które na starca czasu choroby włożono.

Zaraz w pierwszych dniach, gdy mu się polepszyło i sam zaczął dysponować ludźmi, starościna usiłowała temu zaprzeczyć i protestować; wojewoda zbył ją grzecznie, lecz swoje zrobił. Padł popłoch na obie jęjmoście, wpadła wojewodzina, chcąc w imię szacownego zdrowia, wszelkich zajęć interesami i dyspozycyi wzbronić: wojewoda się nie dał.

— Ależ, droga Dosieczko moja, nie róbcie bo mnie lalką, aby się ludzie nie śmiali. Czuje się lepiej i wiem co mogę. Daj mi łapcię do pocałowania i nie turbuj się. Doktor nie tylko że nie broni, ale nakazuje mi dystrakcyą.

— Jegomość zamiast dystrakcyi będziesz miał zmartwienie i nową chorobę napytasz!—odparła jęjmość.—Cóż tak pilnego? Przecież i ja i mama wszystkiemu rady damy, a na wiarę zastugujemy, i mama nawykła do interesów. Niech jegomość wypocznie, ozdrowieje...

— Ano, proszę cię, złota moja Dosieczko, królowo moja droga, nie sprzeciwiaj mi się!—rzekł wojewoda. Nikt lepiej około własnych interesów nie chodzi, jak sam pan. Nie ujmuje starościnie wcale, a przecież i bez jęj frasunku podołam brzemieniowi. Wy się bawcie, niech mama dobrodziejka dobrego czasu zażywa.

— Jegomość jesteś uparty!— zawołała Dosia gniewnie— a doktor niewiele okazał rozumu!..

Przecież ja z troskliwości o jego zdrowie to czynię...

— Nożcie swoje radbym ucałować, królowko moja! anielku mój!— wołał wojewoda wyciągając ręce ku niej; na co odpowiedziano wycofaniem się—daj mi się rządzić jako chcę. Będzie z tém wszystkim lepiej!..

Pierwsze te symptomata emancypacyi, wprowadzie musiały uledeż naciskowi obu kumoszek, które starego zakrzyczały, zahukały i kazały odpoczywać, ale zdrowie coraz wracało i wojewoda, choć najniższy żony sługa, już się swobodniej zaczynał obracać.

Dawał sam rozkazy w domu, posyłał Filipa: częstokroć dyspozycya pani wbrew woli pana była przeciwną. Następowaly konflikty, które się w pokoju chorego wrzawą i kłótnią kończyły, jeżeli kłótnią nazwać się mogło łajanie pani, a chwytanie jej rączek i pieszczoty starego, które ona odpychała, nie kryjąc się ze wstrętem dla niego.

Wieczorami, gdy największe życie wrzało w pałacu, gdy pełno było gości, wojewodę, pod pozorem potrzeby wypoczynku, zamykano na klucz w jego samotnym pokoju.

Najściślejszy dozór zaczynał jednak okazywać się niedostatecznym, bo z każdym dniem chory czuł się silniejszym i większych prerogatyw domagał.

Kobięty, które rachowały na to że się z krzesła nie ruszy, były przerażone tém, iż już mówił o wyjeździe z domu, bytności na zamku i odwiedzaniu znajomych.

Żona naprzemiany grozą i łagodnością starała się go przykuć do domu: zaczęto naradzać się i przemyślać. Dopóki wojewoda był w kurateli wszystko szło gładko, jak skoro się począł wyzwalać, tysiąc niebezpieczeństw zagrażało. Ludzie mogli go buntować, mogli mu gdzie podprowadzić syna, namówić go do zgody, a wówczas wojewodzina czuła się zgubioną.

Niepokój opanował kobiety i Dosia musiała napisać do Daliborskiego, by w pomoc i na radę przybywał. Szło o przyspieszenie zapisów, które, gdyby raz miały moc prawną, z resztą niewiele je co obchodziło!

Polepszenie bardzo wywołało zmianę nagłą w postępowaniu jéjmości, która po gniewach i fukaniach, stała się bardzo czułą.

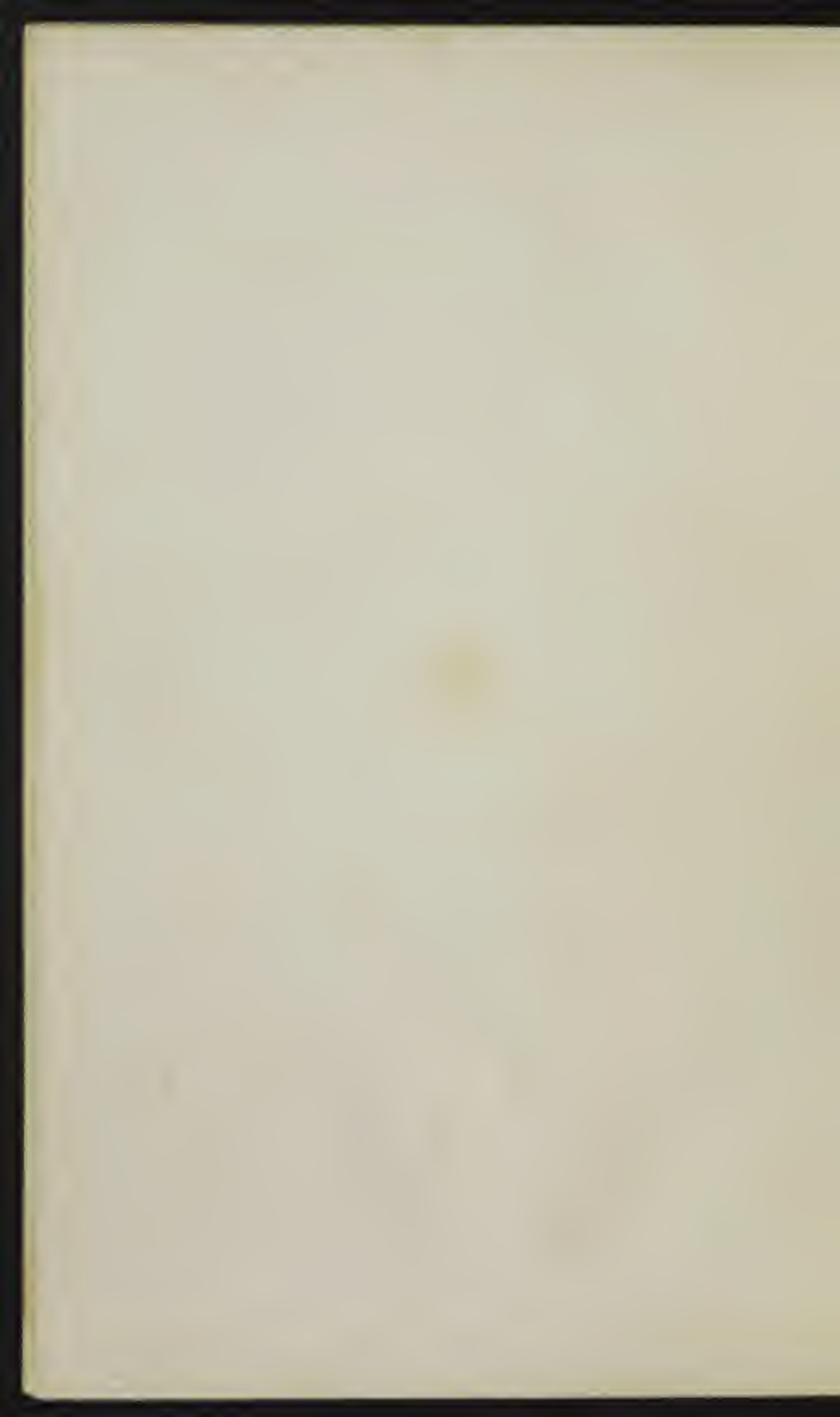
Te pieszczoty, którými starca otaczała przez dni kilka i obsypywała do zbytku, miały ten skutek jednakże, iż wojewoda zapadł znowu.

Symptomaty groźne wracały, doktor przywołany przez Filipa nadbiegł w porę i surowe jego przepisy zapobiegły zapowiadającej się recydywie. Trzy dni na dyecie przebywszy znowu w krześle i zamkniętym pokoju, wojewoda doznał polepszenia, ale posmutniał mocno.

I znowu potrosze rządy chwyciły kobiety, aby mu oszczędzić troski; stary jednak dopytywał niespokojnie i zdawał się zupełnej abdykacyi nie chcieć dopuścić.

Słowem, wojna się przeciągała.

v.



Kilka miesięcy upłynęło. Zima miała się ku końcowi, Warszawa, choć zawsze ludna, mieniała gości, z których jedni odjeżdżali na wieś, drudzy na ich miejsce przybywali, lecz nawet po odroczeniu sejmowi nie zmniejszył się napływ do stolicy.

Początek narad, pierwszy akt tego dramatu dziejowego, rozkołysał bardziej jeszcze umysły, rzucił na stół tyle projektów, tyle reform, tyle zuchwałych planów zupełnego przeistoczenia wiekowej Rzplitej, iż cały kraj został niemi wstrząśnięty. Chodziło już nie o przemianę aliansów i traktatów, ale o całkowite przerobienie tego organizmu zużytego wiekami, a połatanego w ostatnich czasach dosyć niezręcznie. Nie tajono się z tém, że chciano monarchii dziedzicznej, zniesienia *liberum veto*, reorganizacji sejmów, przyznania praw włościanom, nadania swobód miastom; słowem, rzeczy niebywałych, monstualnych, na których odgłos, partya republikańska o zgubę swobód wiekami zdobytych, krzyczała. Zeicha mówiono już nawet o wyprzedaży starostw i odjęciu ich teraźniejszym posiadaczom, ale tak strasznej groźbie nikt jeszcze nie wierzył.

Szczesny Potocki z powodu aliansu pruskiego, który mu się zgubnym wydawał, cofał się już nadąsany od udziału w obradach; inni jak Branicki i Rzewuski rzymskiej republiki i prerogatyw szlacheckich bronili: obozy przeciwne się zarysowywały. Król stał jeszcze, wahając się między nimi, ale widoczném już było, że się pochyli tam, gdzie więcej znajdzie siły, energii i życia.

Może sobie pochlebiano, że przeciwnicy nawrócić się potrafią, boć Ignacy Potocki, wódz reformatorów, stawał w obozie hetmana, który był przewodzącą opozycyą, a Stanisław Potocki gonik do Tulezyna za

Szczęsnym! Tymczasem upojeni otrzymanymi zwycięstwami, hugoniści posuwali się śmiało dalej, tak daleko, że nie wszyscy zdążali za nimi.

Jak ogromną rolę grały wśród tych intryg politycznych kobiety, dziś się to do wiary nie wydaje podobnym. W białych sukniach z szarfami ponsowcami, zawczasu zapełniały galeryą sejmowej sali a mówcy wejrzzeniami i przyklaskiwaniem zagrzewani, pod ogniem czarnych i niebieskich źrenic, szli do ataku z bohaterskim zapałem. Lecz i poza obrębem sali obrad, salony pań służyły za ogniska, w których się dla konferowania z obojętnymi przeciwnikami spotykano. Na tém terytoryum neutralném, u ks. Dessau, u hetmanowej Ogińskiej, u Czartoryskich, u Mniszchów, dawni znajomi i krewni, choć innych przekonań, schodzili się z nieprzyjaciołmi sejmowymi, tu ich nawracano potrosze, a czego nie dokazały argumenta, często uśmiech kobiety i dowcip mógł dokonać. Bawiono się wysmucaniem.

Starzy zapijali węgryna pod „Okretem” na Starém-Mieście, młodzież grała na złotych i srebrnych salach Ryocour’a, wyprawiano uczty w Foksalu, tłoczono się na reduty w Radziwiłłowskim pałacu, a król pomiędzy Łazienkami a zamkiem, umęczony się przejeżdżał, starając napróżno wszystkich żywioły przeciwne pojednać i złączyć. Próżne to było staranie.

Pomiędzy pięknymi paniami najszałeńszą, nieustającą zabawie oddanymi, latającymi bez spoczynku, ukazującymi się wszędzie, uśmiechającymi wszystkim, otoczoną rojem wielbicieli, stolnikowa była jedną z najwybitniejszych.

Właściwie nikt powiedzieć nie mógł, po której stała stronie, komu posługiwała; była ze wszystkimi dobrze, potrafiła się dostać na zamek i król wielkie jej oddawał pochwały; jeździła na wieczory do ambasadora, zapoznła się z panią Oborską i wcisnęła na niedzielne przyjęcia do prymasa, ale zarazem bywała u Potockich, u Czartoryskich i w ogóle gdzie tylko drzwi znalazła otwarte.

Polityczni pracownicy posługiwali się nią tak, jak czasu wojny gołębiem posłańcem; do jej skrzydełek przywiązywali wiadomość, a ona niosła ją z sobą, sama o jej ważności nie wiedząc.

Nie zwierzano się jej tajemnic, lecz gdy trzeba było w świat puścić wieść lub groźbę, szepcano je stolnikowej do ucha.

O niej to opowiadano naówczas, że raz przy wieczerzy, u księżnej generałowej znalazła się razem ze wszystkimi trzema odprawionymi ex-mezami swoimi, z którymi była tak dobrze, tak przyjacielsko, a oni

tak jęj nadszkakiwali, jak gdyby nazad do dawnych więzów powrócić chcieli. Posługiwała się nimi chętnie i na żadnego nie mówiła złego. O czwartym nie zdawała się myśleć, bo jęj bardzo dobrze było na swobodzie. Pocichu mówiono, że się zajmowała mocno nie-szczęśliwym wojewodzinem, ale Wicek nie był partją dla nięj.

Nie zaniedbywała tęż wojewodzinęj, która ją z wielką oględnoscią i dosyć chłodno przyjmowała, co nieprzeszkadzało stolnikowej natrętnie się tu ze swą przyjaźnią narzucać, wciskać i przesiadywać, zbliżając, gdy było można do pana wojewody.

Podejżliwém okiem spoglądała Dosia, na tę czułość dla jęj starego męża, gniewała się, a awantury o to zrobić nie śmiała. Wojewoda po ostatnięj chorobie dźwignął się był znacznie; musiał wprowadzić buty aksamitne, ale chodził w nich dosyć żwawo, ruszał się, wyjeżdżał z domu, widywał ludzi i znacznie wyemancypował; śpiegowano go troskliwie na każdym kroku, a salonowe śpiegi ściagały go wszędzie gdzie mogły; bywały starcia w domu na cztery oczy, wojewodzina jednak nie śmiała zrażać go obejściem się zbyt surowém, bo nieszczęsne zapisy nie były jeszcze porobione. Przygotowywano starca do podpisania ich i zeznania przed aktami. Daliborski albo przesiadywał w Warszawie, lub przylatywał na wezwanie, nie dokonać nie mogąc. Usiłował sobie pozyskać zaufanie starego, i pierwszy raz w życiu, cała jego zręczność i takt okazały się bezskutecznymi.

Wojewoda miał trochę uporu w charakterze, właściwego naturom słabym, które go biorą za energią. Dawnięj powziąwszy wstręt do tego parweniusza, kręcącego się po salonach, wsrubowniącego wszędzie, nie dawał się ująć ani pochlebstwy, ani świetną jego wymową.

Nazywał go pocichu—frantem. Osobliwym tęż trafem właśnie, admiracya wojewodzinęj dla mecenasza, zdawała się od niego odstręczać jegomości. Gdy pani go wychwalała, wojewoda milczał, i po długich nawracaniach, konkludował:

— Złota rybko, jęjmościuniu, jestto frant! tak mi Panie Boże dopomóż!

Wojewodzina tēm niespokojniejszą była o siebie i zapisy, że wojewodzie przychodził zupełnie do zdrowia; tu i owdze się już z ręką na chustce pokazywał, mogli go ludzie z ojcem sprowadzić. Miał, jak mówiono silne poparcie u osob wysoko stojących, książę Kazio zwał się przyjacielem jego. marszałek Małachowski go zapraszał do siebie, był u Potockiego w arsenale...

Zmieniono taktykę i gdy w początkach chciano owo małżeństwo z córką doktora rozerwać, teraz Daliborski był za tem, aby je przyspieszyć, i w ten sposób wojewodzica z Warszawy wyciągnąć. Całe prowadzenie sprawy pani wojewodziniej, przy pomocy matki i Daliborskiego, mimo pozorniej ich przebiegłości, nie odznaczało się zręcznością ani logiką.

W niepokoju o swą przyszłość piękna Dosia zniemia coraz i tryb postępowania i plany i narzędzia. Z wojewodą to była czułą do zbytku, to nieznosną, opryskliwą i nieszczęśliłą mu najprzykrzejszych wyrzutów.

Ogarniały ją trwogi, podejrzywała niewinnych ludzi, a prześlębiała tych co jęj szkodzili. Widmo wojewodzica widziała wszędzie za sobą.

W istocie Wicek pozdrowiawszy znacznie, choć jeszcze dawnych sił i zdrowia nie odzyskał, za namową przyjaciół i stolnikowej, która go pod bokiem mieć chciała, wyniósł się z pod Orła na Krakowskie-Przedmieście, zbliżył do pałacu ojca, a, złożyło się tak, niby przypadkiem, że w domu drugim tuż, miał stolnikową. Ta go opanowała zupełnie, bawiło ją że go protegowała, bawiło że bałamuciła i, jak mówiła, rozkochiwała...

Wojewodzie nie kochał się wcale, ale bałamucić dawał chętnie. Prawdziwa jego miłość lepsza, pocziwsza dla Pepi, znacznie była ostygła. Pisywał do nięj, obiecywał powrót, zwłóczył, i za przyczynę dawał obowiązki swe względem ojca, którym poprzysiągł zadosyć uczynić. Być bardzo może, iż długo nie widząc Pepi, obawiając się tego małżeństwa, które mogło z niego spokojnego i szczęśliwego prozaicznie uczynić człowieka, wojewodzie szukał już środków do potargania węzłów, co go z Włoszką łączyły.

Listy jęj były zawsze gorące i pełne wiary, jego coraz chłodniejsze i krótsze.

Co się działo z Pepi? opowiedzieć trudno. Była zajęta swym narzeczonym, rozkochaną w nim, robiła wyprawę, stroiła dom, żyła cała w przyszłości. Wuj tymczasem coraz to kogoś wprowadzał do domu, po większej części młodych ludzi. Miał do tego zawsze jakieś powody, wyszukiwał czémby się usprawiedliwić. Pepi przyjmowała tych gości wesolo, obojętnie, ale z taką dumą odstręczającą, że się żaden bardzo zbliżyć nie ośmielił.

Wszyscy ci miejscy i wiejscy panicze wydawali się jój zbyt powszedniemi ludźmi, obok tego ideału, jakim był Wicek.

Często śnił się jój jeszcze leżący bez ducha pod latarnią, to blady i ranny, gdy doń z Lublina przyleciała do Warszawy. Jój przywiązanie dziewicze, oddaleniem rosło. Wymarzony bohater zyskiwał na niēm, stroiła go kwiatami własnej wyobraźni. Przytomny byłby ją zraził może, daleki wydawał się jój tēm, czēm go sama stworzyła...

Wuj czasem próbował napomykać o lekkomyślności wojewodzica, o jego płochym charakterze, o pogłoskach które chodziły o życiu jego w Warszawie. Pepi brała go w obronę gorąco i niedopuszczała nie powiedzieć przeciw swemu narzeczonemu.

Mellini nie chciał się jój wbrew sprzeciwiać, znając charakter, lecz swoje zrobił. Z młodzieży zwabionej umyslni jej niedyskrecjami, najwięcej mu się podobał młody lekarz Krakowianin, który odbywszy nauki za granicą, przybył do dalekich krewnych w Lublinie. Mellini poznał go wypadkiem, wciągnął do swojego domu i wszelkiemi możliwemi sposobami starał się go zatrzymać. Był to młodzian cichy, skromny, bojaźliwy. niałomowny, uczony i rozumny, ale się nie popisujący ni z nauką, ni z rozumem; przystojny bardzo i do zbytku łagodnego charakteru. To niezawadne, dobre stworzenie, ciche, Pepi przyjmowała równie chłodno jak innych, lecz znośniejszym jój był ów pan Biernacki niż inni.

Miał to za sobą, najprzód że nie okazywał jój takiego zajęcia jak drudzy, nie wzdychał, nie nadszakał. Doktor jako z kolegą młodszym był z nim bez ceremonii, a tak układał rzeczy, że—Biernacki się musiał zakochać. Postawił też na swoim: młody lekarz był z uwielbieniem dla Pepi, szalał, ale wiedząc iż była narzeczoną, bo ona sama o tēm często umyślnie mówiła, starał się nie dać poznać po sobie, że się zakochał. Grał rolę przesadnie zimną i poważną.

Niema pono na świecie kobiety, nawet najniedoświadczeńszej, którejby instynkt nie dał odgadnąć tego, który kocha. Udawanie się na nic nie zdało. Pepi z pewnością się domyśliła uczuć młodego gościa, ale że tak przyzwyczajona była tłumić w sobie, szacowała go za to, i była mu dosyć przyjaźną, wybrała go nawet sobie potrosze za powiernika i mówiła z nim chętnie o narzeczonem i przyszłości. Biernacki, który sam już nie miał najmniejszej nadziei, znajdował jakąś przyjemność w towarzystwie dziewczęcia, słuchał, patrzył, napawał się jój wdziękiem i to mu starczyło. Doktor Mellini, jak tylko złapał go, natych-

miast ważne jakieś wyużył zatrudnienie i wychodził z pokoju, nie powracając rychło.

Pepi czasem mu wymawiała że jęj zostawiał doktora do bawienia.

— Alboż cię on nudzi?

— Nie, ale mnie męczy trochę.

Siedzi milczący, uśmiechający się, jak piesek któremu służyć kazano; uwało unówi, a ja muszę ciągle szczebiotać.

— To bardzo przyzwoity człowiek—dodawał doktor.

— Widać, i bardzo stateczny, i rozumny i wszystko co wujaszek chce; ale mi przeszkadza, bo ja wolę być sama.

Gdy wojewodzie przychodzić już zaczął do zdrowia, i piękna Dusia coraz się więcej trwożyła; Daliborski urządził się tak aby raz wróciwszy z Warszawy, oddać wizytę Melliniemu, i zasiąść z nim na rozmowę, obok pokoju, w którym, niby nie wiedział że się Pepi znajdowała.

— Powracam z Warszawy—odezwał się głośno—o! hałaśliwo tam i wrzawliwo, życie płynie strumieniem złotym. Aż człowiekowi żal że tam mieszkać nie może.

A po przestanku dodał:

— Zdaleka widywałem pana wojewodzica, choć rękę nosi na chustce i pobladł trochę, ale wydał mi się wcale zdrów, i na prawdę nie rozumiem tego że do narzeczonej nie śpieszy...

Doktor milczał, a mecenas dodał ze śmiechem:

— Zwyczajnie ułudość! Chce się użyć świata, póki służą lata. Gdy się ożeni, klaunka zapadła, tymczasem się wyhula.

Tu, niby ciszej, dodał:

— Mówią o amatorach licznych, osobliwie ze stolnikową, przy której, bodaj czy nie w jednej kamienicy mieszka, i albo ona u niego lub on u niej, po całych dniach i wieczorach. A to kobięcina całę niebezpieczna! trzech mężów już przez kij przesadziła, nie licząc intermedjów i przekąsek... cha! cha!

Doktor wskazał na drzwi, mecenas usta zatulił kulakiem, robiąc minę skonfundowaną; ale Pepi słyszała wszystko.

Wzięła to za potwarz wprost, o której natychmiast chciała napisać wojewodzie, że w nią nie wierzy. Zarumieniła się, pogriewała, ale na plotkarza tylko. Była pewną, że narzeczony jęj zdradzić nie mógł, bo swoją miłość czuła gorąco, i wierzyła iż podobną wzburzyć musiała.

Wzmógł się jój wstręt do Daliborskiego. Mellini śledząc skutków późnżej, przekonał się że wrażenie było wcale inne niż się spodziewał. Zachwiać sercem jój nie mogło nic, nawet listy krótkie, żartobliwe, chłodne wojewodzica; mówiła sobie że sprawa ojca była pierwszą, a ona?—czekać mogła. Czekać z nadzieją, jest prawie szczęściem.

W rozmowie z Biernackim tegoż dnia po obiedzie, rozwiodła się szeroko o plotkach, o ludziach co je nosili, i o niegodziwym obyczaju powtarzania ladajakich ulicznych wieści.

Ponieważ dawno bardzo nie widziała Strańskiej, a młody lekarz jój nie starczył na powiernika, pobiegła do niej skarżyć się na niegodziwość ludzką.

Wdowa, choć się nie sprzeciwiała Pepicie, nie podzielała jój ufności i spokoju.

— E! już to, powiem ci, kochanie moje, że wojewodzie do zbytku wierzyć nie można. Wielu to ja takich znałam! mój Boże! Co to poki im przedmiot na oczach, to zakochane jak koty: a niechno w stronę ujdą, do pierwszej lepszej małpy się mizdrzą.

— Ale on! on takim nie jest!—zawołała Pepi. On mnie kocha nie miłością co jak słomiany ogień płonie i gaśnie, ale stałą i wiekui-
stą, jak ja!

— Jak ty! ale ty jesteś kobietą—przerwała Strańska—my kobiety kochamy zawsze stale, a ci paskudni mężczyźni...

Pepi się rozśmiała.

— Nie mów! moja droga, nie chcę nic na niego słyszeć. Ja mu wierzę! wierzę! wierzę!

— A jak cię zdradzi?—spytała wdowa.

Pepi długo myślała, brwi się jój namarszczyły; wyciągnęła rękę drżącą:

— Wiész, wiész co zrobię?—zawołała—zabiję go i... umrę sama! Strańska rzuciła się ją ścisnąć, zatulając jój usta.

— Nie płęże!

— Mówię i przysięgam że to uczynię!—dodała Pepi.—Nie wiem czy potrafię go zabić, ale że umrzeć będę umiała, bądź pewną.

Wdowa się przelęknęła gwałtowności, z jaką te słowa wymówiła Pepi.

— Dzięki Bogu, nié mam jeszcze powodu ani rozpaczać, ani myśleć o śmierci! To wszystko niepocziwe bajki!

Wdowa miała pewne instrukcyę od doktora, który potajemnie jęj polecił działać ostrożnie przeciw wojewodzie; lecz spełniała to polecenie bardzo niezręcznie i niezbyt gorliwie, a ile razy odezwiała się z czémś dwuznaczném, Pepi jęj wyrzucała że własne dzieło burzyć chciała.

Z energiczném dziewczęciem trudno było co począć. Tegoż wieczora długi list napisała do wojewodzica, opowiedziała mu co przywiózł mecenas i swoją rozinowę ze Strańską. Mówiłam jęj, że gdybyś mnie zdradził, ciebie zabiję i sama umrę, bo takby się stało; ale nie wątpię o tobie.

Wojewodzie otrzymawszy list, podobno cały dzień go nosił w kieszeni, niemając czasu czy ochoty przeczytać; wieczorem dopiero rzucił nań okiem i pogroźki zabójstwa i śnierci uśmiech wywołały mu na usta.

— Dziecko!—rzekł w duchu.—List rzucił do biurka i nie myślał już o nim, a w kilka dni odpisując nań, ani wspomniął o treści.

Przyjaciele starali się, ale napróżno zbliżyć go do ojca. Wojewoda, choć kochał syna, choć słabość miał do niego, z całą namiętnością starca, bezrozumną, przywiązał się do żony. Pewnym był że wojewodzie zawinił, gotów był potajemnie coś dla niego uczynić, ale ani się z nim widzieć, ani jawnie przebaczyć mu nie chciał.

W Dosi widział bóstwo, na którém skazy nic było; tłumaczył sobie jęj kaprysy, przebaczał fantazyę, obejście się z sobą uniewinniał i... szalał.

Ile razy go kto ze starych przyjaciół zagadnąć próbował o syna, natychmiast przybierał twarz posępną i albo rozmowę zwracał, lub żegnał się i milczał uparcie. Na nalegania silniejsze odpowiadał wreszcie sucho, jedném tylko:

— Niémam syna! niémam syna!

Dochodziło to uszów wojewodzica.

— W ten sposób nigdy się stary nie da przekonać ani nawrócić ku mnie—powiadał—potrzeba, ażeby wprzód tę kobietę nieszczęsną, tego szatana poznać czém jest. Dopóki nie zobaczy zdrady jawnej, słowa próżne!

Ona ostrożna, to pewna, ale czasem i traf bywa mądry, a losowi pomagać potrzeba.

I uśmiechał się dwuznacznie. W Filipie starym miał pomocnika, lecz sługa musiał też postępować nadzwyczaj oględnie, bo kilka

razy, choć ukochany, miał wytartą kapitułę. Z powrotem do zdrowia, wracały czułości dla kochanej Dosi, które wojewodę śmiesznym czyniły. Jéjmość się ich nmiała pozbywać nadzwyczaj zręcznie, sadzała go do kart, dawała mu ludzi do bawienia, którzy go trzymali godzinami na rozmowie; udawała chorobę aby odpoczywać, a gdy się nazywało że spoczywała, i stary chodził na palcach, zalecając ciszę, wojewodzina w karetce po mieście biegła, lub swoich poufałych, serdecznych gości przyjmowała w zamkniętym apartamencie.

Stolnikowa bywała tu niemal codzielną, starała się wkraść w łaski starego przymilając mu się, i do pewnego stopnia dosięgła czego pragnęła. Wojewoda się bawił z nią, całował po rączkach, odrędniał przy niej, ale gdy puściła słówko jakieś mogące się do Dosi stosować, natychmiast ostygła i poważniała. Pomimo to udało się Malince zwrócić jego podejrzenia na kilku mężczyzn, z których się wyśmiewała, że się w Dosi kochali na próżno. Stary był zazdrosny niezmierzenie, lecz, jak większa część zazdrośników, podejrzewał zawsze niewinnych, a ślepym był dla winowajców. Z tego zaślepienia poczęści go wyprowadzać się starała stolnikowa.

— Mój kochany wojewodo—mówiła mu, oczkami go wabiąc—my kobieciegta biędne nie możemy być bez kochania. Jesteśmy do tego stworzone. Mąż to sobie mąż, tego się szanuje, weneruje i ma w zapasie, ale niepodobna wymagać ażebyśmy się wyrzekły fantazyjek i łapania na wędkę.

— A acani dobrodziejka to praktykujesz?—śmiał się wojewoda.

— Ja? naturalnie; Dosia téż i wszystkie wiele nas jest...

— Tylko proszę o wojewodzinie...

— Mój wojewodo—paplała stolnikowa—myśmy się razem wychowywały, ja ją znam lepiej niż siebie. Ho! ho! nic złego nie mówię, broń Boże! ale filucik! filucik...

— Acani dobrodziejka ją w tém przechodzisz—rzekł wojewoda.

— Nic, a nie! Co do fluteryi ja się z nią inierzyć nie mogę: mistrzyni w tém jest.

Zasępił się wojewoda; po każdej rozmowie ostygła dla stolnikowej, gniewał się na nią, a gdy potem przybyła znowu i przymiliła się do starego, umiała go udobruchać, chwycił ją za rączki, śmiał się, bawił, był jéj rad. W ostatku budziła jego ciekawość, chciał się coś z niej dowiedzieć, rodziły się podejrzenia. A najgorszym znakiem dla

województwinéj to było, że o swych rozmowach ze stolnikową nie mówił i wypytywany fałszywą z nich zdawał sprawę.

Podejrzenia rosły w nim. Odpędzał je: powracały. Filip, któremu się nie przyznawał, schwytał go kilka razy na tém, że na palcach chodził śpiegować podedrzwi pokojów żony.

— E! cobo to pan wyrabia!—rzekł mu za drugim razem—tylko się jegomość przeziębi i choroby napyta. Poco? naco? proszę jegomości...

— Milczałbyś—odparł zasepiony stary—i nie odpowiadał kiedy nie pytają. Wścibiać nos, zasię: słyszysz!

— Juści słyszę—rzekł Filip—ale ja nosa nie wścibiam, tylko mi o pańskie zdrowie idzie.

Raz jakoś przyszło do awantury, ale ta się tryumfem wojewodzinéj skończyła. Stary przypadł około północy do drzwi jéj pokoju, postyszał śmiechy i głosy; zaczął bić, stukać: wojewodzina wyszła razem z matką i straszliwe gromy padły na starego, który na kolanach Dosię przepraszać musiał. Złajany, zagrożony, powrócił do pokoju i chory w łóżko się położył.

Daliborskiego, który podówczas był u pani, wypuszczono tylnemi drzwiami, starościnę naprzeciw mieszkającą przywołano i piękna Dosia przybrała się w szatę męczennicy. Nieszczęśliwy wojewoda rozchorował się na dobre, przez dni dwa żona mu się nie pokazywała. Fukano, dąsano się, ale że zawsze jeszcze szło o zapisy, wrota do zgody były otwarte. Filip, który doskonale wiedział co się w domu działo, nieśmiejąc nic panu mówić, śmiał się.

— Niechbo jegomość i nie próbuje już—rzekł gdy wojewoda pozdrowiał—na co się to zdało? Gdzie to słychana rzecz, żeby mężczyzna nie dał się oszukać gdy kobieta zechce! Ja tam, uchowaj Boże, na jasną panią nie mówię nic! Ale tylko powiem jegomości jedno, że gdyby tam szczęściu gachów było, wszystkichby było gdzie przysłuchać, nimby jegomość tam doszedł. Pokoje starościny tuż, szaf jest dosyć, zakamarków i schodki tylne.

Wojewoda tak straszne oczy zrobił, że Filip dodał wnet:

— Proszę jaśnie pana, ja nie wiem najmniejszej rzeczy, ale se gadam aby się gadało. Trzeba jejmości wierzyć i nie frasować się, bo to się już na nic nie zdało!—Stary nieodpowiedział ani słowa.

W kilka dni złożyło się inaczej a niedobrze dla wojewodzinéj. Miała być reduta i maski, wojewoda téj zabawy nie lubił, bo się na balach

maskowych trafiały różne historie. Matki traciły córki, a córki nie mogły się czasem, aż pod koniec maskarady matek dopytać. Wojewodzina mówiła że nie lubi maskarady. Dnia tego miała migrenę i poszła spać zawczasie. Nazajutrz też wyglądała blado.

Wieczorem przybyła stolnikowa i w rozmowie głośnej spytała wojewodzinę, co się z nią stało po spotkaniu na maskaradzie... (Na chwilę odjęła była maseczkę piękna Dosia, aby odetchnąć i na to nadeszła stolnikowa). Zapytana głośno wojewodzina, zrazu zbladła i zmieszała się, potem coś niewyraźnego odpowiedziała. Stary dostrzegł że się zmieszała, bo ją schwytano na kłamstwie. Po odjeździe stolnikowej przyszło do tłumaczenia bardzo niezgrabnego. Starościna wzięła całą winę na siebie, ona córce kazała towarzyszyć sobie.

Wojewoda znalazł się z taktem, zamilczał, nie dąsał się, lecz czuło było, że to w nim utkwiło. Piękna Dosia dnia tego czulszą się dlań stała niż dawniej, troskliwą, serdeczną. Pocichu narzekała przed nim na matkę i jej płochość, wyznawała że starościna poniekąd jest dla niej ciężarem, że chciałyby prowadzić życie spokojniejsze i t. d. Czy w ten sposób podejrzenia odwróciła, sama nie była pewną. Daliborski bawił teraz ciągle w Warszawie, zapisy były przygotowane, ale o nich nie wypadało rozpocząć ani interesowanej Dosi, ani prawnikowi. Starościna to wzięła na siebie. Umiała nawet skorzystać z maskarady i spowiedzi córki.

Dobrawszy sobie chwilę właściwą, gdy pewną była że rozmowy nikt nie przerwie, zasiadła z powagą wielką naprzeciw wojewody.

— Mój drogi zięciu—odezwała się—potrzebuję się z tobą sercem otwartym rozmówić. Dałam ci co miałam najdroższego: peretkę, skarb, klejnot, kobietę jakiejś drugiej równiej niema. Niemożesz powiedzieć abyś nie był szczęśliwym: wszyscy ci zazdroszczą.

Ja tu z wami dosiaduję, choćbym i chciała wyjechać, choćbym ją porzucić samą mogła, nie mam siły. Ona ci poświęciła swą młodość, uczyniła też dla niej co należy: pojadę spokojna.

— Pani starościno dobrodziejko—odparł wojewoda—ale zapisy są porobione!

— Mój wojewodo! czyż to są zapisy jakich ona warta? Cóż z tą twoją fortuną poczniesz? Córka wyposażona, syna nie masz; komuż to zostawisz? na co ci to?

Wojewoda zaczerwienił się mocno i począł bełkotać:

— Ale, proszę, bardzo proszę mnie to samemu zostawić: to do mnie należy!

Był obrażony.

— Ja matką jestem!—dodała starościna,

— A ja mężem, mościa dobrodziejko! i dzięki Bogu, jutro umierać nie myślę.

— Nikt nie wie kiedy umrze!—odparła matka.

— Otóż to jest — rzekł wojewoda — a gdyby się Bogu podobało powołać jejmość przedemną, jabym został bez kawałka chleba.

— Przecież dożywocie...

Wojewoda nie dał dokończyć i powtórzył bardzo gwałtownie:

— Proszę mnie to zostawić!

— Jużciż w tych rzeczach waćpanu nikt gwałtu nie uczyni, —z przekąsem się odezwała starościna—powiem tylko jedno, że gdybym ją była chciała wydać za starego X., ofiarował się jój wnet oddać wszystko. Uniosłam się szlachetnością i afektem asindzieja dla Dosi.

— Mościa dobrodziejko!—przerwał podnosząc się stary, ale rozgniewana matka już była wyszła.

W kwadrans nadbiegła żona niezmiernie zagniewana na rodzicielkę swą, że bez jój wiedzy, niepotrzebnie niepokoiła wojewodę, niewiedzieć jakimi propozycjami. Była temu zupełnie przeciwną, nie chciała żadnych zapisów, nie żądała ich nigdy, boby i ludzie jój dobrą sławę szarpali, oskarżali ją o chciwość.

— Jeślim poszła za jegomości — dodała — to przez szacunek i przywiązanie, a o majątki nie dbam. Uchowaj Boże nieszczęścia, nie będę potrzebowała nic, bo pójdę do klasztoru.

Rozpłakała się, wojewoda się rozszlochał, nastąpiła scena niewymownej czułości: Dosi padła w objęcia męża, który w téj chwili byłby jój oddał wszystkie skarby świata. Zapomniwał o podejrzeniach, zazdrości, gniewie, o staroście i... królową swą po nogach w końcu chciał całować, ale tego nie dokazał, bo własnych ugiąć nie mógł.

VI.



Zima w tym roku srogą była, ale płaciła za nią wiosna, bo gdy raz się zjawiała z ciepłym swoim oddechem, wszystko się jakby cudem zaczęło rozwijać w oczach i rośliny zdawały śpieszyć, aby czas powetować stracony. Ogrody w okolicach Warszawy, których naówczas tyle było, stroiły się już w liście i kwiaty. Nigdy może namiętność żadna tak u nas nie opanowała możniejszych, jak naówczas manja zakładania i przyozdabiania ogrodów, dzikich promenad, francuzkich wykwintnych szpalerów i rabatów, oranżeryj i trebhauzów. Należało do dobrego tonu, było dowodem wykwintnego smaku rysować planty parków, zakładać w lasach przechadzki i stroić krajobrazy najdziwniej częstokroć. Budowano, jak się dowcipnie wyraził Krasicki, który sam na ogrodomanie chorował, piramidy z chrustu; stawiano gołębniki w kształcie świątyń, wznoszono nowe ruiny, murowano kastele, chińskie domy i chatki wiejskie, w których wewnątrz ściany były zwierciadlane.

Słyngły naówczas opiewane przez poetów, ks. Czartoryjskiej wiejskiego pozoru, Powązki; sadił się na najdziwniejsze koncepta na Szulcu książę eks-podkomorzy, siedm lat pracując nad sypaniem gór i kopaniem podziemiów; księżna marszałkowa cuda kosztowne robiła w Mokotowie, choć miały pozór dość skromny, a nie licząc już wielkich panów i Szulce i Teppery i Riancour i Cabrit i Liszkiewicz mieli ogrody, miał go Bacciarelli (pod Belwederem), miał kawaler Maisonneuve i nazwał Rozkoszą, tak jak Poniński swoją posiadłość *Sansgène*.

Wysadzano się na fontanny, kaskady, świątynie, grotty, łaźnie i t. p. Właśnie tak zwani państwo hrabiowstwo Tomatysowie urządzali się w Królikarni, nie chcąc prawdziwym panom ustąpić w niczem. Tomatys, który dużo wygrywał, a bogacił w oczach, chciał uchodzić za bogatszego niż był, musiał więc mieć w Królikarni wszystko, co

miała księżna marszałkowa w Mokotowie i Czartoryscy w Powązkach. Chwalono gust pięknej właścicielki i wytworność, z jaką się Królikarnia stroiła. Między innemi był tam już i zbiór pięknych obrazów, brzozy, popiersia i obicia kosztowne. Zkąd to wszystko pochodziło, wiedział jeden Pan Bóg, a drugi hrabia Tomatys.

Pani stolnikowa, mająca pasyą do wszystkiego co modne, kochała się w ogrodach. Rośla już, że kiedyś u siebie (gdy będzie miała wielkie dobra i pałac) cudowny park założy, chciała więc widzieć co było na okół Warszawy i obiegła już najświetniejsze ogrody, tylko jęj Królikarnia Tomatysów została.

Spotkawszy się więc, z zawsze jeszcze piękną, bo umiejącą jedy-ny swój skarb, wdzięki pielęgnować, hrabiną, stolnikowa się tęg zaprosiła do Królikarni na piękne popołudnie dnia wiosennego.

Pani Tomatys właśnie tego samego poobiedzia zaproszoną była do Tepperów, żałowała więc mocno, iż służyć nie będzie, ale zapewniła stolnikową, że w ogrodzie i pałacyku gospodarować może i rozpa-trywać się jak zechce.

Trochę urażona piękna Malinka tęg, że sobie z nią nie czyniono ceremonii, właśnie dlatego wybrała ten dzień, by okazać, iż jęj wcale niechodziło o widzenie gospodyni. Niejedna już taka owacya spotkała piękną, ruchomą, gadatliwą i zalotną Malinkę. Kobięty się jęj obawiały, bo im męczyzn bałamuciła straszliwie, ze śmiałością i cynizmem nawet, pod te czasy niesłychanym. Wojewodzina tęg pocichu psuła interesa przyjaciółce, z przekąsem się o nią odzywając. Trzej odprawieni męzowie świadczyli niekoniecznie pochlebnie o stolnikowej, choć wszyscy byli jęj przyjaciółmi i wdychali do niej zdaleka.

Stolnikowa dopięro w Warszawie się przekonała, że wypadało zmienić nieco tryb postępowania, aby w towarzystwie, zresztą nadzwyczaj pobbążającym, uzyskać nieco poważniejsze stanowisko.

Postrzegła, że na wieczorach w domach, w których bywała, płocha tylko młodzież dwór jęj i otoczenie stanowiła, a kobiety widocznie od niej unikały.

Z początku na przebój isć chciała, lecz przekonała się, że się to na nic nie przyda. Przyszły refleksye, pociekły może ży pocichu, nie wiedziała co z sobą zrobić, pod czyją rzucić się opiekę. Z mnogich wielbicieli nikt na seryo po rękę nie sięgał, choć wszyscy się o łaski dobijali: to ją gniewało.

Chciała naprzekór wszystkim wydać się za mąż. Z przyjaciół żaden się nie dawał zaprowadzić do ołtarza. Tymczasem pierwsza owa dziecinna jeszcze miłość dla wojewodzica, powróciła, rozwinęła się i serce zajęła mocniej. niż się ono zajmować było zwykło. Z początku urok wspomnień przywiązywał ją do niego, potem jako prześladowany, nieszczęśliwa ofiara, jako znienawidzony przez Dosię, interesował ją mocno; naostatek ujął ją tém, że był niezupełnie do innych podobny i obchodził się z nią inaczej. Kawalerowie inni prawili słodczye, palili kadzidła; wojewodzie czasem bywał brutal i niegrzeczny, ale w nim czuć było namiętną naturę. Nie wchodzono ściśle w to, czy serce biło, czy zmysły grały pieśń weselną.

Stolnikowa czuwała nad chorym, donosiła mu co się działo w pałacu ojca, biegła za jego interesami, pośredniczyła, przynosiła plotki, najęła mu mieszkanie w kamienicy sąsiedniej, natrętnie się narzucała. Wojewodzie ją niemal tak traktował jak dobrego koleżkę, ale go i bawiła i potrzebną mu była i nałóg sobie zrobił z codziennego jój towarzystwa.

Stosunek to był osobliwy, zrazu przyjacielski, potem coraz poufalszy, dotąd bez żadnych na przyszłość widoków. Stolnikowa zapóźno się postrzegła, że ona, co się nie kochała nigdy na dłużej jak na dni kilka, zakochała się naprawdę w wojewodzicu. Była pewna że to przejdzie jak migrena, lecz żadne środki nie pomagały, owszem przywiązanie rośło i gdy czasem dni kilka nie widziała swojego protegowanego, o całym świecie zapominając, leciała go szukać.

— No! to go wezmę!—powiedziała sobie ze zwykłą lekkomyślnością. Jak zechcę, to się ze mną ożeni, a tę tam jakąś donzellę, doktorównę, porzucić musi. Jemu też tęskno za mną, a gdy jesteśmy razem, o całym świecie zapominamy. No! to go wezmę.

Właśnie tego dnia, gdy w Królikarni być miała, postanowiła rozmówić się z wojewodzicem. Posłała do niego zawczasu służącego, aby się natychmiast stawił. Wice z sąsiedniej kamienicy miał dwa kroki do sąsiadki, która na niego czekała niecierpliwie, kręcąc się po pokoju, przeglądając w zwierciadłach, poprawiając włosy i kręcąc na palcach pierścionki. Chociaż wojewodzie natychmiast posłusznym był rozkazowi, niecierpliwa Malinka zaskoczyła go w progu wymówką:

— Ale, jaki bo jesteś ślamazarny! jakto można kazać na siebie czekać tak długo! Wiesz, że ja czekać nie lubię!

Wojewodzie się uśmiechnął.

— I jeszcze wymówki! — zawołał — porzuciłem wszystko, śpiesząc na rozkazy mojej bogini!

Dygnęła mu za boginią.

— Zjemy naprędce co w kuchni jest, powóz zadysponowany i jedziemy do Królikarni. Sama nie pojedę; z babami jeździć nie lubię. Pojedziemy sobie we dwójkę, *tête à tête*. Dobrze?

Tomatysów niema! Posłuchamy w ogrodzie słowików, pobiemy i mam z moim panem do pomówienia!

— Wszystko to wybornie uprojektowane, kochana stolnikowo, dobrodziejko moja — rozśmiał się wojewodzie — ale, co ludzie powiedzą, gdy my tak w czukęj parze będziemy jeździli? he? Mnie to nie szkodzi! a acani dobrodziejce!

— Mnie to wcale nie frasuje! — przerwała stolnikowa. — Cały świat wie, że ja się żywo zajmuję losem pana wojewodzica. Będą może waćpanu zazdrościć, ale co mi tam! Ja mam nadzieję, że mi się nareszcie kiedyś oświadczy!

— Niestety! ja się po cztery razy na dzień oświadczam, a stolnikowa zapomina o tém — rzekł wojewodzie — oświadczam się z adoracją, z pasją, z uwielbieniem, z ubóstwieniem!..

— Tratatata! ale nie z tém, czego ja chcę! Nie!

— Stolnikowo dobrodziejko! — rzekł wojewodzie otwarcie. — Już cię mnie za męża chcieć nie możesz. Najprzód, że ze mnie o ile kochanek wyśmienity, o tyle mąż będzie najniegodziwszy; powtóre, goły jestem jak święty turecki, a jéjmość nawykłaś pieniądze wyrzucać przez okno jak ja: naostatek jestem zaręczony!..

— To niech cię kto wyręczy! — rozśmiała się stolnikowa — a czemu mybyśmy się nie mieli pobrać?

— Kochana stolnikowo! — odparł wojewodzie — na co się to nam zdało! Pomiarkuj! Każdy z twoich pierwszych trzech mężów był daleko na męża lepszy, niż ja, a wszystkieś precz poodganiała! Pobralibyśmy się dziś a za tydzień znówu do konsystorza! Z temi trzema, widzisz kochana pani, to było łatwo, bo oni mieli czem zasypać rozwód, a ja?

Spoważniała nagle piękna Malinka, ton się jéj szyderski nie podobał.

— Daj pokój! — przerwała — wiesz, że ja się w waćpanu kochałam, chodząc jeszcze w spodeńkach! Miłość ta, zamiast wywietrzeć, urosła. Chcę się dla ciebie zupełnie odmienić, będę robiła pouczochę!

Słowo daję! a staroego wojewodę tak osaczę, tak napadnę, że nam małątek musi dac. Ot, jakie są moje projekty.

Wojewodzie wstał, z przesadzoną grzecznością, szyderską, idąc do pocałowania ręki.

— Kochana stolnikowo! lepiej my o tém nie mówmy! dalipan, toby nie miało sensu!

— Chyba że się kochasz w téj przebrzydłej Włoszce, której ja oczybym wydrapała!—zawołała Malinka.

— A! żem się kochał szalenie i że mi się z tego coś zostało w sercu, nie wypieram się!—rzekł wojewodzie.

Stolnikowa ruszyła ramionami.

— A jednak kochasz i mnie, bo, słowo daję, są chwile! a... są chwile!..

Uderzył w ręce wojewodzie i począł się śmiać.

— Jakże to takięj Malinki nie kochać i nie paść przed nią. Drugiej takięj na świecie niema! Ale, moja śliczna pani! tyś nigdy za mąż iść nie powinna. Wierżaj mi! Ani ja na męża, ani ty na żonę nie jesteś stworzoną. Małżeństwo przecie, to przykucie do łańcucha, a my oboje niewoli nie znosimy...

— A! taki! ty się ze mną ożenić musisz!—zakończyła tupiąc nogą stolnikowa.

A teraz do stołu! copędzěj przekąsimy i do Królikarni!

— Jestem na rozkazy—podając rękę i prowadząc do jadalnego pokoju zakończył wojewodzie.

No! ale cóż tam słyhać u mojej mamy dobrodziejki?

Tak szydersko macochę nazywał.

— Wojewoda podobno znowu nie domaga—odezwwała się Malinka—o ile się ja mogłam dowiedzieć, zaszło coś między małżeństwem. Siedzi tam ciągle merenas z Lublina.

— Wiem, ten, który innie namawiał, abym ojcę proces wytoczył—rzekł wojewodzie.—Przyjemny człek! uczciwy człek! Czekam tylko pierwszějlepszej okazji, aby mu kości potamać!

— Gdyby mogli, dawnoby mi tam dom wypowiedzieli—mówiła dalej stolnikowa—ale ja dla miłości wojewodzica, który się ze mną żenić nie chce, tak lawiruję, tak się czynię słodką, dobrą, że nie sposób mnie wypędzić!

Wojewodzie w rękę pocałował, otrzymał uśmieszek, a stolnikowa ciągnęła:

— To tylko biada, że ze starym wojewodą samnasam, prawie mi niepodobieństwem jest się rozmówić. Jeśli nie Dosia, stoi staroscina na straży. Czasem słówko jakie bryznę, coś mu powiem o przeszłości, ale muszę być niezmiernie ostróżną.

— Ostrzeżcie, przy zrzeczności wojewodę—dorzucił Wicck—że ów Daliborski amantem jest, a kto wie, czy nie przyszedł nagotowanym mężem, gdy się im biédnego mego starego dobić uda!

— Przeciwno amantowi nié mam nic!—rzekła stolnikowa—to rzecz pewna, że albo był, lub jest, lub będzie; co się tyczy projektów marjażu, przeczę! Dosia wyżej patrzy. Zrobi mu nadzieję! a! to pewna, ale że nie dotrzymia, gardło daję!

— Na to się i ja piszę!—rzekł wojewodzie.

Rozmowa się przeciągnęła tak przez obiad cały, konie i powóz stały już przed kamienicą; natychmiast więc, korzystając z pięknej pory zawięta się stolnikowa, pośpieszając z wyjazdem. Wojewodzie nie dając się prosić, siadł z nią razem. Ruszono do Królikarni.

Nie upłynęło pół godziny po wyjeździe obojga państwa, gdy cała długa, czarna chustką i zasłoną okryta, kobiéta zjawiła się przed kamienicą, w której mieszkał wojewodzie. Twarz miała osłoniętą, rysów jęj przez gęstą krepę dostrzedz nie było można, z postawy jednak ziała się młoda, a piękna i kształtna postać, poruszała się żywo bardzo. Zdawała się śpieszyć, popatrzała na numer domu i wbiegła do sieni. Chłopak, który posługiwał wojewodzie, stał właśnie pode drzwiami. Było to dziecko miasta, swawolne, służbą u pana swawolnego téż do reszty popsute.

Kobiéta głosem wzruszonym wielce, spytała go o wojewodzica.

— Toć mój pan, toć ja go znam i wiem. A cóż pani chce od niego?

— Chcę się z nim widzieć!—drżącym głosem odezwała się kobiéta.

— Ale! to już chyba dziś z tego nie będzie!—rzekł chłopak.—Niéma pół godziny, jak siedli do karety z panią stolnikową, w której się mój pan pono kocha albo i żeni. Słyszałem jak dysponowali do Królikarni. To oni tam, po ogrodzie, jak wezmą chłodzić, będzie tego do nocy. A jak wrócą, pan będzie jadł kolacyą u swojej, to daj Boże, aby po północy wrócił!

Rozśmiał się, wyszczerzył zęby, ręką usta zakrył i patrząc na zakwefioną kobietę, ciekawy chłopak usiłował rozpoznać jak też wyglądała: z za zasłony dwoje oczów błyskało.

Kobieta stała słupem, skamieniała, lekkie drżenie poruszało jej ręce. Chłopak przyglądał się, nie pojmując milczenia.

— Pojechali do Królikarni, pewno do ogrodu, bo ta jękność naszego pana, ona tu zaraz wedle nas, obok mieszka, dlatego żeby bliżej była wojewodzica; strasznie się w ogrodach kocha: mało nie codziennie do jakiegoś ogrodu.

Kobieta nie odpowiadała jeszcze. Wyrwało się jej z ust wreszcie słabym głosem:

— Królikarnia! Daleko?

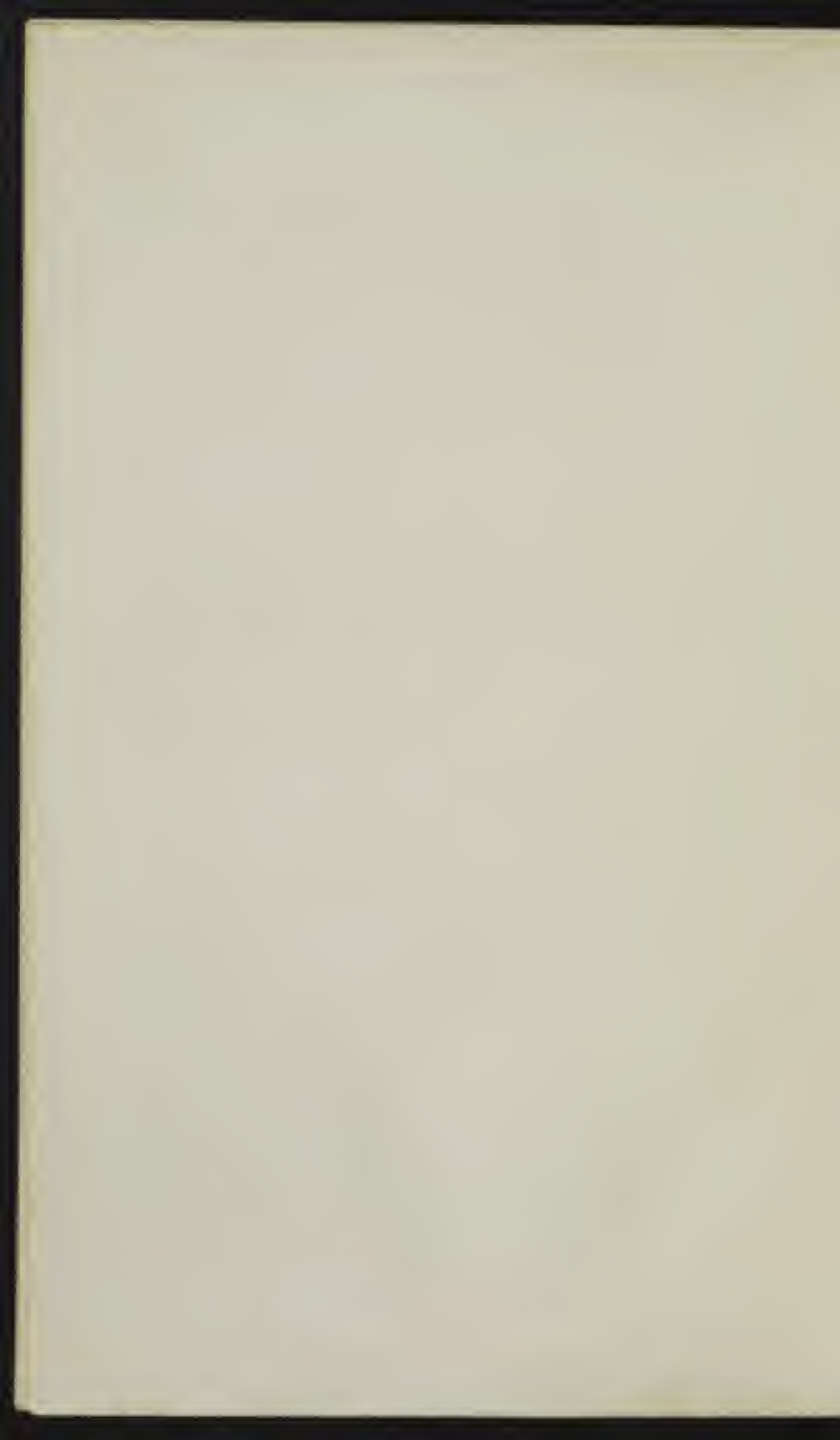
— E! na piechotę daleko!—rzekł chłopak. A jeśli pannie, czy tam pani, bo ja jej honoru nie wiem, pilno, toć fiaker za talarka zawiezie!

Zwróciła się kobieta, niepewna co ma pódzać, spojrzała w ulicę. Właśnie przejeżdżał wolny fiaker, powoli się wlokąc. Zawahała się nieco i skinęła nań.

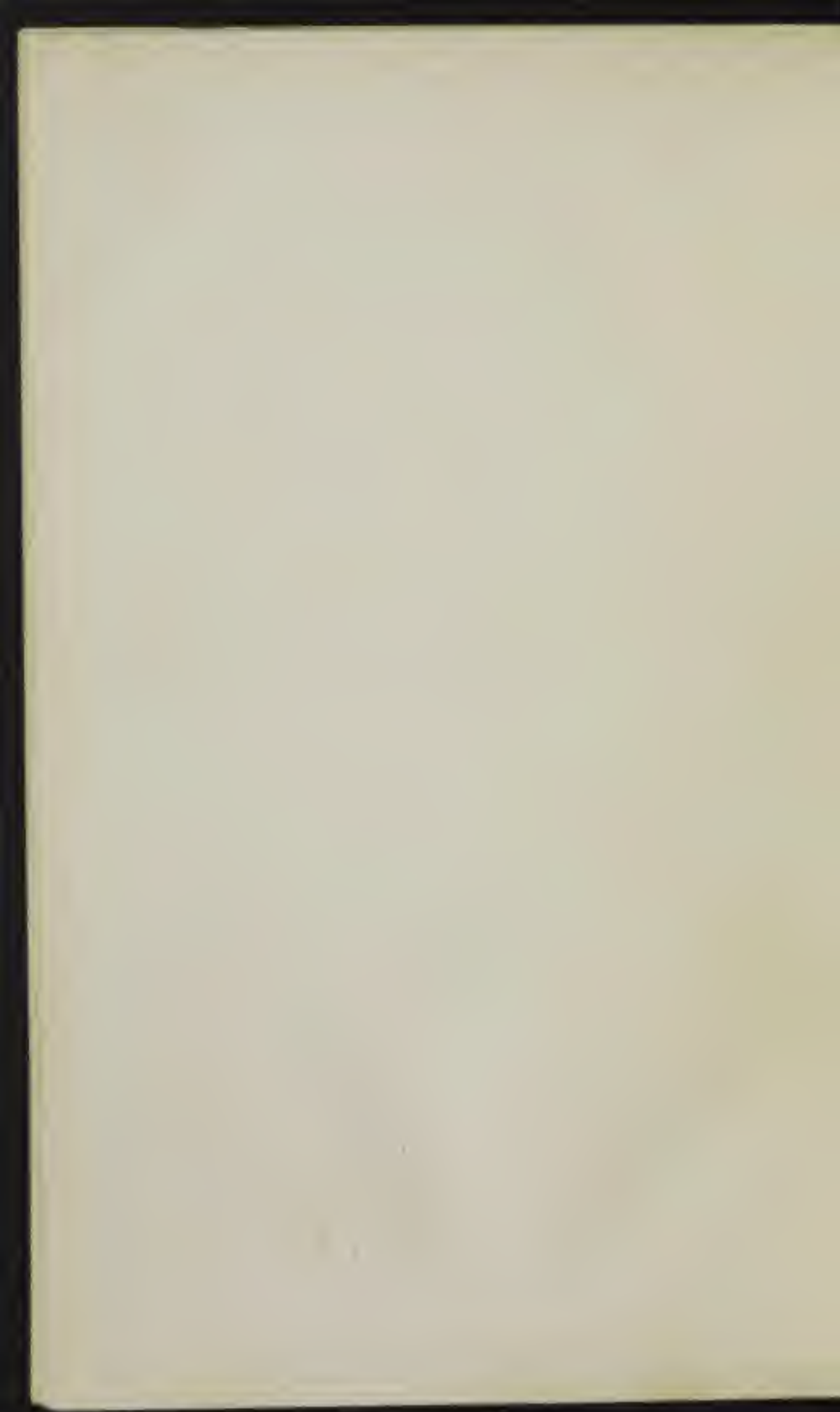
Chłopak grzeczny podbiegł jej powóz otworzyć.

— W ogrodzie ino szukać!—dodał—tam się oni obójko najdą, napewno!..

I fiaker posunął się ku Królikarni.



VII.



Niedawno założony ogród w Królikarni, na który Tomatys wiele stracił, chcąc go wodą przyozdobić, nie miał w sobie nic tak dalece osobliwego, oprócz kuchni do nowego pałacyku należącej, na wzór grobowca Cecylii Metelli (*Capo di Bove*) zbudowanej. Ścieżki wiły się wśród winnic, bo te mieć też koniecznie chciał hrabia, ulic topolowych, brzeziny, olch z dawnego lasu pozostałych i zarośli jeszcze nie bujnych. Wedle ówczesnej mody, kilka chatek i galeryi pokrytych słomą, na słupach z drzewa z korą opartych, rozrzuconych było po parku.

Stolnikowa ze swym towarzyszem, powóz zostawiwszy u wjazdu, poszła pieszo. W pałacyku oglądanie obrazów i mieszkania wytworzone umeblowanego, gabinetu samej pani, całego w jedwabiach i muślinie, niewiele zabrało czasu.

Stolnikowa ciekawą była ogrodu, a ogród był — w nadziei. Smutnie wyglądały pokopane rowy i sadzawki, w których całe wody nie było, gdyż źródła znalezione nie dopisały; za to egzotyczne krzewy rozsypane po parku, właśnie zabierające się kwitnąć i kwitnące, zachwycały Malinkę. Powietrze było wonne, samotność dozwalała jej bałamucić jak chciała wojewodzica, który zawsze napół seryo, pół żartami jej odpowiadał. Stolnikowa powracała ciągle do pierwszej swjej propozycji ranniej, ażeby się z nią ożenił.

Przesunęli się tak zwolna po parku, poglądając na okolicę, ku której gdzieś przecięte były widoki, i natrafili na budowlę otwartą, z której część Mokotowa widać było. Stała tu pod daszkiem na słupach z korą olchowych, ławka otoczona wkoło bzami i akacyami. Stolnikowa zmęczona trochę, usiadła, wojewodzie obok niej. Tak byli żartobliwą rozmową i sobą zajęci, że ani śpiewu pta-

sząt, ni rozmaitych gwarów z dali dochodzących nie słyszeli. Wojewodzie trzymał małą rączkę pięknej pani i patrzył jęj w oczy.

— Powiadam ci—mówiła stolnikowa—że nie masz nic lepszego do zrobienia, jak się ze mną ożenić. Do twojego charakteru nikt w świecie lepięj nie przypada. Proszę cię, co tam jakaś Włoszka, mieszcanka, córka doktora! Ani to wychowane jak my, ani żyło w naszym świecie! Zamkną cię, zardzewiejesz, przepadniesz, albo się będziesz musiał zerwać z łańcucha.

Sam mi mówisz, że chociaż ją kochałeś, już ci ta miłość wywie-trzała z serca i głowy!

Dziewczynę wydadzą za cyrulika... i po wszystkiém.—Rozśmiała się wesoło.

— Nie idzie tu o doktorównę — odparł wojewodzie — choć na-prawdę żal mi jęj, bo jeszcze bardzo czułe listy pisuje, choć ja jęj krótko i zimno odpowiadam; ale, moja stolnikowo, ty z nikim nie wyżyjesz długo. Już te kilka miesięcy cośmy z sobą przebyli, praw-dziwy cud!

— Żaden cud!—zawołała żywo Malinka— bo ja nikogo nigdy tak nie kochałam jak ciebie!

I rzuciła mu się na szyję.

Ale w teje chwili krzyknęła, spostrzegłszy że o parę kroków przed nimi stoi postać jakaś czarna, zakwefiona, nieruchoma. Zając się sobą, nie widzieli jęj, chociaż, nie kryjąc się wcale, przed nimi stała już chwilę długą, i całą rozmowę doskonale słyszeć mogła.

Postać ta nieporuszona jak posąg, wkuta w ziemię, drgnęła i ręką podnosząc kwef z twarzy, na piersiach skrzyżowała dłonie. Oczy jęj czarne patrzyły z dziwnym wyrazem na siedzących, była w nich boleść i—pogarda. Coś tak dumnego, pańskiego miała w sobie, jak-by się czuła wyższą nad tych dwoje robaków, istotą z innego świata.

Wejrzenie jęj padło na kobietę pomieszana, wojewodzie chciał się zerwać z ławy, i zawołał:

— Pepi!

Ręką jakby go odepchnąć chciała, wskazała ażeby się nie zbliżał.

— Pepi!—powtórzył zmieszany wojewodzie.

Milczenie trwało długą chwilę, stolnikowa chwyciwszy silnie za rękę wojewodzica, trzymała go nie puszczając od siebie, odzyskała

już była przytomność i śmiałość całą. ciekawie wpatrując się w kobietę, w której odgadywała rywalkę.

Przestрах jęj przeszedł, była prawie rada, iż się historia z doktorówną w ten sposób rozwiązywała, odgadła w niej bowiem Włoszkę wprzód, nim wojewodzie imię wymówił.

Śmiałe dziewczę zmierzyszy oczyma wojewodzica, z palca zdjęło pierścioneł powoli i rzuciło mu go pod nogi.

Drugą ręką dobyła potém puginął, który miała u pasa; błysło ostrze, popatrzała nań, i cisnęła go téż na ziemię.

— Nie! — zawołała — nie jesteś wart tragicznej śmierci, tylko wzgardy, i ja się dla ciebie nie zabiję, bo moje życie dać za miłość takiego człowieka, nadto by było.

Bawcie się państwow!

Ironicznie rozśmiała się, i krokiem pełnym powagi, zwolna zwróciła się w boczną ulicę i znikła.

Wojewodzie zburzony chciał biedz za nią, stolnikowa z krzykiem porwała go, uczepiła się, chwyciła tak silnie, iż ruszyć się nie mógł.

Upadł na ławkę z ustami wykrzywionemi uśmiechem gorzkim.

— Stolnikowo! rany moje! dusisz mi rękę. Nie ucieknę przecie, gonić jęj już nie będę. Co się stało, to się stało!

To mówiąc, schylił się wojewodzie, podniósł pierścioneł, który na palec włożył, wziął sztylet, opatrując go z ciekawością i zwinawszy wsunął do kieszeni.

Stolnikowa drżała przestraszona, nawet jęj długo słów brakło.

— Prawdziwa Włoszka — odezwiała się nareszcie — chciała we krwi waćpana zmazać własną omyłkę... Ale muszę jęj oddać sprawiedliwość: bardzo piękna. Cieszy mnie, żeś waćpan miał dobry gust. Na scenie wydawałaby się wcale niczego, szalałaby za nią młodzież. I teraz po niefortunnie zakończonym romansie, nie pozostaje jęj nic, tylko się wprosić do teatru... Dydonę grać będzie ładnie!

Wojewodzie zadumany dawał jęj szczebiotać. Pomimo płochości jego, scena ta krótka silne na nim uczyniła wrażenie; pogarda, którą mu dziewczę rzuciło w oczy, piekła go jak policzek. Czuł, że ją kochał znowu.

Stolnikowa spojrzawszy na niego, może odgadła co się w duszy działo i chciała go rozerwać.

— Siedzisz waćpan zawstydzony i zmortyfikowany—poczęła— jakby się coś najokropniejszego stało, a powinienes mi podziękować,

że z méj łaski zostałeś od więzów wolny, które mu ani honoru nie czyniły, ani szczęścia nie zapewniały.

Doskonała aktorka! jak ona to wydekłamaowała! Słowo daję, jabym tak nie potrafiła! Rzuciłabym się do oczów... pokasałabym. A ta stanęła wyprostowana, poważna, udrapowała się tragicznie, i dała nam scenę!!

Poczęła się śmiać, wojewodzie wcale nie miał ochoty jęj naśladować.

Zaczynało się zmierzchać.

— Doktorówna musiała powrócić do miasta--odezwała się stolnikowa — a i nam czas, bo ja dziś muszę być jeszcze w dwu miejscach: jedźmy!

Wojewodzie machinalnie podał jęj rękę, ale był dziwnie milczący.

Malinka szukając po głowie sposobu rozchmurzenia go, nie znalazła innego nad—wino! Postanowiła go u siebie przyjąć podwieczorkiem i upoić.

Posunęła się żywo ku powozowi, a towarzyszył wódkę się za nią posłuszny.

— Ale, mój wojewodzicu, nie bądźże parafianinem, i nie przybieraj takięj miny, *d'un chevalier de la triste figure!* Ja tego nie lubię, i to nie jest w twojéj naturze. Jesteś wolny, masz dobrą przyjaciółkę we mnie; z ojcem zrobimy zgodę, pobierzemy się i pojedziemy do Paryża!

Prawda?—spytała, wdzięcząc się.

Na wszystko to wojewodzie uśmiechał się z goryczą. Prawie ust nie otwierając, dojechał wsunięty w głąb powozu, aż do stolnikowej, i chciał zaraz iść do siebie, ale go gwałtem wciągnęła na górę.

— Nie puszczę cię, słowo daję—zawołała—miesz mnie odprowadzić i posiedzieć trochę. Ja, choć udaję wesołą, jestem niezmiernie poruszoną.

Natychmiast na wschodach szepnęła lokajowi słówko o podwieczorek i wino, które przyniesiono nim zrzuciła z siebie palatynkę. Zobaczywszy butelki i kieliszki, wojewodzie rzucił się na nie.

— Genialny pomysł! — zawołał — na taki frasunek nie ma na świecie lepszego lekarstwa jak rozum zalać.

— Na taki frasunek—szepnęła stolnikowa—wiesz co najlepsze? drugie kochanie. Po kobiecie pocieszyć może tylko kobieta. Zresztą, wszakżeś jój już miał dosyć.

Wojewodzie się oburzył.

— Ja jój nie miałem wcale!—zakrzyknął—końce palców jój rączek musiałem całować, a zbliżyć się nie było wolno.

— Cha! cha! cha!—zaśmiała się, w ręce klaszcząc stolnikowa—Mówże to sobie komu chcesz, tylko nie mnie.

Wicek ramionami potrząsł: pił, wychylił trzy kielichy jeden po drugim, padł na kanapkę, sparł głowę na rękę i dumał. Stolnikowa przyniosła mu czwarty kieliszek.

— Pij, bo jesteś tragiczny!—rzekła—zaczynasz być nudny: nie poznaję cię. Ten wyraz: pogarda z ust dziewczyny uwiedzionej...

— Ale, do trzystu tysięcy! — krzyknął wojewodzie — ja jój nie uwiodłem; ona mnie wodziła, a zawiodła oto, gdzie waćpani widzisz, do tego, że mnie pożegnała—policzkiem!

— Wolałbyś sztyletem?—zapytała Malinka.

— Zapewne, że wolałbym — rzekł wojewodzie — wątpię, żeby mnie zabiła, a tak....

Spuścił głowę. Stolnikowa spoić go koniecznie chciała, i postawiła na swoim. Milczenie długie przerwał świstaniem i śpiewem, wreszcie zwykłym szyderstwem.

— Powiedz mi—odezwał się—przyznaj się, tyś ją tak zręcznie do Królikarni pokierowała? Zkądże mogła wiedzieć żeśmy tam byli?

— Ja?—krzyknęła stolnikowa—ja? co ci się dzieje! Póprzysięgam na cienie moich trzech żyjących mężów, nie ja! Tak znowu wy-
rafinowaną intrygantką nie jestem; ale z łatwością odgadnę, kto nam się nią przysłużył. Twój Karolek stał w bramie, gdyśmy do Królikarni jechać kazali, słyszał. Jestem pewna, że przybyłój narzeczonej musiał wskazać gdzie cię szukać.

Nie chcę pod ciężarem tak szkaradnego podejrzenia pozostać ani chwili.

Zadzwoń!

— Wołać Karolka!

Zwołano do salonu chłopaka.

Wojewodzie podniósł ciężką głowę.

— Słuchaj—rzekł—pytał cię kto o mnie?

— A, panna czy pani jakaś—rzekł chłopiec.

— Cóżeś jój powiedział?

— Co prawda, że pan z jaśnie panią do Królikarni pojechali.

Wojewodzie się skrzywił.

— Słuchajże, bałwanie—rzekł—abyś na drugi raz wiedział, że gdy cię kto pyta o mnie, kobieta czy mężczyzna, niepowinieneś nigdy wiedzieć gdzie ja jestem.

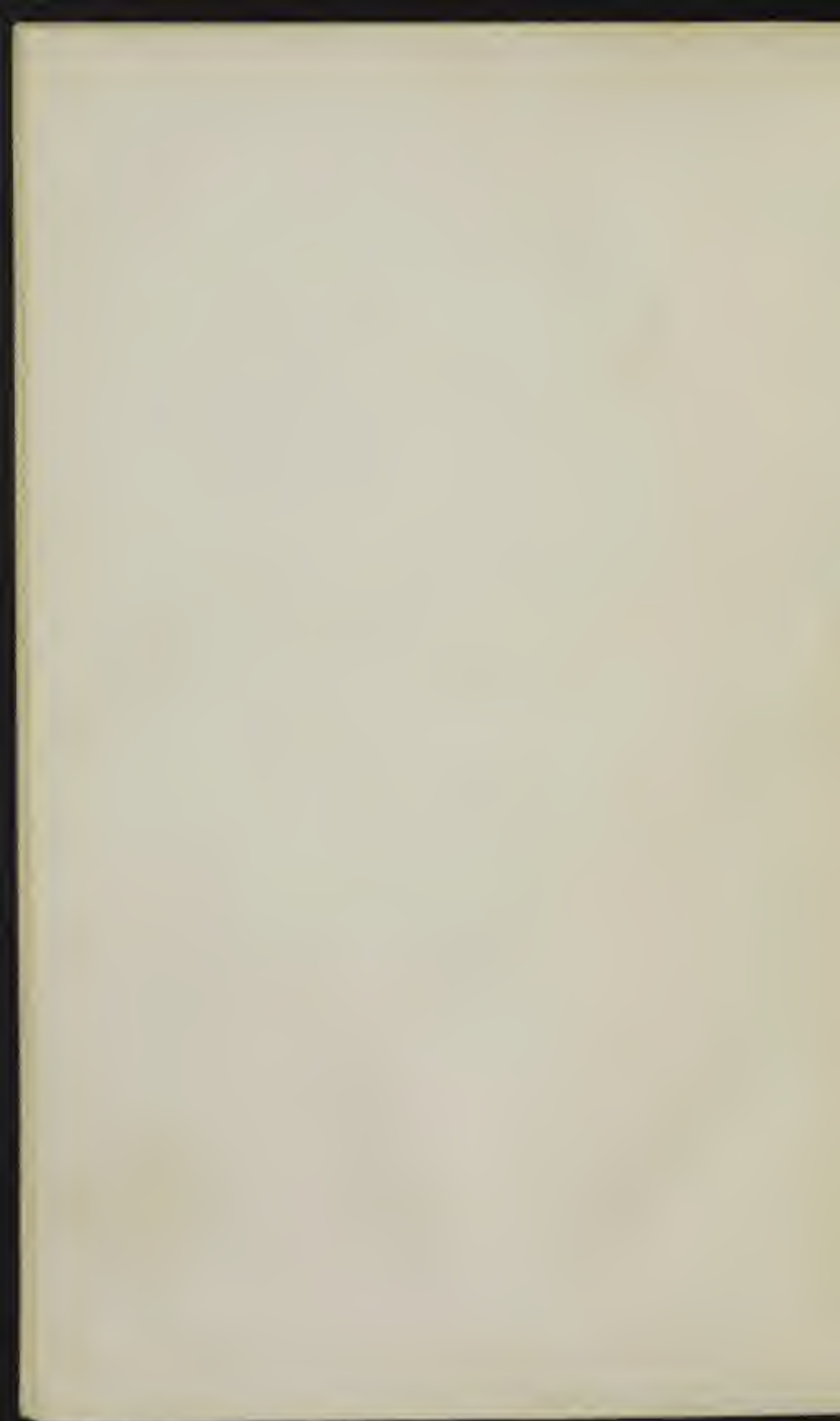
Weź swoje manatki, zabieraj się żywo, i żebym cię gdy powrócę nie zastał, bo ci kości połamię! Zmykaj, pókiś cały...

Karolek tak dobrze znał swojego pana, iż sobie dwa razy tego mówić nie dał; nie pokłoniwszy się nawet, drapnął za drzwi.

Stolnikowa wybiegła przez litość i wdzięczność dać mu parę talarów na drogę.

Wojewodzie na kanapie siedząc, zdrzemnął się czy zadumał, ale na żadne już pytanie odpowiedzi nie dawał. Piękna pani wysunęła się na palcach z pokoju, chcąc się ubrać na wieczór, a gdy wróciła do salonu, już w nim nie zastała nikogo.

VIII.



Wypadek w Królikarni nie pociągnął żadnych widomych następstw za sobą, nie zmienił stosunków; wojewodzie tylko mniej poufałym i czułym był dla stolnikowej, która podwajała starań, aby go sobie pozyskać. Zerwałby był z nią może, gdyby mu nie była tak potrzebną w pałacu ojca. Z Filipem widywał się bardzo rzadko, ona mu prawie codziennie o macosze, o ojcu przynosiła wiadomości. Nikt nad nią zreczniej nie umiał śpiegować pięknej Dosi, której wszystkie stosunki były stolnikowej wiadome. Przez modniarkę, która chodziła do pałacu, potrafiła sobie pozyskać jedną ze służek wojewodziny, dziewczę ciekawe, zepsute i cheiwe grosza. Basia ta zawsze na zwiadach i posłuchach, wiedziała kto i kiedy bywał, chwytiała nawet kawałki rozmowy, odnosząc ją wiernie stolnikowej. A że pochlebstwem umiała się wkupić w łaski pani i starościny, nie jęj nie uszło.

Wojewodzie więc miał najdokładniejsze wiadomości o tém, co się w pałacu działo, o naradach matki z córką, o projektach prawnika, o środkach obmyślanych przeciw staremu; mógł więc pokierować Filipem, ostrzedz i zapobiedz wielu projektom.

Filip, choć sługa pokorny, miał wiele przywilejów starych, wiernych przyjaciół, a choć człek bardzo prosty, w przywiązaniu dla pana czerpał pewną przebiegłość, i umiał nic nie mówiąc, powiedzieć wiele, natracić o tém i owém, uwagę obudzić i skierować.

Wszystkie usiłowania teraz zwrócone były na to, ażeby wojewodzie, dosyć o zdrowie bojaźliwemu, wmówić chorobę, potrzebę spoczynku, niebezpieczny wpływ powietrza.

Wojewodzina postarała się o to, pod pozorem nieskuteczności kuracyi, ażeby zmienić lekarza. Nowo instalowany był z jęj ręki, młody cudzoziemiec, dla którego nietylko dukaty wojewodziny, ale jęj

uśmiech i wyzywające wejrzenie wielki urok miało. Akomodował się jój we wszystkiém i podzielał przekonanie czułej małżonki, że dla skołatanego życia starca, spokój był nadewszystko potrzebnym, towarzystwo nużącym, odosobnienie najlepszym lekarstwem.

Zwolna więc zasadzono w krzesło znowu pana wojewodę i rozciągnięto nad nim czułą opiekę.

Daleko z tém pani było wygodniej. W salonie nawet do gości nie życzył nowy lekarz często bywać i przesiadywać długo.

Wojewoda, któremu zapisano miksturę, został zmuszony, pod groźbą najstraszniejszych następstw, zamknąć się z nią i z Filipem w swoim pokoju; tu zaś wpuszczano tylko afidowanych, innych gości odprawiając tém, że pan jest chory.

Staremu chorobie wmówić jest rzeczą w świecie najłatwiejszą, a gdy najłżejsze symptomy niezdrowia posługują, wyobrażenia na nich dopełnia reszty. Wojewoda sam się już uznawać zaczynał słabszym.

Staroscina codziennie ubolewała nad cerą jego twarzy, żona się niepokoiła, wojewoda kazał Filipowi podawać zwierciadło i znajdował że istotnie wyglądał fatalnie.

Filip ruszał ramionami.

— Imaginacya, proszę jaśnie pana. Pan zdrowszy niż był; nowemu doktorowi niewiedzieć co się przywiduje... at!

— A ty to masz być rozumniejszy od niego! — mruczał wojewoda.

— Ja tam do rozumu żadnego nie mam pretensyi — mówił Filip — a do doktorskiego temci mnie, a no jegomości służę, niewypominając, czterdzieści lat, to mu z twarzy czytam jak z książki.

Filip kazał sobie panu język pokazać. Wzdychając dopełnił tego stary.

— Język czyściuteńki! a jak pan ma, uchowaj Boże, chorzeć, zawsze obłożony. To konował nie doktor.

Pomimo wielkiej powagi Filipa, doktorska *auctoritas* przemagała, wojewoda nie wychodził.

Wieczorem się aż posprzeczały starzy przyjaciele, i Filip, co się mu nader rzadko przytrafiło, uniósł się.

— At! — rzekł półgłosem — to są babskie konszachty. Doktora odmienili, aby ten młody śpiewał co mu każą. A jejmościom, choćby obu, z tém wygodniej gdy pana do niewoli wsadzą, bo się w pałacu rządzą gdyby szare gęsi, noc a dzień kogo chcą przyjmują — i gżą się.

Ostatni wyraz rozgniewał wojewodę, który zań złażał okrutnie Filipa, jak śmiał coś podobnego powiedzieć na wojewodzinę.

— Bo prawda!—zawołał rozjątrzony Filip.

Chciał nawet zaraz tego wieczora za służbę dziękować, ale gdy do tej ostateczności przyszło, oba się popłakali, i Filip pozostał.

Zdaje się, że to słowo, wyrzeczone w pasyi, utkwilo w pamięci wojewody. Powtarzał ciągle pocichu:—I gzą się! gzą!

Jejmość téż raz zamknąwszy męża z pomocą doktora, mniéj mu potrzebowała okazywać czułości, do której zmuszanie się wiele ją kosztowało. Ręk nawet nie dawała całować, wprost mówiąc staremu, że je ślini.

Wojewoda nic nie odpowiedział, spuścił głowę, a po wyjściu jejmości powtórzył Filipowe—I gzą się!

Czasami do jego pokoju aż dochodziły śmiechy z salonu, gdy się tam weselej a huczniej zabawiano niż zwykle; naówczas wojewoda chmurny, mruczał:—I gzą się!

W istocie w pałacu było wesoło: owa próba wymożenia zapisów, która się nie powiodła, nie zasmuciła zbytnio wojewodziny. Daliborski mówił, że pierwsze lody były złamane, a resztę musiano zostawić czasowi i powolnemu działaniu na umysł starego. Zdaje się, że miano osnuty plan tajemny jakiś, misterny bardzo, który zachowywano w największej tajemnicy.

Wojewoda chorował tymczasem, trochę przez imaginacyą, trochę z nudów i niewoli; lecz że w istocie czuł się silniejszym, niż mu okazywać było wolno, klauzura nieczmiernie ciążyła. Przykrzył sobie tém szczególniej, że i żonę rzadko widywał i przyjaciół, a znajomych mu odprawiano. Filip o tém wiernie donosił.

— Był tam dziś kto?—pytał smutnie stary.

— A było! było i niemało! Dowiadawali się o pana, dobijali się, ale niepuszczono.

— Któż był?—badał wojewoda.

— Generał Komarzewski, generał Stępkowski, marszałek Raczyński, starosta Hamersztyński: albo to zliczyć!

Wojewoda się zżymał. Byłby choć plotki jakie mógł posłyszeć, coś się o sejmie dowiedzieć.

Miedzy gośćmi trafiali się tacy zabawni ludzie, jak Benedykt Hulewicz, jak szambelan Trembecki, jak ks. Jezierski, który choć do

innego należał obozu, był starym znajomym wojewody, jeszcze z czasu gdy służył wojskowo i bawił się prawem.

Wojewoda skarżył się potem staroście:

— Moja mościa dobrodziejko, cóżto ja *moribundus* jestem, czy *claustratus*, że do mnie nikogo nie puszczają?

— A kogóż niepuszczono?

— Mnóstwo ludzi było.

— A któż o tém jegomości mówił?

— Kto? kto?—odpowiadał stary, niechcąc denuncyować Filipa.
— Nic niema do tego kto mi to mówił, dosyć że byli goście i poszli z kwitkiem precz.

Obie jejmoście Filipa przeklinały. Jak tu się go zbyć z domu? Probowano, wojewoda jak mur stał: — Chyba mojej śmierci chcecie! Filip mi oczy zamknie.

Tymczasem stary sługa, na którego się odgrażano, krzywiono, udawał że nic nie widzi i nie rozumie. Swoje robił.

Pani wojewodzina, choć rzadko wpadała do pokoju męża, i to na krótko, więcej wyręczając się matką, dostrzegła z obejścia się wojewody, z jego mowy i miny, że stary był zmieniony. Wprawdzie najmniejsza okazana mu czułość, przywracała humor i czyniła go natrętnym znowu, lecz wogóle posępny był, milczący, zrażony.

— Kwasi się, to się kwasil — mówiła obojętnie. — Jak zecheć, byłem skineła, będzie takim jak był! A znowu czułości tych jego znieść niepodobna, bo mi obrzydliwość robią.

Był to więc stan jakiegoś przejścia. Starościna miała na oku starego jakiegoś wdowca, za którego się wydać myślała; wojewodzina zajmowała się to Daliborskim, to młodziuchnym kasztelanem, świeżo z Paryża przybyłym, którego rozrywano sobie nawzajem, a ona miała szczęście go zdobyć na najsłynniejszych pięknościach, nbiegających się o przyjaźń jego. Kasztelanic szalał tak za boską Dosią, jak niegdyś wojewodzie, gdy była panną. Uwzięła się go pozyskać sobie nie przez miłość dlań, nie przez fantazję, wprost tylko aby mieć tryumf i rywalkom pokazać co może.

Dziwne to były czasy i obyczaje. Z pewną ostentacją ciągnięto kasztelanica do pałacu, nie tylko nie czyniąc tajemnicy z jego wizyt w różnych porach dnia, wieczora; ale umyślnie się popisując z tém, że go przyjmowano sam na sam, gdy nikt inny przypuszczany nie był.

Starościna dopomagała w tém córce, a gdy złośliwsze panie dawały jęć do zrozumienia, że wojewodzina się kompromitowała, ruszała ramionami.

— *Ma très chère!* — odpowiadała z przekąsem — My nie nie mówimy o innych; niech każdy patrzy siebie. Żeby téż Dosi, która się poświęciła niedołącznemu starcowi, nie wolno było trochę się pośmiać i poweselić.

W dniach gdy wielki salon mozajkowany, w którym zwykle przyjmowano we środy i soboty, bywał zamknięty, wojewodzina poufale gronko miewała w swoim apartamencie. Mały salonik zielony przytykał do buduaru, poprzedzającego sypialnię pani. Korytarzyk tylko dzielił go od wielkich apartamentów. Na ten korytarzyk wychodziły drzwi z salonu małego i sypialni, ale te bywały zawsze zamknięte i wchód do wojewodziny w te dnie stanowiły małe wschody boczne.

Jednego wieczoru, gdy w pałacu było pusto, a Filip pana starego zostawił z różańcem w ręku, siedzącego jeszcze na łóżku po północy, bo go sen nie brak, pocziwy stary około pierwszej ogarnął się, niespokojnym będąc o wojewodę, i poszedł na palcach zobaczyć czy téż usnął.

W apartamencie wojewodziny jeszcze ktoś był obcy, i, jak się Filip wyraził, jeszcze się gżono.

Sługa miał zwyczaj, zlekka drzwi uchyliwszy, podsłuchać i zajrzeć. Wojewoda śpiąc zwykle mocno chrapał. Nie słysząc tego głosu zwiastującego sen, Filip wejrzał czy jeszcze się różańcem zabawia, i przy świetle nocnej lampki nie mogąc dojrzeć nic, wszedł na palcach.

Skierował się wprost do łóżka, ale jakież był przestrah jego, gdy na niém miejsce tylko wysiedziane zobaczył: wojewody nie było.

Obejrzał się wkoło, i teraz dopiero przekonał się, że drzwi sypialnego pokoju, prowadzące do dalszych apartamentów, stały otworem. Świeca woskowa zagaszona, którą zwykle przy łóżku stawiano, znikła. Rozglądając się dalej, zobaczył że i butów rannych i szlafrocka tureckiego nie było.

Ponieważ wojewoda nigdy a nigdy w nocy nie ruszał się sam z pokoju, a wyjście ztąd prowadziło do wielkiego salonu, Filip osłupiał, niemogąc pojąć co się stało ze starym. Jeżeli potrzebował czego, mógł go zawołać, bo Filip spał obok, i dzwonek od łóżka wojewody miał pod głową.

Chwilę długą stał sługa, niemogąc się zorientować co pocnie... Strach ogarniał go coraz większy. Pochwycił świecę na kominie stojącą, zapalił ją ręką drżącą u lampki, i przez drzwi otwarte poszedł szukać pana.

Z sypialni wychodziło się do małego gabinetu o jedném oknie, stanowiącego rodzaj przedpokoju; za tymi szedł pokój duży, zwany biblioteką, bo w nim stało parę szaf z książkami, pokój bilardowy, gdyż ta gra w modzie być zaczynała, i król dla emocyi, chętnie w nią grywał. Za bilardem była owa wielka sala mozaikowana, pokój gry, gabinet i wyjście z niego na korytarzyk, dzielący od apartamentu pani.

Ze świecą w ręku Filip przechodził z kolei wszystkie te pokoje, rozpatrując się w nich, ale wojewody nigdzie nie znalazł. Drzwi tylko zwykle zamykane, między pokojami, stały wszystkie otworem. Doszedłszy do gabinetu od korytarza, Filip uczuł mocny swąd, jakby zgaszonój świecy woskówj.

Przez drzwi roztworzone ciągnął wiatr z korytarza i wschodów, Filip musiał osłonić świecę, aby mu jój nie zgasił. Z progu już ujrzał coś na ziemi leżącego, i nogą potrącił o srebrny lichtarz, w którym świecy knot jeszcze niedogasył, kopcił. Trochę dalej podedrzwiami apartamentów pani leżał bez zmysłów wojewoda.

Co go tu sprowadziło? co postyszał czy zobaczył, iż go jak piorunem raziło? Któż odgadnie. W pokojach pani rozlegały się jeszcze śmiechy i śpiewy. Ktoś towarzysząc sobie na klawicymbaliku, wyśpiewywał francuską piosenkę.

Ale Filip nic nie słyszał; z krzykiem przypadł do leżącego pana, podnosząc głowę jego. Wojewoda dawał jeszcze znaki życia. Stary wołał co sił miał.

Stała się najprzód cisza w pokojach, potem bieranina, i kobiety wypadły zdziwione i wylękłe.

Nie czas było dochodzić jakim sposobem znalazł się tu wojewoda, najpilniejszą rzeczą było przenieść go do sypialni na łóżko i posłać po doktora. Widać, że musiał jeszcze pozostać ktoś z gości u wojewodziny, gdyż kareta jego w czwał popędziła po lekarza, i w kilkadziesiąt minut była z nim nazad.

Doktor nie mówiąc słowa, co rychlój krew puścił. To ocaliło życie panu wojewodzie, a że atak był pierwszy i ratunek dość prędko, nie pozostało nawet żadne sparaliżowanie po nim. Stary osłabiony mocno, nadedniem mowę i zupełną przytomność odzyskał.

Lecz pierwszy użytek jaki z niej zrobił. był: że żonie wskazał. aby z pokoju wyszła.

Zmieszana mocno piękna Dosia chciała się opierać, gdy doktor dał jęj znak, ażeby się nie sprzeciwiała. Wojewoda odprawił tak samo starościnę.

Dwie kobiety powzięły ztąd przekonanie, iż stary zmysły utracił i oszalał. Chciały przynajmniej wmówić to wszystkim, aby tym sposobem wytłómaczyć swe wygnanie.

Niespokojna wojewodzina poprobowowała nazajutrz znowu wsunąć się do sypialni męża, lecz poruszył się tak gwałtownie, ukazując na drzwi, iż ulękłszy się, uciekła.

Zresztą milczący był wojewoda, i oprócz słów kilku koniecznych do służby, nie mówił nic. Doktor próbował rozmowy, i miał sobie polecone wybadanie go, ale i z nim stary mówić nie chciał. Zbył go kilką słowy. Zresztą najzupełniej przytomny, okazywał nawet więcej energii niż zwykle.

Wypadek ten przeraził niezmiernie dwie kobiety. Po cichéj z doktorem naradzie, sztafetę posłano do Daliborskiego, a że w miesiącu rozeszła się wiadomość o chorobie starego, i wizyty kondolencyjne płynęły, piękna Dosia przyjmowała je z powagą wielką, ze smutną twarzą, opowiadając, iż wojewoda miał atak apopleksyi, i po nim jeszcze niezupełnie odzyskał przytomność.

Starościna szeptała otwarciej daleko, bijąc się po czole, że był *mente captus*. Spodziewano się, iż to ominie go; lecz tymczasem korzystając z władzy jaką dawała choroba, wojewodzina chciała zaraz Filipa wypędzić, mając nań jakieś podejrzenie, że panu towarzyszył w nocnej przechadzce, ale lękano się jego języka.

Wojewoda téż ani na moment nie dawał mu się oddalać od siebie.

Choroba, zamiast go osłabić, wywołała w nim zmianę nadspodziewaną: stał się gwałtownym, niecierpliwym i despotycznym.

Następnych dni wojewodzina po razy kilka ukazywała się we drzwiach, za każdą razą odpędzana w sposób tak brutalny, iż z trwożą uciekała. Starościna parękroć sprobawawszy, nie śmiała się już ani zbliżyć.

Obie odchodząc powtarzały: „zwaryował!”

Doktor, gdy o tém mówiły, chcąc go nakłonić aby był tegoż zdania—milczał. Wojewoda w istocie najzupełniejszą miał przytomność,

lecz powziął do żony niewypowiedziany wstręt, z którym się wcale nie ukrywał.

Położenie groźném się stawało. Nadjechał Daliborski i złożono radę.

Przed tym przyjacielem domu potrzeba było wyznać wszystko. Wzięła to na siebie staroscina.

— Jesteśmy w przykrém położeniu z tym przeklętym starcem— rzekła.—Przyznam się waćpanu, że gdybym była mogła przewidzieć co nas z nim czeka, nigdybym Dosi za niego nie wydała.

Koniec końców, rzecz taka: co mam przed waćpanem taić? Dosi miała u siebie kasztelanica, który się w nią zakochał do szaleństwa. Zasiedział się tu do późna, nie można się go było pozbyć: swawolił, śpiewał. Wojewoda podejrzliwy i zazdrosny, podszedł w nocy podedrzwi, coś podsłuchał,—ja tam nie wiem, i padł rażony apopleksyą. Nie jesteśmy jeszcze pewni, czy ten łajdak Filip był z nim, bo to do niego podobne, czy później nadszedł (tak się on tłumaczy); dosyć że gwałtu narobił, krew pnszczono i odratowano go, ale obrzydły ten grzyb ani na oczy już nie chce dopuścić ni mnie, ni żony. Woła: „precz! precz!” i wygania. Ja powiadam że waryat. Niéma innego sposobu tylko go zamknąć w domu i za waryata ogłosić.

Spojrzała na starostę, który włosy pogładzał i dumał.

— Co pan na to?

— A zapisy?—odparł—z nich więc nic nie będzie?

— Tu więcćj idzie niż o nie!—zakrzyknęła staroscina—jeśli my go nie zamknjemy, on nas powypędza.

Po tym wstępie nadeszła dosyć zmieszana wojewodzina.

— Stary z zazdrości miał wizye jakieś—poczęła żywo.—No, cóż z tego że był kasztelanic. Mama przecie siedziała w drugim pokoju. Cóż tak zdrożnego? Żartowałam z niego, nic więcćj... Nudny jest. Tymczasem teraz historiją mamy wcale nieprzyjemną.

Staroscina wtrąciła gwałtownie:

— Wszystko to przez tego gałgana, pochlebcę, zdrajcę, który nas nienawidzi, tego Filipa: on sprawcą całego nieszczęścia. Zechcemy co począć z wojewodą; póki on tu jest, niemożna nic: zdradzi, wypowie, gotów polecieć ze skargami głupiemi choć do króla.

— Wojewoda go na chwilę od siebie nie puszcza — przerwała wojewodzina.

— Najprzód się go trzeba pozbyć—kończyła matka—to pierwsza rzecz, potem doktora pozyskać, naostatek go zamknąć: co będzie, to będzie.

— Odprawienie Filipa niełatwe!—potrząsając głową szepnęła wojewodzina.

Daliborski słuchał i ważył.

Dobre dwie godziny radzono, rachowano, omawiano sprawę, posłano po doktora. Mecenas z nim zamknął się w gabinecie i siedział z pół godziny; wyszli z niego oba zaspłeni i dopiero po odjeździe pana konsyliarza, opowiedział starosta, iż do pewnego stopnia na niego można było rachować, lecz w warunkach, jakie zakreslił.

Lekarz chciał o ile możności pozostać biernym w tej sprawie. Radził ze swjej strony, gdy cokolwiek sił nabierze chory, wytłumaczenie się żony, porozumienie z mężem i pojednanie, choćby kosztem jakiej sceny gwałtownej; utrzymywał bowiem, że jako szalonego zamknąć go było trudno. Radził też Filipa, jako niepotrzebnego świadka odprawić.

Daliborski wziął to na siebie.

Postarano się najprzód o niemłodego już sługę, który miejsce jego miał zastąpić. Cały dzień jeden zajął egzamin kandydata i instrukcje.

Gdy wszystko przygotowanem już było, mecnas posłał po Filipa.

Stary, nie domyślając się o co chodziło, przyszedł jak stał w kapocie szarj, z chustką i tabakierką w ręku.

Daliborski chodził po pokoju.

— Jest wolą pani wojewodziny!—rzekł surowo—abyś się waćpan od usług wojewody uwolnił. Wpływ jego jest choremu szkodliwy.

Filip niezrozumiał.

— Jak? jak?—zapytał z flegmą.

— Masz waćpan pensyą dożywotnią zapewnioną taką, jaką brałeś!—dodał mecnas—i jesteś odprawiony.

— A któż-to mnie odprawia?—odczwiał się Filip.

— Pani wojewodzina.

— Pani wojewodzina mnie nie przyjmowała i odprawiać niema prawa—rzekł Filip.

— Co do prawa, zostaw asan nam, rozsądek o tém!—odparł mecenas.—Życzyłbym, nie stawiać daremnego oporu, wynieść się, jeśli waćpan nie chcesz się dostać pod areszt i straż marszałkowską.

— Tak?—zawołał Filip.

— Tak!—potwierdził mecenas.

Nie mówiąc słowa, błądy stary sługa zabierał się wychodzić.

— Za pozwoleniem!—dodał Daliborski—uprzedzam acana, że do wojewody iść mu niewolno. Wszystkie jego rzeczy są spakowane na wozie, proszę się natychmiast oddalić i nie pokazywać tu więcéj, pod rygorem kary najsnrowszój.

Wysłuchawszy tego Filip miał się ku drzwiom. O siebie mu nie szło bynajmniej, serce miał rozdarte tém, co jego pana czekało. Gwałtowne oddalenie zwiastowało jakiś krok zuchwały, przy którym świadka się obawiano.

Wyszedszy do sieni, Filip się jeszcze namyślał co pocznie, gdy go dwu drabów, już nań oczekujących, zaprosiło z sobą. Wóz upakowany stał w dziedzińcu.

Za starym sługą zamknęły się wrota pałacu.

Daliborski zdecydował, że pozbycie się jego było konieczném, a plotki jakie mógł siać po mieście, nie groziły niczém, bo je łatwo było odeprzeć, tłómacząc zemstą za daną odprawę. Miasto zresztą zbyt było innémi sprawami zajęte, ażeby miało zważać na gadanie starego biédaka.

Gdy się to działo w boczném skrzydle pałacu, nowy kamerdyner na palcach wchodził do pokoju wojewody. Zobaczywszy go chory ośłupiał.

— Acan tu co robisz?—spytał.

— Jestem dany do usług jaśnie pana!—odezwał się przybyły.—Pan Filip nagle mocno zachorował (tak mówić mu kazano), już dwa razy krew puszczano, ale nieprzytomny i bezwładny.

Kamerdyner nowy układny był wielce i nadskakujący.

Wojewoda zerwał się, sądząc, że istotnie chory Filip leży w przedpokoju; oznajmił mu nowy, iż go zawieziono do Szarytek.

Z niedowierzaniem przyjął tę wiadomość wojewoda, milczał długo, w głowie mu się to niemogło pomieścić: Filip przed chwilą zdrowiuteńki, uśmiechnięty, posługiwał mu.

— Kiedyż zachorował?—spytał.

Kamerdyner dosyć zreczną ułożył bajeczkę. Starzec patrzył mu w oczy, był wzruszony tak, że drżał cały: opanowała go trwoga jakaś, żal, smutek, i podparty na rękę, niepatrząc na przybysza, pozostał aż do wizyty doktora.

Doktor, niechcąc się mieszać do sprawy sługi, o chorobie jego udał zupełną niewiadość. Obiecał dowiedzieć się, pójść, radzić, a tymczasem nakazał spoczynek i unikanie wszystkiego, co mogło zbyt mocno poruszać.

Nowy kamerdyner tak instynktowo wstrętliwym był wojewodzie, iż nie dając mu sobie służyć, odprowadził go do przedpokoju.

Wielki i stanowczy krok został zrobiony; wojewoda już nie miał przy sobie nikogo i był na łasce pań, które go wzięły w niewolę. Opinią publiczną zwolna przygotowywano do tego, że atak apopleksyi pociągnął za sobą lekkie obłąkanie i słabomyślność.

Filip wyrzucony tak nagle i niespodzianie, potrzebował na to czasu by się opamiętać i obmyśleć co pocnie. W pierwszym lepszym zajęździe kazał rzucić swoje rzeczy, a sam tegoż wieczora poszedł do wojewodzica.

Działo się to w kilka dni po scenie w Królikarni. Mimo starań stolnikowej, aby zatrzeć jęj wrażenie, wesoly Wicek chodził struty.

Upajała go dla rozweselenia, pił chętnie, ale stawał się potem nieznośnie szyderskim, grubianinem i brutalem. Mówił jęj wbrew takie rzeczy, że nawet ona ich znieść obojętnie nie mogła.

Był nieswój, zmieniony i nic go już w świecie nie zdawało obchodzić, oprócz losu ojca i pragnienia zemsty nad macochą.

Unikał tłumnych towarzystw i jeżeli go nie wciągnęła do siebie stolnikowa, siedział w domu sam lub drzemał po dniach całych. Leżał właśnie na łóżku, gdy w progu Filip, blade i zmieniony się zjawił.

— No, jak się masz stary?

Nie było długo odpowiedzi.

— Co ci to?—zapytał wojewodzie.

— Mnie, nie!—rzekł sługa—ja gotów jestem każdej godziny stanąć przed sądem Bożym, więc się i śmierci nie boję. Naszemu panu grozi nieszczęście jakieś; nie chcieli mieć świadka: precz mnie wypędzili!

O chorobie ojca i o jęj przyczynie wojewodzie był uwiadomiony z odgłosu publicznego, bliżej nie znał okoliczności, bo Filip od tego

wypadku na krok nie mógł wojewody odstąpić. Teraz dopiero opowiedział wszystko ze szczegółami.

Wojewodzie załamano ręce nie z rozpacz, ale z gniewu.

Do późnej nocy siedzieli z sobą, nie postanowić nie umiając.

Nazajutrz Filip wrócił raniuteńko, radzono niemal dzień cały. Po obiedzie stolnikowa pojechała w odwiedziny do Dosi i mimo swych przywilejów przyjaciółki młodości, nie została przyjętą, ani przez nią, ani przez starościnę.

Po mieście mówiono, że wojewoda jest niebezpiecznie chory i nie przy zmysłach.

Filip był tego zdania, iż szybko bardzo coś poczynić było potrzeba, bo staremu groziło niebezpieczeństwo. Może być że za jego poradą wojewodzie pojechał do młodego lekarza, który teraz zastępował Beckera.

Cudzoziemiec to był, potrzebujący karyery, chętnie się akomodujący możliwym klientom, ale ostrożny i nie przechodzący granic, których przestąpienie groźnym staćby się mogło.

Wojewodzie znalazł go w domu i począł od powiedzenia mu nazwiska. Byli samnasam. Sama powierzchowność młodego panicza mogła uprzedzić doktora, że miał do czynienia z człowiekiem zuchwałym, z którym ostrożnie obchodzić się było potrzeba.

— Nazwisko moje, a zapewne i historia moja nie jest panu obcą—odezwał się przybyły.— Ojca mego, wojewodę, masz waćpan w kuracyi. Będę lakonicznym i otwartym. Mnie z domu wygnała intryga kobiety, która wprzód, nim została moją macochą, była moją kochanką. Chcą opanować starca, aby oświadczyć majątkiem. O majątek mi nie idzie. Ogłaszają wojewodę wariatem. Prawda, że małżeństwo podobne zmysłów człowieka pozbawić może, ale wiem, że ojciec mój jest przytomnym.

Odpędzono jego starego sługę, aby zbrodni nie mieć świadka, waćpana, panie konsyliarzu, zechcą wciągnąć w tę brudną sprawę. Przyszedłem go przestrzedz, iż się narazisz na potępienie publiczne.

Doktor rzucił się przestraszony.

— Jestem lekarzem—zawołał—ale do żadnych intryg nie mieszałem się i nie wiem o nich.

— Więc poświadczyć możesz, iż wojewoda jest w pełnym posiadaniu przytomności i zmysłów.

— O ile chory nim być może—odparł doktor.

— Żadnych ekwiwoków, panie konsyliarzu!—odparł wojewodzie—jest przytomny, czy nie? Robią go waryatem, czy i pan także?

— Nie!—odparł doktor zmieszany.

Wojewodzie garść dukatów wysypał na stół.

— Proszę mi napisać świadectwo!—rzekł.

Młody doktor zawahał się i potrząsł rękami.

— Pocóż to świadectwo?—zapytał.

— Ono mi jest potrzebne, to moja sprawa!—rzekł wojewodzie—ja je mieć muszę.

— Pan pojmujesz!—odezwał się ocierając czoło Niemiec—ja mówię to co dziś jest, przewidzieć nie mogę, co się stanie.

— Ja też potrzebuję świadectwa na to, co jest dziś!—dodał wojewodzie—i powtarzam panu, że go potrzebuję koniecznie.

Doktor jeszcze się chciał wymawiać, gdy wojewodzie dołożył:

— Pan mi go napisać musisz, jako uczciwy człowiek!

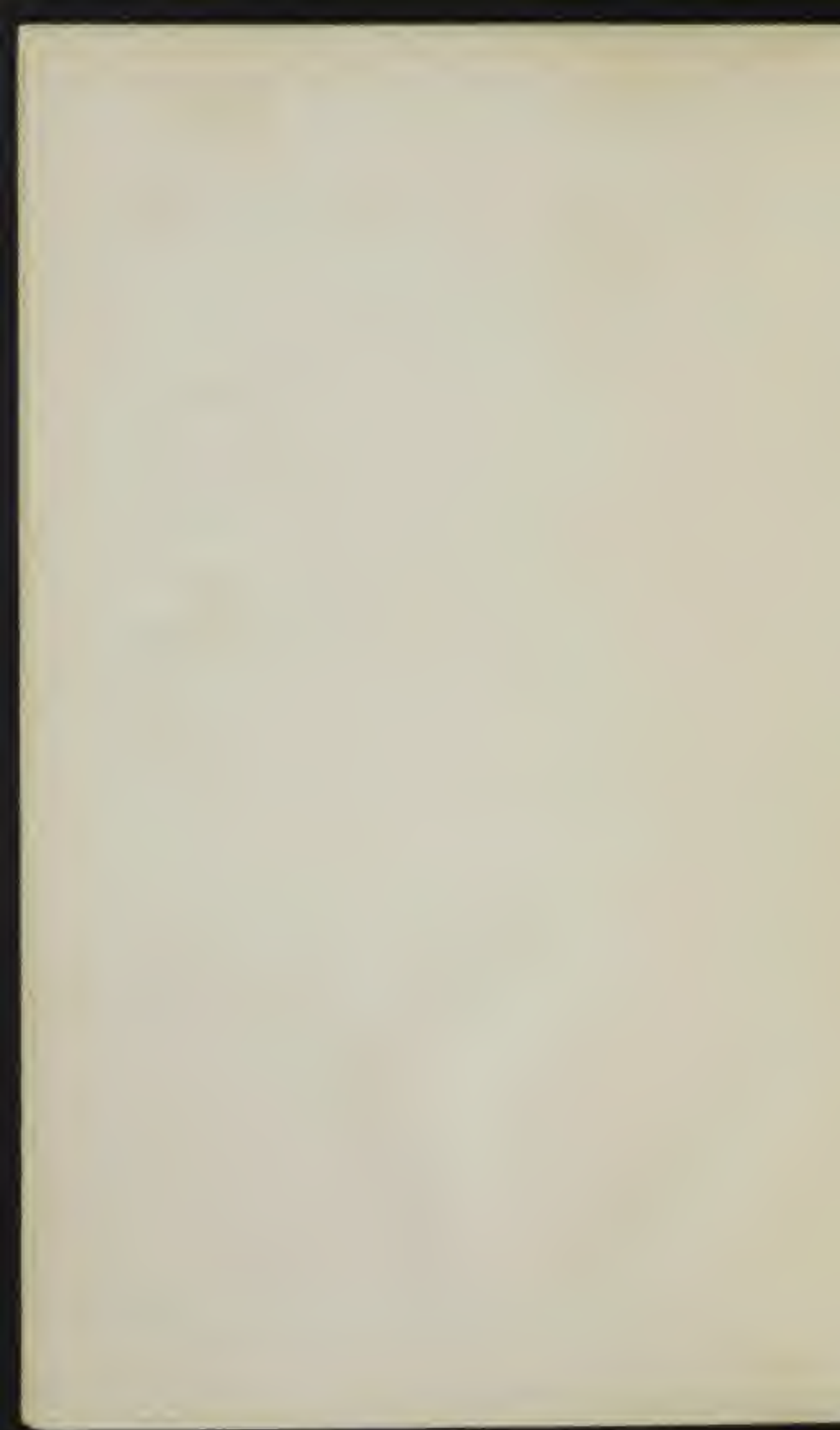
Nacisk położony na ostatnie wyrazy, podziakał mocno na doktora, który siadł pisać natychmiast.

Po odczytaniu skryptu, wojewodzie rękę mu podał.

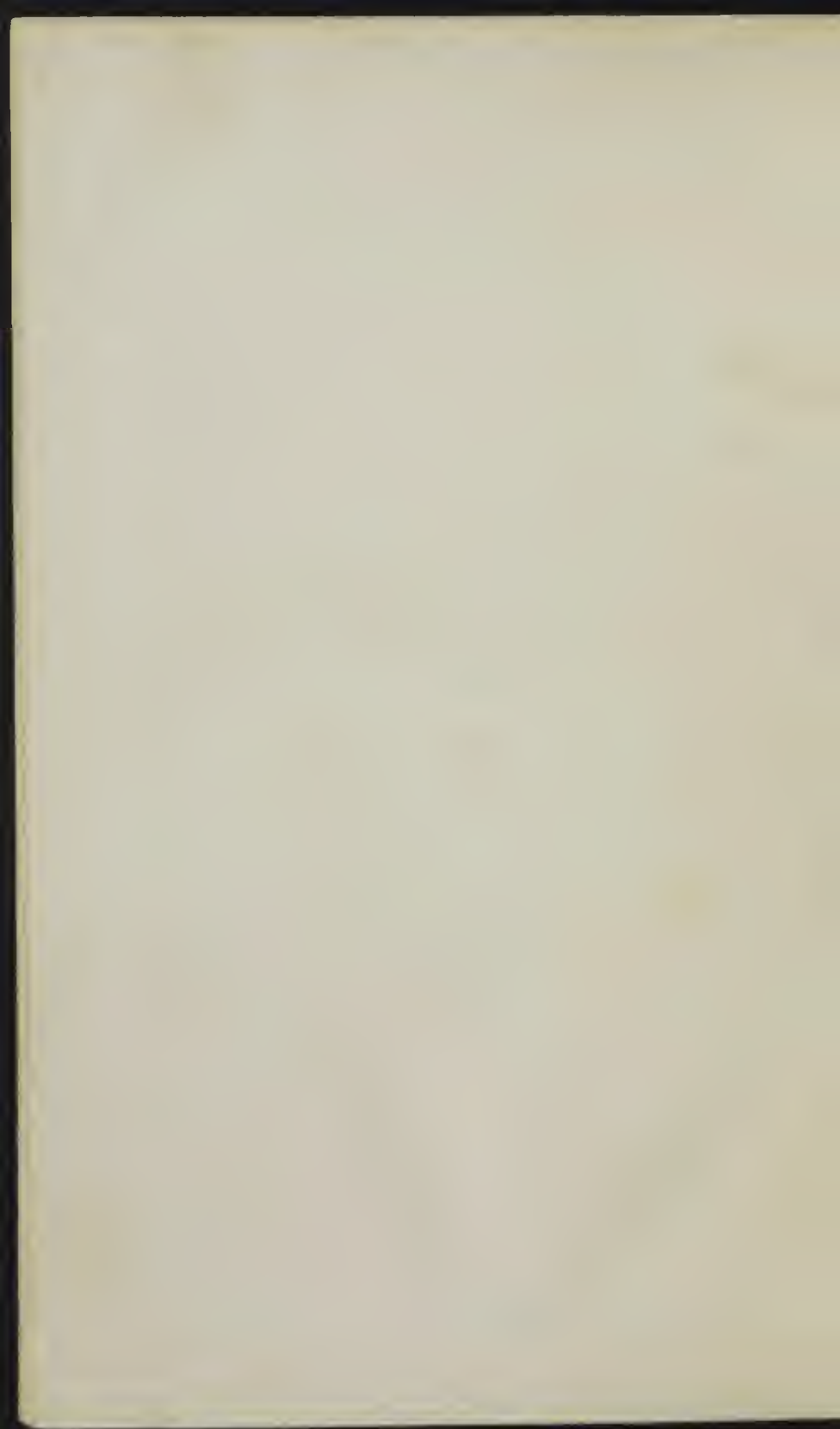
— Nie używaj pan, proszę, tego papieru, chyba w ostateczności—szepnął lekarz skłopotany.

— Nie obawiaj się pan, użyję go tak, iż pana nie skompromituję.

I wyszedł.



IX.



Do króla w czasie tego sejmku trudno się było dostać. Nawet gdy posiedzeń nie było, gdy posłowie się rozjeżdżali, przygotowywało się tyle rzeczy, tyle wpływów krzyżowało się na dworze, taki był nacisk petentów, agentów, obywateli z prowincyi, tyle projektów się obrabiało na naradach tajemnych z Ignacym Potockim, ks. Pinolim, Kołłątajem, Lucchesinim i Buchholtzem, iż król czasu tchnąć nie miał. Ściągano go w Kozienicach, nie dawano pokoju w Łazienkach, zabiegano drogę, gdy w Skierniewicach prymas chciał odwiedzić, lub w Sielcach panią hetmanową.

Król stawał się popularnym, jak nigdy nie był, ale brzemień téj popularności ciążyło na nim. Gdy w sali audyencyjonalnej czekała szlachta i honoratiories, często nawet który z posłów zagranicznych, starosta piaseczyński przez garderobę wprowadzał na ciche posłuchanie protegowanych i protegowane.

Częstokroć jednego dnia musiał Stanisław August całą swą poliglotyczną umiejętność okazać, mówiąc z jakim Coxem po angielsku, z Francuzami w ich języku (a ten najmilszym mu był ze wszystkich), z Włochami, z Rosyanami i Niemcami.

Nie kosztowała go ta nadzwyczajna uprzejmość, którą okazywał wszystkim w ogóle, lecz wysiłk się ważył, tysiąca przedmiotów zmuszony dotykać, a z każdym chcąc się pokazać oswojonym.

Jak języki tak nauki i najróżnorodniejsze przedmioty, król z encyklopedyczną łatwością pojęcia przyswajał sobie do tyła, że mógł o nich rozprawiać. nienarazając się na śmieszność. Z Poczobutem i Śniadeckim przypatrywał się słońca zaćmieniu z równin zajęciem, jak w fabrykach tkanin, jak w kuźniach żelaznym sprzętom, w Kozienicach broni, w szkole doświadczeniom fizycznym, a potem haftom uczen-

nic ks. Jabłonowskiej. Wszystko go interesowało: gramatyka Kopczyńskiego, kanał Ogińskiego, Bogusławskiego teatr, muzyka włoska i filozofia. Dyletantyzm naukowy i artystyczny dalej posuniętym być nie mógł, nieszczęściem i w polityce i w sztuce militarniej był król też dyletantem.

Wojewodzie zdawało się, że w sprawie ojca, prywatna z królem rozmowa mogła mu być pomocną. Wojewoda był zawsze wiernym sługą króla i trzymał się dworskiej partii. Przekonał się jednak wojewodzie, że przystęp do monarchy nadzwyczaj był trudnym.

Chociaż po powrocie z Strasburga przez jakiś czas bawiąc w Warszawie, nim go osławiono i nim się sam w oczach ludzi skompromitował, wojewodzie miał wiele znajomości; ci dawni życzliwi przyjaciele, protektorowie, teraz w ulicy udawali, że go nie poznawali, odwracali głowy, a w domu ich nigdy nie zastawali.

Wiedziano o tém, że ojciec się go wyparł i wierzono, że się to nie mogło stać bez powodów ważnych, bez ciężkiej winy syna.

Stolnikowa, pragnąca go sobie pozyskać, pobiegła szukać dróg do króla i trafić na nie nie mogła, gdy powiedziała dla kogo je chciała otworzyć.

Księżcia marszałka w Warszawie nie było. Wojewodzie postanowił pukać do wszystkich drzwi i począł od ambasadora. Tu przystęp był prawie tak trudny, jak do N. Pana, a gdy się wreszcie dostał, zbył go generał ruszeniem ramion, odpowiadając ironicznie, iż sam teraz nie bardzo z dworem był dobrze.

— Pójdź waćpan do Lucchesiniego i Buchholtza—rzekł zegnając.

Buchholtz—ciężki, milczący, zawsze roztargniony, flegmatyczny Niemiec, odmówił pod pozorem że się w to nie wdaje.

Lucchesiniego, który był bardzo w modzie naówczas, nie znał wcale wojewodzie; byłto człowiek nowy: *de passage*.

Austryacki de Caché, dawniej widywany, wymówił się tém, że bardzo małe miał stosunki. W istocie ks. Czartoryski słusznie zwrócił jego uwagę na to, że partya austryacka w Polsce składała się cała „ze mnie, ciebie i mojego pieska.”

Plenipotent zakonu maltańskiego, kawaler de Maisonneuve, do którego umyślnie pojechał na Rozkosz wojewodzie, bo z nim kiedyś hulali razem i byli bardzo dobrze, choć poufałym był w Łazienkach, a wszechmogącym u ks. marszałkowej, tak był zajęty komedią francuską, której się uczył, że chwileczki czasu nie miał.

W ostateczności wojewodzie trafił do Ryksa, zaklinając go na wszystko w świecie, aby króla o kwadrans posłuchania błagał w interesie ojca. Starosta piaseczyński, dobry człęk, uczynny gdy mógł, dał się ubłagać. Naturalnie posłuchanie to mógł otrzymać wojewodzie, przechodząc przez garderobę i w chwili gdy król się ubierał. Często nawet i w tych godzinach pani krakowska czytywała mu depesze lub król listy dyktował, trzeba więc było wybrać moment spoczynku.

Przez trzy dni z rzędu wojewodzie zrezygnowany chodził tylnymi wschodami i siedział w garderobie. Raz miał za towarzysza bogatego Izraelitę z Hamburga, drugi raz niegdyś ładną, mocno wybieloną osobkę, która patrząc w okno wzdychała; trzeciego dnia go wpuszczono.

Z króla właśnie zdejmowano pudermantel, w atmosferze jeszcze się unosiły mgły i obłoczki pudru, woniącego jaszminem.

Stanisław August nie był już naówczas tym cudnie pięknym młodzieńcem, który w czasie koronacji, całej płci niewieściej głowy zawracał; znać w nim jednak było i krew pańską i dawną piękność pełną uroku, słodyczy i uprzejmości. Słodycz ta teraz wycisnęła się na obliczu w ten sposób, iż zpod niej troska i zaniepokojenie przeglądało. Była maską włożoną dla świata. Zręczna postawa, śliczne ręce, oczy pełne wyrazu, czyniły króla jeszcze przystojnym mężczyzną, choć włos mu siwiał i cera zdradzała znużenie wielkie.

Nikogo nie było w gabinecie królewskim, oprócz Ryksa, który wprowadziwszy wojewodzica, natychmiast się cofnął.

Król przybrał twarz prawie surową, co u niego było nader rzadkiem. Patrzył roztargniony i niespokojny na zegar, dając do zrozumienia, iż mało miał czasu.

— Najjaśniejszy Panie! — odezwał się wojewodzie — ojciec mój szczycił się kiedyś łaską W. Kr. Mości.

— I nie postradał jęj, nie! — odparł król sucho.

— Przychodzę w jego sprawie, błagać opieki króla.

— W jego sprawie? — przerwał Stanisław August. — Jeśli się nie mylę, między wojewodą a waćpanem, z winy jego własnej, wszystko zostało zerwanem?

— Z winy mojej po części, ale bardziej jeszcze przez niecną intrygę kobiety, która...

— Proszę, bardzo proszę! — przerwał król — nie uwłaczającego pani wojewodzinie nie mówić. Znam ją i szacuję!

— Zatem nic chyba W. K. Mość mówić mi nie dopuścisz! — rzekł wojewodzie. — Ojca mego wzięto w kuratelę, ogłaszają go niemal wariatem, trzymają w zamknięciu, odebrano mu ostatniego przywiązane go sługę.

Król mocno brwi zmarszczył i kilka razy odetchnął głośno.

— Ale to są!... to są przesadzone, urojone, potwarcze pogłoski! — odezwał się. — Zamiast opiekować się ojcem, co nie jest w naturze rzeczy, lepijbyś waćpan uczynił, zajmując się sam sobą: to mu radzę i życzę.

— Jeżeli W. K. Mość raczysz opiekę swą rozciągnąć nad wojewodą! — rzekł kłaniając się głosem poruszonym wojewodzie.

— On opieki nie potrzebuje! — odparł król surowo — ma ją w przywiązanej i zacnej małżonce, której waćpan ocenić nie umiał!

— N. Panie! — rzekł zburzony wojewodzie — mogłem ją lepiej ocenić niż ktokolwiek bądź, bo nim została moją macochą, znaliśmy się bardzo blisko.

Usłyszawszy to, król nogą uderzył w podłogę.

— Mości panie! — zawołał — *ce n'est pas d'un ga'anthomme*, podobne mówić rzeczy, których ja słuchać nie chcę i nie mogę!

Wojewodzie wyprostował się, twarz jego zapaliła gniewem i ironią, nie zwykł był od kogokolwiek bądź znosić podobnych przymówek. Z dumną postawą, ukłoniwszy się zaledwie, zabierał się ku drzwiom, gdy król, zawsze chcący sobie raczej ujmować, niż zrażać do siebie ludzi, łagodniejąc odezwał się:

— Nie bierz mi asindziej za złe tego, co w najzyczliwszy dla niego sposób powiedziane zostało. Jestem ojcem waćpana, z urzędu mego tak, jak wojewoda ze krwi: mówię i karzę po ojcowsku, ale z miłością w sercu.

— Okaże ją W. K. Mość nie dla mnie — odparł wojewodzie — ale dla znękanego starca!

Bądź mu ojcem, odwiedź go, posłuchaj!

Król się zamyślił.

— Waćpan jesteś poruszony, zirytowany nad miarę, masz do pani wojewodziny niechęć za odepchniętą miłość występłą.

— N. Panie! — przerwał ironicznie wojewodzie — wówczas gdy miał nieszcześnie kochać ją, miłość moja występłą nie była, bo ojca mego nie znała, a odepchnięty *nie zostałem*.

Król coś niezrozumiałego zamruczał.

— Proszę! proszę!.. ja tego słuchać nie mogę. Uspokój się asin-dziej; spodziewam się, że wojewodzie żadne nie grozi niebezpieczeństwo... To są plotki przedpokojowe (*des caquets d'antichambre*), które waćpanu usłudze przynoszą.

Spojrzał na zegarek, Ryks się już we drzwiach pokazywał. Król skinął głową i popatrzywszy za odchodzącym, westchnął.

Dano mu znać, że Lucchesini oczekiwał w sali audyencyonalnej. Zbierało się właśnie na ów sławny alians z Prusami, w którym wszystkie korzyści były dla Prus, a wszystkie ciężary dla Rzplitej. Stanisław August pośpieszył naprzeciw markiza.

Lecz tego samego wieczora pani wojewodzina odebrała bilecik od generałowej Grabowskiej, z przypiskiem własnoręcznym króla, donoszący jej o postuchaniu i danej odprawie. Podanie głosi, że gdy młody naówczas Kościuszkowski królowi się miał przyznać, że chce wykraść pannę Sosnowską, Stanisław August pośpieszył o tem dać znać ojcu. Niebezpiecznie więc było go brać za powiernika. Wdzięczna twarzyczka pani wojewodziny była królowi miłą, brał więc stronę jej przeciwko pasierbowi, który, oprócz tego, dobrej sławy nie używał.

W pałacu bilet pani Grabowskiej, chociaż ogólnie napisany, wywołał najokropniejszą burzę. Starościna i jej córka odgrażały się przeciwko wojewodzie, pałając taką zemstą, że, gdyby tylko środki miały potensu, najokropniejszych skutków spodziewać się było można. Gdyby najmniejszy pretekst posłużył, wojewodzina wtrąciłaby go była do więzienia, skazała na śmierć.

Z gniewu płakała i rzucała się jak dziecko, ale co tu było poczynić? Starościna, równie przestraszona, doradzała jakieś pośrednictwo i układy; córka czuła, że żadne skarby w świecie rozjątrzonego śmiertelnie Wicka nie będą mogły ująć i uspokoić. Była to walka, w której jeden z zapaśników paść musiał. Cały wieczór zszedł na lamentach i odgrózkach. Daliborski chodził zamyślony, bo i on nic radzić nie umiał.

Nazajutrz rano, pomimo najściślejszego nadzoru nad wojewodą, do którego już nikogo, oprócz doktora i to w towarzystwie jednej z pań nie dopuszczano, stała się rzecz prawie nie do wiary, a stała tak niepostrzeżenie, iż nikt o tem nie wiedział.

Miedzy godziną dziesiątą a jedenastą zwykle służba jadała na dole śniadanie, nowy kamerdyner wojewody zchodził także do stołu i na swém miejscu zostawiał chłopca, który te obowiązki pełnił już za

czasów Filipa. Z sieni, przez którą wchodziło się do pokojów, zajmowanych przez wojewodę, drzwi boczne, nigdy niezamykane, prowadziły do ogródka, wychodzącego w ciasną uliczkę, ciągnącą się za murem posesyi, prawie zawsze pustą.

W murze była stara furtka zamknięta na klucz, z wyjściem na uliczkę. Wywożono nią śmiecie i liście z ogrodu. W biały dzień, o dziesiątej godzinie, Filip znalazł się u owój furtki, którą od lat wielu doskonale znał; podważył ją trochę do góry, poświdrował w zamku, otworzył, wszedł, i wprost udał się do mieszkania wojewody. Żywěj duszy nie było ani w ogrodzie ani w sieniach, a chłopak siedzący na straży, nie ruszył się zobaczywszy Filipa idącego śmiało do pokoju pana, w przekonaniu, że stary sługa powrócił.

Filip wszedł do pana swego, jak gdyby nic się nie zmieniło. Na widok jego, wojewoda, trochę silniejszy, tak się uradował, że się z krzesła zerwał i kilka kroków postąpił. Głosu mu zabrakło z radości.

— Filip! zdrów! a! Bogu dzięki! Toś wyzdrowiał!

I śmiał się.

— Et! et!—odezwał się stary podchodząc na palcach.—Ja nigdy nie chorowałem, tylko mnie precz wygnano, bom zawadzał.

Wojewoda ręce załamał.

— Jakżeś się teraz tu dostał?—zawołał przestraszony.

— Przez ogród się wkradłem, i zaraz nazad muszę uchodzić, aby mnie tu nie pochwyciono! Tak! tak! jegomościuniu —dodał—do tegośmy doszli, z pozwoleniem, przez pańską... powolność. Baby górę wzięły, mnie won, a jegomości do niewoli! Dalej, dalej,—zawołał rozjątrzony Filip—jeszcze to pana czekać może, że dadzą czekoladki, jak paniczowi!

Jak mi Bóg miły! E! już za nic nie ręczyć!

Przestraszone oczy obrócił ku niemu wojewoda, dając znaki, aby milczał. Westchnął i łzy mu się potoczyły.

— Słuchaj stary,—rzekł głosem przerywanym—niech się nade mną grzesznym dzieje wola Boża! Zginę, to zginę, bom zasłużył. Lepiejbym ja przepadł, niż żeby na dom padła plama. Czuję ja teraz i wiem co się dzieje, wiem że ja tu zawadą we własnym domu, i co te kobiety tu wyrabiają i co gadają o mnie.

Słyszałem ci to ja na własne uszy, ale oskarżając żonę obwiniłbym siebie... Dziej się wola Twoja, Panie, i przyjm co cierpię za grzechy moje...

Uderzył się w piersi, i spuścił głowę.

— El co bo pan mówi!—przerwał Filip,—rzeczy nie są zdesperowane, jegomość dla jednéj baby szalonej żebyś miał ginać! Po co! za co? albo to ona do famillii należy? Każdemu się trafi, że się na białej-głowie omyli, bo umieją one dobrze przypochlebić się, gdy potrzeba. Żeby zaś za omyłkę taką zaraz szyję dać!

— A cóż pocznę? co pocznę?—odezwał się stary z cichym jękiem—mnie oni obtoczyli jak niedźwiedzia w jamie: ani ruszyć! Krzyknę, powiedzą żem waryat; zagniewam się, wołają szalony; wyrwać się chcę, zamkną na klucz: słudzy ich, doktor im nie mnie służy... Cóż pocznę! niech już ginę—dodał z rezygnacją.—Życia we mnie nie wiele, jakim sobie posłał tak śpię!

Filip się zbliżył i począł szeptać do ucha:

— Niech jegomość nie desperuje. Jest sposób na to: ja sam nie nie zrobię, ale z wojewodziecem we dwu staniem i baby w Kawysz przepędzim! Tak mi Boże dopomóż!

Stary dał znak ręką aby mówił ciszej jeszcze, lecz chciwie, cały drżący obrócił się ku niemu.

— Jak wy tego możecie dokazać?—spytał, a w oczach widać było jakby promyk nadziei.

— Niech się jegomość o to nie pyta, proszę być dobrej myśli—dodał Filip.—O jedno idzie, ażeby gdy się tu pan wojewodziec zjawi, jegomość go nie wyklinął, nie łajał, nie pędził. Stanie on zemną przy jegomości, a, tak mi Boże dopomóż, we trzech my tu przepędzimy i baby i ich dwór i zauszniaków...

— Ależ doktor! doktor!—rzekł wojewoda—co mnie, słyszę, waryatem ogłasza.

— Będzie on śpiewał inaczej—począł Filip szybko, oglądając się i lękając, aby go nie pochwyciono.—Czasu nie mam, tyle jegomości tylko powiem, niech będzie dobrej myśli i do jutra rozkazuje tak, aby poczuli, że przecie pan się woli swój nie wyrzekł: my jutro tu będziemy z paniem...

To mówiąc, pana w rękę i w ramię pocałował, wyslizgnął się ci cho, chłopcu dał dwuzłotówkę szepcząc:—Nie mów nikomu, żem tu był—i zniknął.

W pana wojewodę duch inny wstąpił. Przed godziną siedział jak zabity, z głową spuszczoną, wpół śpiący; teraz oczy mu biegały, prostował się, ruszał i nabrał fantazyi.

Zaledwie usłyszał w przedpokoju chodzenie nowego kamerdynera, gdy zadzwonił.

Z obojętną miną wszedł zawołany.

— Słuchajno—odezwał się wojewoda głosem rozkazującym—czuję się dziś lepiej, jeżeliby kto z gości się do mnie zameldował... przyjąć. Rozumiesz?

Służący zdumiał się bardzo.

— Ale....—przerwał.

— Ale tu niema: słyszysz dyspozycyą i spełnij co ci kazano.

Wskazał na drzwi.

Niespodzianém tém wystąpieniem nadzwyczaj zdziwiony kamerdyner, poszedł o niem donieść wojewodzinie, która wzięwszy z sobą matkę, wpadła do pokoju męża.

Spojrawszy nań dostrzegła w nim zmianę. Starościna się zbliżyła.

— Cóżto, pan wojewoda jakieś wydaje rozkazy, bez względu na to co doktor nam za dyspozycyę zostawił? Cóżto to jest?

Wojewoda podniósł głowę i niby się nawet uśmiechnął, czego dawno na jego ustach nie widziano.

— To mości dobrodziejko, znaczy, że się czuję zdrowszym, i że doktora się radzić a u jéjmości pozwolenia się dopraszać nie widzę potrzeby!

Kobięty spojrzały po sobie.

— No, tak—mówił wojewoda—dosyć téj kurateli, chcę moję wolą mieć... i... kwita.

Żona ruszyła ramionami i odezwała się zimno:

— To są zachcianki i fantazyje, choroby właśnie dowodzące. My wiemy co doktor nakazał.

— Dajże mi acani pokój i z doktorem i z tą swą czułą opieką: mówię że mam tego dosyć.

— Co waćpanu jest?—zawołała starościna.

Rozdrażniony wojewoda na to zapytanie, wystawił ogromny czerwony język.

— Patrzajże asindzka żem zdrów?

Starościna odskoczyła: kobiety stały niewiedząc co mówić i co robić.

— I proszę—dodał stanowczo wojewoda,—abym na obiad dostał nie waserzupkę, jajko i skrzydełko od kury, ale kawał mięsa. Co u licha, głodem mnie morzycie?

— Z rozkazu doktora!

— Chyba razem z nim uplanowaliście mnie głodem umorzyć— zaczął żywo wojewoda— a żebyś się nie skarżył przed ludźmi, drzwi zamykacie i nie każecie dopuszczać nikogo. Z samych nudów lichy węzłowiek. Wy się tam sobie zabawiacie i zjadacie, a ja w karceresie i na suchotach!

Mowa ta była w ustach wojewody smutnego i milczącego, tak nie zwyczajna, iż kobietom wydała się jakby istotnie mową obłąkanego.

— Śliczne i grzeczne rzeczy z ust waćpana słyszę!—odezwała się starościna. Tegośmy się doczekały.

— A tak! a tak!—odparł wojewoda— czasy komplementów i grzeczności przeszły, trzeba i prawdę posłyszeć. Domagam się wiktury jakiego chcę, bo siebie i swoje zdrowie znam, i swobody, bo do niej mam prawo... Ot co!

Obejrzał się dokoła, kobiety nie mogąc pojąć z kąd to na niego przypało, stały w niepewności jak sobie poradzą.

— Formalny bunt!—uśmiechnęła się wojewodzina.

Stary począł fałszywie poświstywać, a świstanie starościna wzięta za obrazę osobistą. Świstać przy niej było zniewagą. Zarumieniła się cała. Uderzyła palcem w czoło, pokazując na niego córce.

— Niema co z nim mówić: chodźmy!

Wojewodzinie zdawało się, że go może umityguje.

— Ale jakież powód do tego jakiegoś wyzwierzenia się na nas—zapytała.—Cóż się stało nowego!

— Nowego, nic: starego było tyle, przyzbierało się kropla po kropli, że się w końcu z naczynia polało—rzekł drżącym głosem wojewoda. Nie trzeba nigdy miary przebierać. Zapewne asindźce wypadnie mieć po mnie drugiego a może i trzeciego męża, otóż, pamiętaj asindźka, że z najgłupszym nawet ostrożną być potrzeba.

Odwrócił głowę.

— Franciszek—krzyknął na sługę—do kuchni idź, aby mi punkt o południu, dobry bulion i sztukę mięsa dali: słyszysz!

Franciszek na panią spojrzął, ale ta była tak zmieszana i wystraszona, że nie mówiąc nic, skinęła na matkę i wyszła.

— Co mu się stało!—powtarzały obie.—Co to jest?

Daliborski czekał w apartamencie pani, po wuijściu ich do pokoju domyślił się jakiejś katastrofy.

— Formalnie sfiksował!—zawołała wojewodzina.—Ani z nim gadać, ani przystąpić; nic słuchać nie chce i impertynencye prawi: rozkazuje, fuka.

— Ale jakaż przyczyna nagła téj zmiany? Wszak był spokojny i zrezygnowany?

— Jeszcze dziś rano!—potwierdziła starościna. Chodziłam do niego, prawie się nie odzywał, przeciwko niczemu nie protestował.

— Coś zaszło—rzekł Daliborski—ktoś musiał być!

Zawołano Franciszka. Ten się zaklinał na wszystko, iż żywéj duszy do wojewody nie puszczał, krokiem od niego nie odchodził, i na kwadrans się na śniadanie oddalając, chłopca w przedpokoju posadził. Przyciągnięto i chłopaka, ale ten wyląkłszy się, rozpłakany, do niczego się nie przyznał. Stróż śpiący w bramie zapewniał téż, że nikt, oprócz domowych, na dziedziniec pałacowy wpuszczony nie był.

Nagły ten bunt przechodził pojęcie. Strwożona pani wyprawiła własną karetę po doktora.

Rozprawiano żywo, niemogąc się zgodzić na nic. Wojewodzina z wypieczonemi rumieńcami biegała po pokojach podrażniona i zburzona, odgrządzając się niewiedzieć na kogo. Matka jój nie mogła uspokoić, bo i jój odpowiadała niegrzecznościami.

— Niech mi mama da pokój—wołała—wszystko to z jój łaski! Nieszczęśliwy dzień i godzina, gdy na próg tego przekłętego domu stała! Łzy tylko i żółć piję.

Nadjechał doktor, sztywny jakiś, i nie swój. Otoczono go kołem, zwiastując mu, że wojewoda łajał, dokazywał, rządził się. Chciano go prowadzić natychmiast: prosił, ażeby sam mógł iść do chorego.

Gdy wszedł, zastał go wistocie nie zwyczajnie ożywionym.

— A co!—powitał go od progu—pewnie nastraszone konsyliarza, bo to nie waćpana godzina.

Jako żywo nie gorzej mi, ale lepiej, i to zapewne zawdzięczam jego miksturom: Bóg zapłać!

— Pani wojewodzina jest niespokojna—wtrącił Niemiec.

— Żem zdrowszy?—rozśmiał się wojewoda.—Uspokójże ją asińdziej, choroby jeszcze jest dosyć, by miała co pielegnować, ale niech mnie głodem i rekluzją nie kurują!

Czy to konsyliarz zakazałeś aby gości nie puszczano?

— Ja?—odparł doktor, ramionami ruszając. Zbyt wrzawliwe go towarzystwa i męczenia się nie radzę, ale rozerwania się nie bronię.

— Powiedźże to magnifice!—rzekł wojewoda.—A dyeta?

Doktor coś począł o niej długo, widać było że chciał interpretacyi szerokie zostawić pole.

Pomówiwszy chwilę, doktor wrócił do wojewodziniej.

— Jakżeż go pan znalazł?—spytała.

— Ożywionym—odparł Niemiec,—nie gorzej, owszem lepiej.

— Ale niespełna rozum! słowo daję—wtrąciła staroscina—pomieszanie ma. Jedno się drugiego nie trzyma, dziś prawi co innego, jutro naodwrot. Gorączkę czuć w nim... Jest fiksat.

Wojewodzina pytając spojrzała na doktora. Daliborski także. Konsyliarz milczał, ściszawszy usta.

— Że nie jest w zupełnem posiadaniu zmysłów—odezwała się wojewodzina—to pewna.

Doktor milczał jeszcze.

— Cóż pan mówisz?—spytał mecenas.

— Nie mówię nic—rzekł Niemiec.

— No, ale gdyby koniecznie trzeba powiedzieć?—dodał Daliborski.

Czekano w milczeniu.

— Nie umiałbym zdecydować o tém i skłonniejszybym był przyznać, że jest przytomnym.

Staroscina z gniewu uderzyła w ręce.

— Ale konsyliarz sam byłś tego zdania—zawołała.

— Ja nie miałem żadnego zdania—począł Niemiec flegmatycznie. Widuję chorego rzadko i na krótko, spuszczałem się w tém na obserwacye osób, żyjących ciągle z wojewodą. Co do mnie, ja tu nie widzę najmniejszego śladu pomieszanania.

Wojewodzina, która po mieście głosiła wcale co innego, ulękła się i zagniewała.

— Al! to coś nowego!—ozwała się z przekąsem—to coś nowego?

Doktor stał nieporuszony, jak gdyby nie słyszał; wyjął zegarek, spojrzał nań i widocznie dłuższej unikając rozmowy, skłonił się, zabierając wychodzić.

Daliborski pogonił za nim; dwie jéjmoście zostały same.

— Kto tu winien, ja nie wiem!—odezwała się staroscina—że nie ja, to pewna!

— Szłam przecież za radą waszą!—ironicznie, złośliwie odezwała się córka.

— Przepraszam—odparła dumnie starościna—mój plan i rada była wcale inną. Życzyłam go ugłaskać, pieścić, a waćpaniś go tylko drażniła. Ledwie udobruchanemu prawiłaś grubiaństwa: masz, coś posiała.

— Czułości było dosyć, mam ich już po póty!—zawołała, na gardło ukazując wojewodzina.—Sprawia mi obrzydzenie ten stary grzyb: wolę gdy się gniewa.

— No, to masz czegoś chciała!—rzekła matka.

Poczęła się wzdłuż i wszerz przechadzać po pokoju, oczekując powrotu Daliborskiego, który się zjawił z miną posępną.

— Doktor—rzekł—na nic się nie zdał; potrzeba myśleć o innym. Młody jest, nie ma doświadczenia, lęka się. Z nim nic zrobić nie można. Lękam się nawet, ażeby po mieście nie rozgłaszał, że stary zdrow i zupełnie przytomny.

— Niech paple co chce!—krzyknęła wojewodzina w pasy. Prędziej mnie uwierzą niż jemu. Wszystko mi jedno.

Na tę rozmowę wpadł Franciszek strwożony, opowiadając, że dwu panów przybyło z wizytą do wojewody i odprawić się nie dawali.

Byli to dwaj znajomi wojewody, których stolnikowa namówiona przez wojewodzica, nasłała z tém, aby się bodaj gwałtem dobijali, mówiąc, że wiedzą, iż wojewoda jest zdrow.

Wojewodzina wybiegła sama do salonu, każąc ich prosić do siebie. Byli to pan kasztelan sieradzki i starosta wielewizki, oba w wieku wojewody, ludzie poważni i odważni.

Obu ich wojewodzina nie знаła. Kasztelan jęł siebie i towarzysza prezentował, przyjęła ich cała zaczerwieniona i gniewna.

— Powiedziano mi, iż waćpanowie dobrodzieje życzyliście sobie usilnie widzieć się z mężem moim; bardzo przepraszam, że ich żądaniu zadość uczynić nie mogę. Najlepiej znam stan zdrowia męża mojego: doktor mu nakazał absolutny spoczynek.

— Powiadają jednak...—począł kasztelan.

— Mogą powiedzieć co chcą!—przerwała gwałtownie piękna Dosia—ja lepiej panów od innych poinformować mogę. Sługa uniżona! I wyszła.

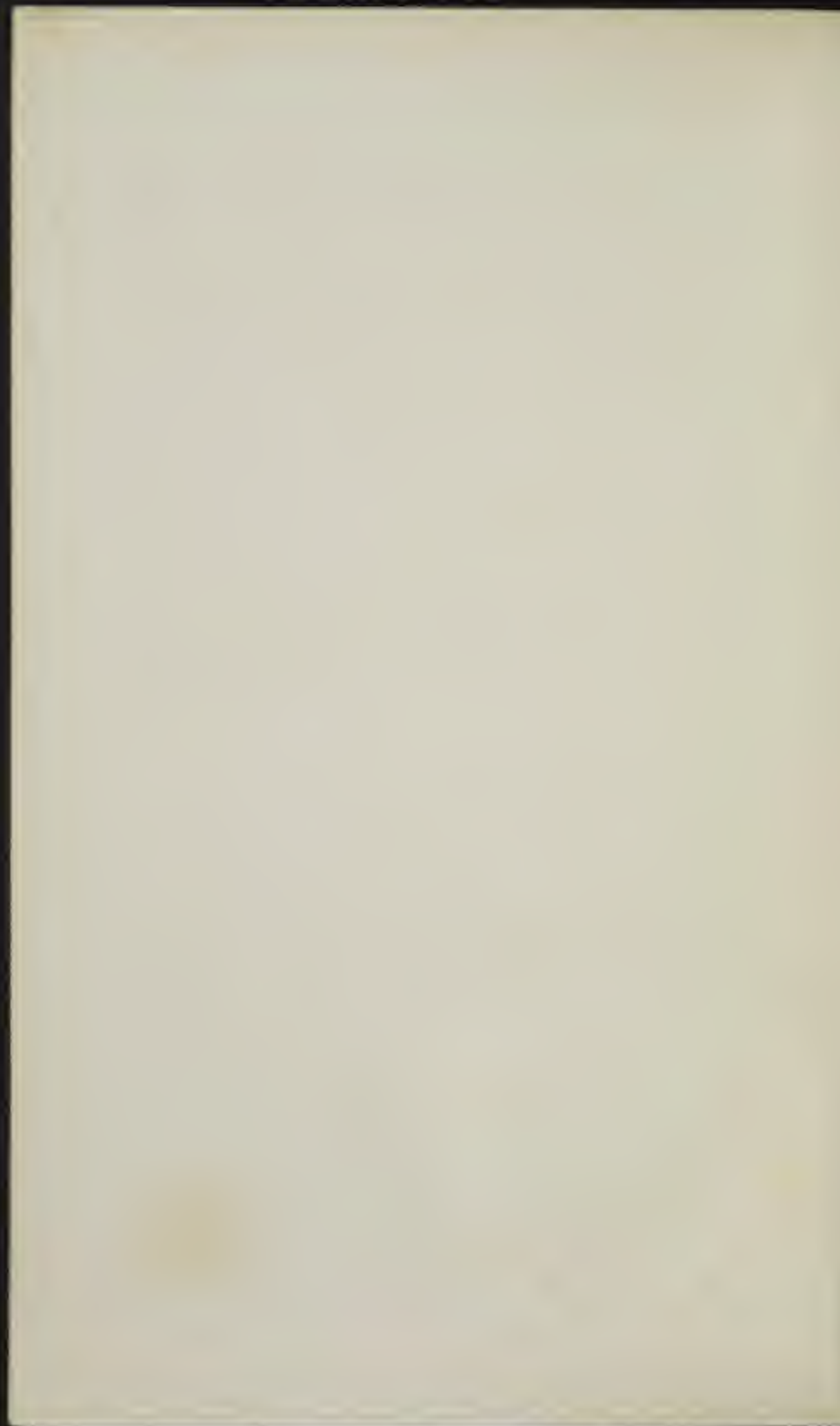
Kasztelan wyprostował się i wolnym krokiem wyszedł za drzwi, prowadząc za sobą starostę.

— A co, mosanie, osóbką ładną. ale dla takiego starego jak nasz poczciwy wojewoda, trochę temperament zażywy. Uważałeś asindziej, jak to to się komosiło!

— Żywe srebro!—odparł starosta.

— A tak, żywe srebro, merkuryusz—dodał kasztelan—asindziej wiesz, iż to *venenum* straszne. Boję się, aby wojewoda zażywszy go dobrą dozę, nie gęgnął.

Rozśmieli się oba, ruszyli ramionami i poszli.



X.



Nazajutrz o godzinie dziesiątej rano, wprowadzony przez furtkę od pustej uliczki przez Filipa, wojewodzie szedł cały drżący do ojca. Pałac ten, w którym tyle lat przeżył, gdzie go najcięższe w życiu wypadki spotkały, z kąd go wygnano sromotnie, robił na nim wrażenie dziwne. Zuchwałstwo, ironia, usposobienie zwykłe do szyderstwa, rozpaczliwe fantazyje, ustąpiły z jego serca, czuł się rozrzewnionym i smutnym.

Żał mu było ojca. Filip zaręczał, że wojewoda miał przebaczyć i stanąć przy synu, ale możnaż było ręczyć za to, że urok kobiety, dla której starzec miał taką słabość, nie owładnie nim znowu? że płacz i łzy go nie odmienia? że wojewodzie, jako rozpustnik i gwałtownik, znowu wygnanym nie będzie?

Wiedząca o tej wyprawie synowskiej stolnikowa, niby przypadkiem o tej samej godzinie, przyjechała w odwiedzinach do przyjaciółki.

Czy Dosia rada jej była? o tém trudno było sądzić, ale przyjęła ją bolem głowy, smutkiem i milczeniem.

Z rezygnacją zaprosiła siedzieć, przemówiła słów kilka, zdawała się czekać końca tej natrętnej rannej wizyty. Stolnikowa w stroju negligowym, z książką od nabożeństwa w ręku, mówiła, że powracała z kościoła i że ją coś tknęło, aby kochaną Dosię odwiedzić.

Gospośia na białej dłoni spakszy bolącą główkę, półgębkiem dziękowała.

Wszystkie grzeczne środki pozbycia się nieproszonego gościa zostały wyczerpane. Stolnikowa siedziała, paplała, zabawiła, radziła różne lekarstwa na migrenę, rządziła się po pokoju, ale odjeżdżać nie myślała.

Przymawiała się do... czekolady.

Syn Marnotrawny.—Tom II.

Wojewodzina usłyszawszy to żądanie, zarumieniła się mocno; widać w niej było tłumiony gniew: szarpnęła za sznur od dzwonka tak, że go urwała i kazała czekolady przynieść.

Czekoladę wzięła za przymówkę, chodziły wieści o tym napoju, podanym niegdyś wojewodzie, o którym on twierdził że suczka się nim otruła. Stolnikowa, któż wie, umyślnie zapewne wybrała czekoladę, aby tę plotkę przypomnieć i nią przyjaciółkę ukąsić.

A gdy ją przyuiesiono, piła tak powoli, chrupała biszkopciki tak od niechcenia, że wojewodzina patrzeć na to nie mogła.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi pokoju wojewody i syn wszedł; krokiem chwiejącym się postąpił ku ojcu, który do niego ręce wyciągał, i rzucił mu się do nóg ze łzami.

Wiek już, od dzieciństwa pono wojewodzie łez nie znał. Otworzyły się nagle te upusty niebieskie i lżej mu się zrobiło na sercu: uczuł się mężnym a silnym.

— Wicek! tu, w ramiona moje!—wołał stary—na szyję!

Ściskali się, a Filip też łzy ocierał u progu.

Mówić nie mogli, na cóżby się tu słowa zdały!

Gdy wchodzących Filipa i panicza zobaczył chłopak posadzony na straży, przestraszony wczorajszém badaniem, pierchnął wprost do Franciszka z wieścią, że jakichś dwu, ktoś z Filipem, poszli gwałtem do starego pana. Kamerdyner rzucił jedzenie, zerwał się i wpadł jak oszalały do pańskiego pokoju. Otwierał drzwi, ale przy nich stojący Filip, powiedział mu zimno:

— Idź acan, jesteś tu niepotrzebny.

Franciszek mógł tylko dostrzedz kogoś obok wojewody, siedzącego na krześle: poleciał do pani.

Niezważając już na przytomność stolnikowej, zawołał w progu stanawszy:

— Proszę jaśnie panu! jacyś ludzie! jacyś goście u wojewody! Nie wiem, jak weszli. Boże mnie skarż, gwałtem!

Wojewodzina, już i tak guiewna, rzuciła stolnikowej: „przepraszam” i pobiegła jak bezprzytomna. Potrzeba było przechodzić ogromny szereg pokoi: nie uspokoiło ją to wcale, nie ochłonęła; owszem, gniew jej wzrastał, miała mocne postanowienie zrobienia... awantury. Dopadła tak drzwi pokoju wojewody, otworzyła je z łoskotem, spojrzała i... skamieniała.

Wojewoda siedział rękę trzymając na ramieniu syna opartą, rozjaśnioną miał twarz, uśmiechały mu się usta. Spostrzegłszy wojewodzinę, nie zmieszał się wcale.

Jakiś czas stała nie mogąc się ruszyć kobieta, bladła i krwią się oblewała: wzgardliwie patrzył na nią wojewodzie.

Wtém, śmiało przestąpiła próg.

— Panie wojewodo — zawołała wskazując na syna — albo ja, albo on.

Głos jój drżał...

— Ja albo on, musimy ztąd iść precz; pod jednym dachem z tym... z tym... (wyrazu nie znalazła w myśli) pod jednym dachem my żyć nie możemy.

— Nie zmuszam — odezwał się wojewoda.

— Ja ojca nie opuszczę — rzekł wojewodzie. Cierpiał dosyć on i ja.

Wzrokiem piorunującym rzuciła na nich obu wojewodzina i chwytając się, chwytając drzwi, wyszła.

Panowało milczenie. Słysać było chód jój niepewny, to przyspieszony, to wolny i... ucichło wszystko. Filip poszedł flegmatycznie ku drzwiom, które zostały otwarte i zamknął je.

Wróciwszy do swojego pokoju, wojewodzina padła na kanapę, gniew ją dusił, krzyknęła i dostała rodzaj epileptycznego ataku...

Rzucono się ratować, w czém i stolnikowa była pomocą, ale że ta ranna godzina sprowadzała zawsze doktora, przybył w porę i zamiast do wojewody, pobiegł do pani.

Starościna rozpadała się tu nad córką krzycząc i lamentując, lecz jak tylko mogła ją powierzyć lekarzowi, porzuciwszy chorą, pobiegła do wojewody.

Chód kobiecy i szelest sukni usłyszawszy stary, chciał kazać drzwi na klucz zamknąć; ale się wzięto do tego zapóźno: starościna w sukni potargauj, z włosami rozpuszczonemi, z pościeraną twarzą, z której bielidło poschodziło miejscami, odkrywając żółte odrażające plamy, wleciała straszna jak harpia, wprost biegnąc z pięściami na wojewodę.

Zatrzymała się jednak o kilka kroków.

— Waćpan mi córkę zabijasz! — krzyknęła. Zbójca jesteś! Waćpan wiesz jaka była umowa, i ten (wskazała na wojewodzica), ten miał iść precz, na zawsze, ten!... Waćpan nam wypowiadasz wojnę!

— Hm!—odezwał się stary—wyście mi ją gorszą wypowiedziały ledwie z kobierca zszedłszy. Ja właśnie że pokoju chcę, kazałem mu tu przyjść i stanąć. Niewoli mam dosyć. Skosztowałem słodczy opieki waszój i kwituję z niej.

— Waćpan wiesz czém mu to grozi?—krzyknęła starościna—my jednej godziny tu nie pozostaniemy dłużej, my jedziemy natychmiast. Proces! zobaczymy co on na wierzch dobędzie.

— Zaprawdę, rzeczy ciekawe—przerwał wojewodzie spokojnie—lecz będziemy się starali bronić potrosze...

Starościna zakryła sobie oczy tragicznym gestem.

— Taka to wdzięczność!—krzyknęła—taka nagroda za poświęcenie.

— Pani dobrodziejko — odezwał się wojewodzie — prosiłbym o oszczędzanie mojego ojca. Mamy obietnicę procesu, pomieści się w nim wszystko.

Wskazał z grzecznym ukłonem na drzwi, które Filip otwierał. Starościna rzuciła się gwałtownie, plunęła i wypadła z pokoju z wrzaskiem.

Wojewoda siedział blady, zdawało się z poruszenia ust, że się modlił; twarz miał zmienioną. Podano mu wody, siadł syn przy nim, przystąpił Filip i poczęli go uspokajać.

W drugim końcu pałacu, doktor prawie oszalała wojewodzinę trzeźwił i z serdecznego śmiechu, w który wpadła, starał się związywaniem ręki wyprowadzić. Poślano do apteki po krople, cały dom, jakby się ziemia pod nim wstrzęsła, zawrzał, poruszył się, ludzie potracili głowy. Starościna biegała wołając o konie.

Daliborski rad był jakoś zmitygować, parlamentować, ale mówić mu niedawano.

— Ani godziny więcéj!—wołała starościna—zaprzęgać! pakować! Jedziemy!

— Pani starościno dobrodziejko—odparł sturbowany mecenas—mam sobie za obowiązek panią ostrzedz, że gdy się raz wyjedzie ztąd, powrócić będzie trudno...

Wojewodzina także wołała:—jechać! ja tu pozostać nie chcę i nie mogę!

Wśród tego zamieszania, stolnikowa, która nic poradzić nie mogła, zakręciła się i znikła. Miała powóz gotowy, pośpieszyła z ranne-

mi wizytami i opowiadaniem sceny, której *przypadkiem*, świadkiem była. Wymawiając wyraz ten, uśmiechała się dwuznacznie.

W kilka godzin potem cała Warszawa wiedziała, że pani wojewodzina opuścić miała, albo też opuściła już dom mężowski i że prawdopodobnie proces rozwodowy jest nieunikniony.

Chociaż piękna stolnikowa opowiadając to, okazywała jawnie sympatyą dla starego wojewody i jego syna, stało się jednak że miasto niemal całe wzięło stronę... pięknej Dosi.

Tak było. Znany hulaka, syn marnotrawny, nie miał u nikogo łaski, sprawa jego była u wszystkich zawczasu przegrana. Obwiniano starego wojewodę o niedarowaną słabość, z jaką naprzód dał się powodować żonie, potem rzucił w ręce syna.

Pobudek do śmiałego kroku, nie w miłości synowskiej szukano, ale w interesach majątkowych.

Słowem piękna Dosi wychodziła z tej sprawy ofiarą nieszczęśliwą, nad którą się wszyscy litowali.

Ale, tak bo była piękną!...

Przed wieczorem, jak zapowiedziano, obie kobiety opuściły pałac. Opóźnił się tylko wyjazd z powodu, że starościna wszystko, aż do makat ze ścian pozabierała. Ładowano wozy, nikt się nie sprzeciwiał; zabrano sprzęty, schwycono kasę, zapakowano srebra i kosztowności.

Filip ośmielił się przebąknąć coś o tym panu, wojewoda odpowiedział:

— Daj brać co chcą!

Zabrała też starościna tak troskliwie srebra, że dla jegomości do wieczery łyżki pożyczyc musiano.

Wojewodzie uśmiechał się.

Późnym już wieczorem, oznajmiono przybycie mecenasa Daliborskiego, który chciał się roznówić z panem wojewodą albo z synem.

Stary był tak zmęczony, iż Wicka prosił o wyręczenie.

W wielkiej sali czekał nań mecenas, chodząc kroki żywymi z głową spuszczoną.

— Czem służyć mogę?—rzekł ironicznie wojewodzie.

— Przychodzę bez żadnej misyi!—odparł Daliborski.—Szczygę się łaską pani wojewodziny i jej zaufaniem, czułem się w obowiązku, jako przyjaciel...

— Przyjaciel?—podchwycił sceptycznie wojewodzie, powtarzając parę razy ten wyraz.—Ale o cóż idzie?

— O uniknięcie skandalu!—rzekł Daliborski.—Chwilowe nieporozumienie między małżeństwem wszędzie się trafia. Możeby się dały sprawy ułożyć bez procesu i konsystorza.

Wojewodzie pilno słuchał, usta gryząc.

— Cóż dalej?

— Nie będzie się wojewodzina sprzeciwiać wydziałowi fortuny dla acana dobrodzieja..., a w pewnych warunkach, podyktowanych stanem rzeczy, małżeństwo mogłoby znowu się połączyć. Wacpan dobrodziej mógłbyś mieć u ojca swe godziny.

Wojewodzie słuchał, wyśmiewając się zlekka i prychnając.

— Jestto bardzo piękny projekt!—rzekł—bardzo piękny, go-dzien acana dobrodzieja, ale nie do wyegzekwowania. Mój ojciec na własne uszy słyszał zdanie, jakie o nim wydała pani wojewodzina, w sypialnym pokoju swym siedząc z kasztelanicem. Nawiasowo dodam, że było to w uroczystej godzinie, gdy kury piał zwykły, z północy... Dekret ten na siebie ferowany posłyszawszy, czuje się skazanym na rozłączenie się z piękną panią, która mężów sobie kopani znalesć będzie mogła. *Dixi!*

Sklonił się. Daliborski poprawił chustkę białą na szyi, chrząknął, popatrzał, mruknął coś i wyszedł.

Następnych dni stolnikowa, która wiele pomagała wojewodzie, co chwila go u siebie oczekiwała, niecierpliwiąc się, że nie przychodził.

W pałacu było wiele do czynienia. Wojewoda ciągle chciał mieć syna przy sobie, a wojewodzie też nie śpieszył zbyt do pięknej Malinki, która go nazywała niewdzięcznikiem.

Druga próba zgody nastąpiła w kilka dni ze strony króla.

Przysłał on szambelana Kickiego do wojewody, aby mu uczynił właściwe refleksye i wyraził życzenie N. Pana. Rozmowie tej wojewodzie przytomnym nie był, stary wojewoda musiał w niej otwarcie położenie swe odmalować i historią całą opowiedzieć, gdyż po powrocie i sprawozdaniu Kickiego, gdy starościna w zastępstwie chorą córkę po-biegła do zamku, król przyjął ją lodowato.

Sprawy wojewodzinę, którą dawniej brał do serca mocno, już się teraz nie podejmował.

— Rącznie mnie od pośrednictwa uwolnić!—rzekł do starościny—nie byłem dobrze informowany. Widzi mi się teraz, że córka acani dobrodziejki ma też sobie trochę do wyrzucenia.

Tu odetchnął znacząco.

— Pewną jest rzeczą, że pięknym paniom wiele, wiele przebaczać należy; jednakże ma to swe granice, ma granice... Kochana starościno, byliście nieostrożne! nieostrożne!.. Ja już w to wchodzić nie mogę, chociaż serdecznie życzę, aby się to pacyfikowało! pacyfikowało! Darujesz acani dobrodziejka, czekają na mnie!

I król się wymknął.

Proces rozwodowy rozpoczęto.

W kilka dni, pani stolnikowa niedoczekawszy się niewdzięcznika, posłała bilecik pełen wykrzykników i znaków zapytania.

Wojewodzie wieczorem pojechał do niej.

— Witam tryumfatora!—zawołała we drzwiach go spotykając Malinka.—Widzisz! jeżeli nie wszystko, to połowę twoich sukcesów mnie winienes! podziękujże przynajmniej.

Wyciągnęła rączkę, którą wojewodzie ucałował, ale smutny był.

— Ale cóż ci jest? nie mogłbyś mieć kwaśniejszej miny, gdyby ci się nie udało. Co ci jest?

— Nic mi nie jest, kochana stolnikowo; nie znasz mnie: ja kiedy jestem bardzo nieszczęśliwy, jestem wesół jak dyabeł, a gdy szczęśliwy bardzo, na płacz mi się zbiera.

— Pleciesz bez sensu!—zawołała stolnikowa.—Siadaj! Zjesz u mnie kolacyą! niechże cię mam choć godzinę.

— A ojciec?—pytał wojewodzie—on tam będzie niespokojny.

— Już ciż, mnie się coś poświęcić godzi! ja zawsze, zawsze uparcie sobie powiadam, że ty taki się ożenisz ze mną!

— Nie!—rzekł wojewodzie sucho.

— Dlaczego?

— Dlatego, że się wcale i nigdy nie myślę żenić!—począł Wicek.—Napatrzyłem się tyle małżeństw, że mi od tego gust odpadł zupełnie.

— Brzydzisz się kobietami?

— Gdzie zaś! adoruję je!—rzekł wojewodzie—ale małżeństwo zdaje mi się nad siły ludzkie. Anioły mogłyby się żenić, ludzie nie są dosyć anielscy, ażeby byli godni takiego związku.

Znow stolnikowa powtórzyła:—pleciesz!

— Stolnikowo najdroższa!—odezwał się wojewodzie—cóżem ja winien, iż tego sakramentu nie czuję się godnym? Przystępować do ołtarza z tą pewnością, że się krzywoprzysięże, brzydka rzecz.

Ruszyła ramionami Malinka.

— Ja za siebie nie ręczę!—dodał wojewodzie.—Kochałem się szalenie w Pepi, przy niej omałom się nie zmienił na uczciwego i porządnego człowieka i... i zdradziłem ją dla twojej różowej buzi.

Buzia jest śliczna, ani słowa, ale...

— Jam tamtęj aktorki nie warta!—z gniewem zawołała stolnikowa.

— Nie gniewaj się! Każda z was jest w swoim rodzaju perfekcyjną, ale Pepi była pączkiem, ty różą rozwinętą i...

— Impertynent!—krzyknęła gospodyni i skrzywiła się do płaczu.

Nie chcę cię znać ale pamiętaj! pamiętaj! będziesz mnie kiedyś żałować.

— Z pewnością!—odparł wojewodzie—bo, słowo daję, adoruję cię! Ale żenić się, to zupełnie co innego. Nie mogę! Daję ci słowo, że się nie ożenię! O cóż ci idzie?

Stolnikowa spojrzała niedowierzająco i potrząsała głową.

— Czekaj!—zawołał ze smutną ironią Wicek—cofam słowo! Powiadają, że się cnoty i wady po ojcach dziedziczy, ojcowskie cnoty chciałbym mieć, ale, kiedy on tój Dosi dał się opętać, czyż ja za siebie ręczyć mogę?

— Co za nieszczęście, że ja nié mam tego daru opętania!—westchnęła stolnikowa.

Wojewodzie wstał i podszedł ku niej.

— Kochana stolnikowo! nie gniewaj się! Słowo ci daję, chwila do projektów małżeńskich była źle wybrana. Sama spostrzegłaś, że jestem w usposobieniu niezwykłym. Życie mi się jakoś znudziło, dopiąłem celu, ojciec wolny, nié mam co robić!

— Właśnie dlatego powinienes się ożenić!—przerwała uparta stolnikowa.

Wojewodzie śmiać się począł.

— Prawda, jutro musiałbym być o jejmość zazdrosnym, a pojutrze się z amantem jęj strzelać!

Mimowoli Malinka się uśmiechnęła, ramionami poruszyła, pogroziła na nosie i może przez pewne wyrachowanie, dla obudzenia zazdrości, dodała:

— Pewnie już słyszałeś, że kasztelanica, który się tak kochał w Dosi, przeszedł do mnie!

Spojrzała tryumfująco.

— Więc kochana stolnikowo—skonkludował wojewodzie—daleko będzie lepiej; każ się jemu ożenić z sobą i niech on o mnie będzie zazdrosny: dasz mi piękniejszą rolę.

Chciał ją w rękę pocałowawszy odchodzić, ale go powstrzymała i nie puściła.

— Czegóż tak pilno?—zapytała.

— Zapomniałem właśnie powiedzieć o tém, że mam polecenia od ojca, z którymi jutro jechać muszę. Gospodarowano u nas tak, że jeśli rychło nie zapobieżym, grozi majątkom ruina.

Wyjeżdżam na Podole.

— Jakto? jutro? jutro? nie opowiedziawszy się? tak niespodzianie!—wołała stolnikowa.—Ale to nie może być! Ja nie pozwolę!

— Muszę!—rzekł Wicek.—Wypadło to i dla mnie niespodzianie. Dziś jeszcze muszę się rozmówić z ojcem.

Stolnikowa była prawie gniewna.

— To wygląda mi, jak gdybyś uciekał odemnie!—odezwała się.

— Niestety! prędkiej że ja sam od siebie uciekam!—smutnie dodał Wicek.—Ale to właśnie najtrudniejsze zadanie!

Rozeszli się tak, wojewodzie chłodny, Malinka zagniewana i podrażniona. Różne myśli chodziły jej po głowie, wszystkie nie do wykonania. Łzy jej stały w oczach; wojewodzica miała za straconego, a czuła, że go jednego kochała. Innemi bawiła się; dla tego jednego byłaby poświęciła wiele, nawet część płochości swojej.

Wieczorem wojewodzie, który już dwór ojcu, towarzystwo, opiekę i cały tryb życia urządził tak, aby się napaści od starości i wojewodziny obawiać nie potrzebował, przyszedł i całując w rękę wojewodę oznajmił mu, że na parę dni wyjechać musi.

Podróż na Podole, o której mówił stolnikowej, była zmyśleniem, gdyż stary zapytał zdziwiony:

— Dokądże to i po co asindziej chcesz jechać?

— Mam bardzo pilną potrzebę na dni kilka: muszę!—odezwał się wojewodzie.—Chciałbym moje dawne, różne zobowiązania, interesa poułatwiać, aby się czuć swobodnym.

Byli sam na sam, mogli więc mówić otwarcie.

— Potrzebujesz pieniędzy?—zapytał wojewoda.

— Nie!—rzekł syn—nie są to zobowiązania pieniężne, ale... honorowe.

— Cóż u licha? pojedynek?—zawołał wojewoda zmieszany. —Na miłość Bożą!

— I nie pojedynek—odparł Wicek smutnie.—Niech się kochany ojciec nie frasuje. Wszystko się to rychło wyjaśni, dziś... nie mogę więcej powiedzieć.

— Nawet ojcu?

— Nawet ojcu!—dodał całując go w rękę wojewodzie.

Wojewoda nieco się okazał niespokojnym, nie pytał jednak więcej. Uderzającym dlań było, że syn miał postać smutną jakoś i zadumaną. Wieczereż razem zjedli, przy której o rzeczach obcych mówiono. Przyszedł do niej pan skarbnik Rzeszycki, którego wojewodzie sprowadził umyślnie dla towarzystwa ojcowskiego, człowiek podeszły już, stateczny i niegdyś domownik wojewody. Syn troskliwie mu po wieczery zdał wszystko, co się ojca tyczyło.

Gdy pora przysła, w której wojewoda odchodził na spoczynek, Wicek go przeprowadził do sypialnego pokoju. Tu żegnali się raz jeszcze.

Ucałowawszy ręce ojca, Wicek mu padł do nóg, poruszony jakoś dziwnie, co starego wielce zaniepokoiło.

— Ponieważ się rozstajemy, choć na krótko—rzekł—jeszcze raz chcieć kochanego ojca przeprosić za dawne winy moje. Znam to i czuję, że się wiele nagrzeszyło!

— Daj pokój! wszystko zapomniane! Poco o tém już mówić! zapomnijmy—rzekł rozczulony stary.—Jedź, kiedy konieczna jest potrzeba i powracaj co prędzej. Tęskno mi będzie za tobą. Siedzmy razem, jam niedługowieczny, szkoda i chwili postradać!

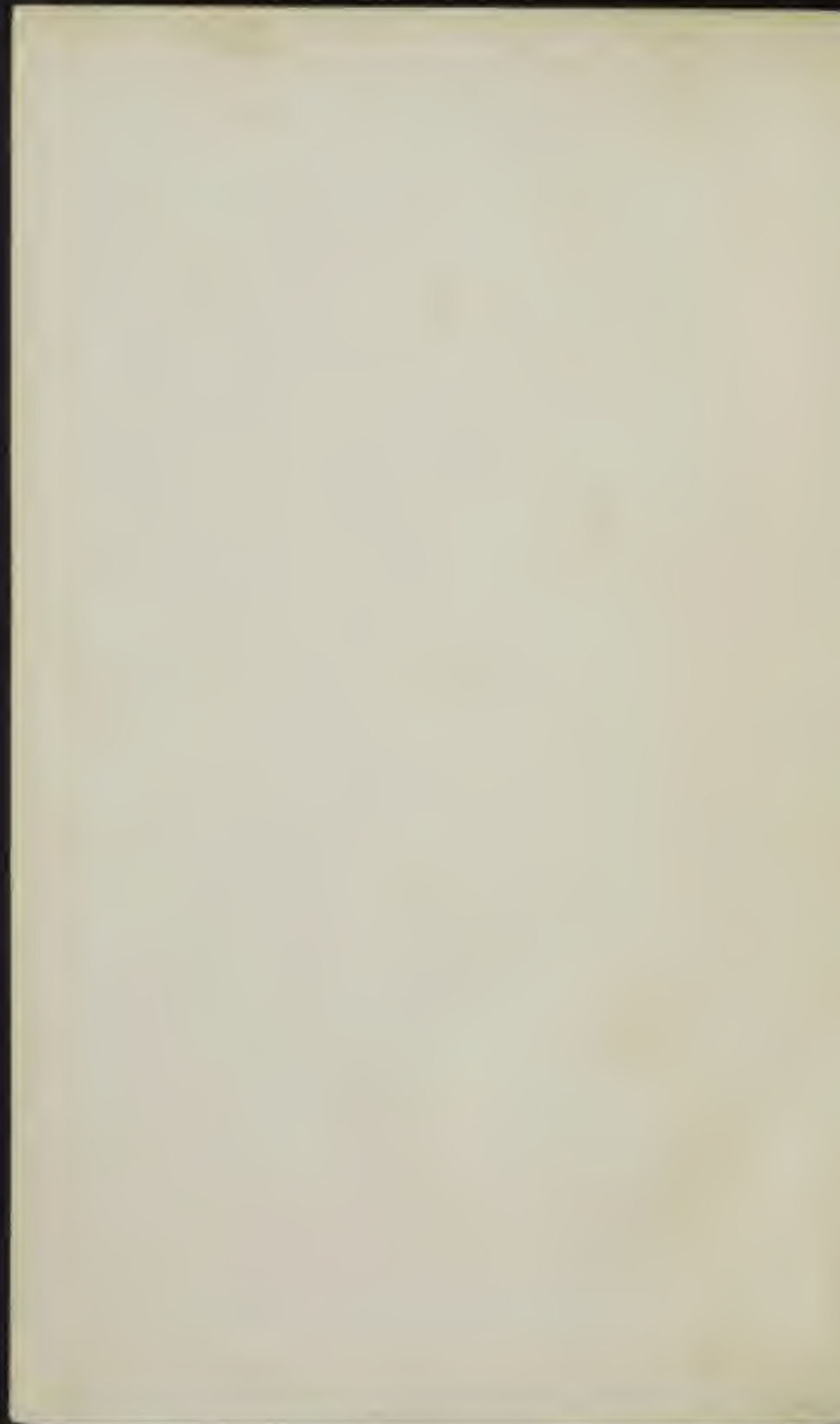
Wojewodzie pożegnawszy się wyszedł szybko; widać i po nim było wzruszenie wielkie. Nazajutrz rano, gdy Filip wszedł do starego, pierwsze jego pytanie było:

— A panicz?

— E! gdzie już! do dnia wyjechał. Coś go pędziło. Całą noc się pakował i oka nie zmrużył. Właśnie wstawałem, kiedy już ruszał od bramy.

Stary w stronę wrót zrobił za synem krzyż święty i zamilkł pośpnie.

XI.



Dawni znajomi ledwie teraz mogli doktora Melliniego poznać w człowieku zżółkłym, wychudłym, guiewnym, nieprzystępnym, a często jakby nieprzytomnym. Losy nieszczęśliwej Pepity tak nań podziały, iż przed czasem postarzał a raczej zgrzybiał. Nie chciał nawet już praktyki, odsyłał chorych, opryskliwie mówiąc pacjentom, że sam doktora potrzebował.

Wszystko mu się nie wiodło, ani ów doktor Biernacki, ani żaden z młodzieży nie potrafił pozyskać serca Pepi i zatrzeć w pamięci jej wojewodzica.

Czekała ciągle na niego, przygotowując się do wesela. Jakaś tajemnicza ręka nadesłała jej list beziemienny, opisujący życie narzeczonego w stolicy, romans jego ze stolnikową, przebywanie u niej i kończyła życzeniem, aby Pepi zapomniała o bałamucie, który jej nie był wart.

Po odebraniu tego listu, Pepi zamknęła się u siebie, uapiła kartkę do wuja, wyszła nazajutrz, uiby tylko do przeciwnego kościoła Ś. Michała i nie powróciła. Około południa dopiero, Mellini niepokojony, wbiegłszy do jej pokoiku, znalazł list do siebie i natychmiast w pogoń się puścił do Warszawy.

Pepi miała około sześciu godzin do wyprzedzenia go, tak że Mellini, mimo największego pośpiechu, przybył do stolicy, nie wiedząc gdzie jej szukać, już naówczas, gdy dziewczę, wróciwszy z Królikarui, błądziło samo, nie wiedząc co z sobą zrobić, po Krakowskim Przedmieściu.

Myślała jej było szukać klasztoru jakiegoś i zamknąć się w nim.

Doktor, szukający mieszkania wojewodzica, spotkał ją nawpół obłąkaną w ulicy. Zobaczywszy go, rzuciła mu się na szyję i nie mówiąc, płakała długo. Ledwie nieledwie Mellini potrafił ją uprosić,

aby się dała na spoczynek gdzieś zaprowadzić, a cały wieczór spędził na dowodzeniu, iż miała obowiązki względem niego i powinna była z nim powrócić do domu.

Więcej podobno niż argumenta pomogło jakieś zdrtwienie i apatia, w którą popadła Pepi. Dała się więc wziąć, dała zawieźć, ale gdy się zbliżyli do Lublina, zapragnęła powrócić nie do nowego domu przy ulicy Grodzkiej, w którym jej przygotowania ślubne przykre robiły wrażenie, ale do dworku na Winiarach. Zgodził się na to Mellini. Znowu więc całe dawne gospodarstwo potrzeba było instalować po staremu. Pepi zamknęła się w swoim pokoiku, i przepędzała całe dnie samotnie, chodząc po nim lub w jakimś marzeniu półseuném. Trudno jej było powrócić do życia. Strańska odwiedziła ją z początku z kondolencją przychodząc, Pepi zamknęła jej usta, nie dała mówić, nie chciała słuchać skarg, w ostatku na zaproszenie do niej, potrząsnęła głową odmawiając wręcz: łatwo się było domyśleć dlaczego.

Tak przechodziły tu dnie smutne, a Melliui zgryziony tén się tylko pocieszał, iż na naturę ludzką zmienną i działaniu czasu oprzeć się niemożącą, rachował.

Pepi nie chciała już ani brać lekcji śpiewu, ani dotknąć klawi-cymbała, nie mogła się wziąć do żadnej roboty, z unysłami sweni chodziła dnie całe. Strańska, sama wielce pobożna, ciągnęła do kościoła, lecz dawszy się wziąć Pepi, siedziała w nim nieporuszona, nie mogąc się modlić—i płakała. Nic nie pomagało.

Jednego wieczora, gdy tak chodziła po swój izdebce, a Melliuiego w domu nie było, cień jakiś przeniknął się jej przed oknami, którego ruch i kształt ją przeraził. Pobiegła do drzwi aby je zamknąć, lecz zapóźno: otworzono je gwałtownie i wojewodzie stanął przed nią.

Na widok jego Pepi przybrała postawę tak dumną i groźną, iż, choć nie odezwała się ani słowa, dosyć jej było, by za próg wyrzucić zuchwalca.

Ręką drżącą pokazała mu na drzwi.

Wojewodzie blady, z twarzą już nie szydersko się uśmiechającą, ale ponurą i zasępioną, jakąś zarazem spokojną i beznamietną, stanął w progu.

— Nie przychodzę ani się usprawiedliwiać, ani prosić o przebaczenie—rzekł. Chociaż jestem napozór winnym, w sumieniu czuję się czystym. Chcę pannę Pepi pożegnać: tak! pożegnać raz jeszcze

i na zawsze. Wybieram się w bardzo daleką drogę, z której się zwykle nie powraca.

Dwa słowa, Pepi—i wszystko się skończy....

Pepi cofnęła się parę kroków ku oknu, nie raczywszy nic odpowiedzieć. Spojrzała nań z pogardą i dumą. Chciała być obojętną, ale pierś jej poruszała się silnie i drżała cała.

Wojewodzie wszedł do pokoiku... wchodząc zatoczył się jak pijany, i padł na krzesło, włosy poprawiając machinalnie. Pot zimny kroplami mu się lał z czoła.

— Dwa słowa, Pepi—rzekł poważnie. Mogłaś mnie osądzić przeniewiercą spotkawszy z tą kobieciną, której ja anim nie kochał nigdy, ani o niej myślał. Była mi potrzebną, pomagała do uwolnienia ojca. Ale tkómaczenie wyda ci się fałszywem jak ja; to téż nie przywiązuję do niego wagi: mówię, abyś wiedziała o tém.

Uznałaś mnie za to winnym śmierci, a potem pogardziłaś i sztylet, który miał służyć do ukarania mnie, rzuciłaś mi pod nogi...

Prawdziwy włoski i bardzo ładny sztylet—dodał szydersko—szkoda go było zostawić tak na ziemi. Podniosłem go i odnoszę... a, żebyś była przekonana jak mi zawsze miło spełnić każdą wolę twoję... patrz!

To mówiąc dobył sztylet i podniósłszy rękę, ze śmiechem gorzkim i dzikim, wbił go sobie w pierś:—krew trysnęła. Pepi, która stała u okna nie spoglądając na niego, odwróciła głowę gdy rękę podnosił; rzuciła się ku niemu i, niemogąc już zapobiedz silnie wymierzonemu razowi, osłabiła go przynajmniej. Wyrwała mu natychmiast z piersi żelazo, rzuciła je, i na ramionach jego z krzykiem zawisła.

Głos ten wszystkich z całego domu ściągnął, zbiegły się kobiety, posłano naprzeciw doktora: Pepi klęcząc, cisnęła rękami pierś zranioną, aby krew utamować...

Wicek choć ciężko ranny, szczęściem nie wbił sobie sztyletu, jak wymierzył, między żebra; silnie schwycona ręka ośliznęła się po kości z żelazem, a krew wylana miała zmazać winę...

Gdy Mellini nadbiegł zdyszany, bo mu sługa drogę zabiegła, dając znać o przypadku, pierwszą rzeczą dlań było rozerwać suknie i ranę opatrzyć. Szczęściem, cudem, niebezpieczną nie była. Pepi raz jeszcze ocaliła mu życie.

Na tém samym łóżku, na którym go złożono niegdyś napół żywego, porąbanego przez palestrantów, spoczął teraz znówu, a zamiast fclczera siadła Pepi doglądać chorego.

W kilka dni potém uspokojony Mellini, przyszedł rano do chorego, z miną wypogodzoną.

— Zmijujcie się już, pobierzcie się i niech raz temu koniec będzie. *Cosa fatta capo ha.*

Jak sobie z życiem potém radzić będziecie, nie moja rzecz. Pepi może dokaże tego, że się asindziej usatkuje, albo się wreszcie wyleczy z wielkiej miłości, co zawsze na dobre wyjdzie.

— Ja wprawdzie—rzekł wojewodzie—nie wybrałem się tu żenić ale miałem umrzeć i uwolnić cię raz na zawsze od wszelkiej troski... Stało się lepij, więc wesele chyba *privatissime* odbędziemy, bez wszelkiego występu i ceremonii.

— Ale, choćby oto w tym pokoju—zawołał Mellini—byle znówu jakie bałamuctwo nie stanęło na przeszkodzie.

— Potrzebuję błogosławieństwa ojcowskiego—rzekł wojewodzie.

— Hm!—rzekł doktor—nie jestem przeciwko żadnemu błogosławieństwu, chociaż jako lekarz nie mam wielkiej ufności w jego siłę, ale zawsze jestto specyfik łagodzący i uspakajający. Z tém wszystkiem mnieby się zdawało, że czy je asindziej weźmiesz na czczo, (to jest przed ślubem) czy po nim—wyjdzie na jedno...

Mellini tak się nowych komplikacji lękał, że z pomocą pani Strańskiej skłoniwszy księdza definitora od Dominikanów, aby ślub dał, z zaledwie przygojoną raną wojewodzica do ołtarza poprowadził. Świadcami było dwu doktorów, bo i Biernacki, na wyjeźdném już do Krakowa, musiał spełniać ten dla siebie nie miły obowiązek, i dwu palestrantów. Wieczorem w bocznej kaplicy, połączył państwa młodych ks. definitor, a w dworku przygotowana wieczerza na kilka osób, wcale ślubnych godów pozornie nie miała.

Jednakże wina starego, ks. definitor, świadkowie, trochę pan młody, wypili parę gąsiorków. A co było najgodniejszém uwagi, to że pani Strańska, osoba poważna, szczególniej gdy duchowni byli przytomni, namówiona do pokosztowania starego węgryzyna, mocno sobie podochociła.

Była w takim jakimś humorze, iż wesoło rozmawiając na ubocznie z doktorem, w pół żartem mu oświadczyła, że mimo wstrętu do małżeństwa, gdyby on się starał o nią, dalipanby wyszła za niego.

Ośłupiał doktor, podziękował jednak, ale od téj pory trzymał się od niej zdaleka, i mówił cicho: „osoba niebezpieczna.”

Wojewodzie list naprzód wyprawił do ojca, na który jaka nadeszła odpowiedź, nikt nie wiedział. Jak skoro doktor osądził że jechać mogą, państwo młodzi natychmiast się puścili do Warszawy.

Przyjęcie wojewody zrazu nieco sztywnego i jakby zafrasowanego, było serdeczne. Nadzwyczajna piękność synowej, jój powaga i wdziek wpędce go za serce ujęły. Zapomniał, że była doktora siostrzenicą i że na zapytanie: kto ją rodzi? nic mógł dać zaspokajającej odpowiedzi.

— Kobięta śliczności, i co się zowie pięknie wychowana, a charakter, klękać i bić czołem! mosanie—mówił stary...

Żeby człowiek nie wiedział, iż przodków niema, królewnąby ją można sądzić.

Toż samo wrażenie uczyniła wojewodzicowa, gdy się poraz pierwszy pokazała w teatrze. Król był w łoży i został nią zachwycony.

— Wojewodzie ma dobry gust, kobięta jak z włoskiego obrazu zdjęta, Rafaelowska Madonna!

Unosili się wszyscy. Chciano piękną, młodą panią pociągnąć w towarzystwo i zawieźć do zamku; lecz wojewodzie, po naradzie z ojcem, oświadczył iż na wieś wyjeżdżają.

Choć się więc podróż zwlekła, wizyt nie oddawano.

Dnia tego, gdy wojewodzicowa raz pierwszy ukazała się w łoży, była na spektaklu i piękna Dosia z matką, otoczona licznym dworem wielbicieli: można sobie wystawić jak ztamtąd na wojewodzicową patrzano.

Stolnikowa na kilka dni przedtém, opuściła Warszawę, udając się do Eger, dokąd i kasztelanie podobno wyruszyli...

*

*

*

Na tém skończym opowiadanie nasze, nie sięgając głębiej w życie wojewodzica, który się wprawdzie znacznie zmitygował i spoważniał, ale przestać być sobą nie mógł. Co piękna Pepi iniała w życiu do zniesienia z nim, do nas już nie należy. Była też energicznym charakterem zbrojącą do walki i umiała jój podołać. Jak w pierwszych dniach żaden blask w stolicy nie olśnił jój, żadna wrzawa nie mieszała; tak później przygody życia znalazły przygotowaną zawsze do odparcia ciosów i gotową na wszystko, co spaść mogło na nią.

Pani eks-województina, po ukończeniu rozwodowej sprawy, niebawem wyszła za mąż za niemłodego bardzo kasztelana, wprzód jeszcze asystując do ołtarza matce, która się téż za bogatego cudzoziemskiego kupca uszlachconego wydać umiała.

Małżeństwo to było nieszczęśliwe, gdyż okazało się, że kupiec którego głoszone bogactwem, w istocie blizkim był bankructwa i rachował na starość, starość zaś liczyła na niego. Małżeństwo w przeciągu kilku tygodni rozpręgåło się, gdyż małżonek zniknął, a starość na zgryzłszy się, zachorowała i umarła. Lepiej powiodło się wojewo-dzinie, bo przeżyła drugiego męża i odziedziczyła po nim znaczną fortunę. Synek, jednak, nadzwyczaj troskliwie wychowany, do którego zawsze kilku guwernerów było w domu, tak ją zajmował, że za mąż już wychodzić nie myślała.

Starosta Daliborski, który się zawiódł fatalnie na swych rachubach, zerwawszy z piękną Dosią, zwrócił gdzieindziej opiekę, serce i nadzieję. Niemłoda już wdowa księżna * * powierzyła mu swe interesy, które tak gorliwie prowadził, iż połowa dóbr księżnej przeszła na jego imię. Zmuszony był je nabywać ratując swą klientkę; czyniło mu to największą przykrość, lecz poświęcić się musiał, raz wzięwszy to brzemień na siebie. Zmarł, pańską pozostawiając fortunę, z późnego ożenienia zostawując syna i córkę, którzy już do złotej księgi wielkich rodzin należeli.

Fortuna kołem się toczy, mówili ojcowie nasi!

K O N I E C.



Biblioteka Raczyńskich

JK2422



JK2422